

De. II. 1.

TOM CCLIX.

ROK 65.

SERYA 9.

ZESZYT 777.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

WRZESIEŃ.

1905.

TOM III. — ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. DEKADENCI, — przez <i>W. Dzeduszyckiego</i>	421
2. ZASADNICZE PODSTAWY SAMORZĄDU, — przez <i>Kazimierza Weydlicha</i>	455
3. RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>H. Reinholda</i>	474
4. WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE I TWÓRCZOŚĆ ARTYSTYCZNA, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	496
5. KWIAT PAPROCI, — przez <i>Kazimierza Rakowskiego</i>	507
6. WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH, — przez <i>Adama Żółtowskiego</i>	571
7. PIŚMIENNICTWO: ADOLF SULIGOWSKI: Miasto analfabetów, — przez <i>A. Rembowskiego</i>	599
8. KRONIKA MIESIĘCZNA: Ukaz o „Dumie narodowej.“ — Restauracya Wawelu. — Ze statystyki miejskiej Warszawy. — Prywatne szkoły wiejskie. — „Praca Polska.“ — „Kuryer Litewski.“ — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Napoleon Milicer; — ś. p. Ks. Jerzy hr. Szembek; — ś. p. Seweryna Duchnińska	605
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	621

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 5.



De. II. 1.

DEKADENCI.

I.

Siedzieliśmy nad brzegiem Morskiego Oka, na ławkach, przy dużym, prostym, drewnianym stole, o nogach ciężkich, z gruba tylko ociosanych; oprócz nas, przy innym stole, na tem samym poddaszu o pierwotnej budowie, było jakieś jeszcze inne towarzystwo, któregośmy jednak nie znali i które nas nic nie obchodziło i nie obchodzi. Myśmy zaś wszyscy przyjechali z Zakopanego, z willi Skoczyska, w której od kilku już tygodni przebywaliśmy pospołu; znaliśmy się tedy już poniekąd wszyscy, a przynajmniej wiedzieliśmy o sobie już coś trochę więcej, niż to, jak się kto nazywa. Byli zresztą przy stole naszym ludzie o nazwisku powszechnie znanem, ludzie głośni, o których wypadało przynajmniej udawać, że się wie bardzo wiele, tak jak człowiek z pretensją do dobrego wychowania zwykł udawać, że sławną przeczytał książkę; a byli tam także ludzie, którzy się znali istotnie zażyłe, tak jak ja z moim bardzo droгим a blizkim sąsiadem ze wsi i dawnym kolegą na uniwersytecie, panem Stanisławem Korczakiem, albo którzy się przynajmniej niegdyś bawili razem za lat dziecinnych a teraz na starość z radością szczerą odnowili dawną a zapomnianą prawie znajomość, tak jak ja z panią Zakliczyną. Rodzice jej z moimi na Pokuciu niegdyś sąsiadowali, ona zaś wyszła za mąż na Litwę, tak, że mi na lat trzydzieści znikła z poprzód oczu; dziś z niekłamaną przyjemnością przywitałem ją w Skoczyskach, jako dawne już młodości wspomnienie, wracające z po za mgły przeszłości, żywe — lubo zapewne inne niżli było niegdyś naprawdę; — w czym się zresztą pani Laura Zakliczyna nie wiele od tych nawet wspomnień różniła, o których sądzimy, że są najwierniejszomi, choć się przemieniły

pod wpływem czasu, wyobrażeń i namiętności, przeobrażających wszystko, co jest na świecie, i to nawet, co w głąb duszy, niby do niezdobytej schroniło się twierdzy. I tak to panna Laura była niegdyś bardzo ładną i wesołą dziewczyną, o średnim wzroście i żywych czarnych oczach, a teraz była przystojną jeszcze, ale bardzo spoważniałą wdową, na której twarzy mnogie smutki i zawody niezatarte pozostawiły ślady, i, co więcej, miała przy sobie córkę jedynaczkę, starszą niżli niegdyś panna Laura, kiedy szła za mąż, słuszniejszą od matki i wbrew powszechnie przyjętemu córek zwyczajowi, o wiele od niej ładniejszą, wprost bardzo piękną, tak piękną, jak bywają może na całym świecie jedne tylko Litwinki. Kiedym się tak o pani Laurze i o jej córce rozgadał, nie zaszkodzi może odrazu dopowiedzieć, że panna Zakliczanka nazywała się panną Celiną, że ją ojciec w dzieciństwie jeszcze wieku odumarł, jako jedynaczkę, pozostawiając zadłużony i ciężko zagrożony majątek, że pani Laura zaskarbiła sobie powszechną cześć na Litwie tem, że nietylko córkę doskonale wychowała, ale także majątek do kwitnącego doprowadziła stanu i że zatem panna Celina była jedną z najposażniejszych panien na Litwie. Gdy zważymy, że była w dodatku i bardzo piękną i bardzo wykształconą, nie dziwi, że posądzam wszystkich trzech kawalerów, należących do naszej kompanii o to, że pocichu przynajmniej do ręki panny Celiny wdychają.

Na wycieczkę było bardzo przyjemnie. Słońce świeciło cudnie nad wodospadem Mickiewicza i stamtąd widzieliśmy wyraźnie zuchwałe szczyty Tatr, odbijające olbrzymiemi szafirowemi szczytami od bledszego błękitu niebios. Ale teraz zachmurzyło się niebo i ci, którzy w pierw już Morskie Oko widzieli, twierdzili stanowczo, że się wycieczka nie udała; żalowali, że w prowizorycznym schronisku tak źle nocować, że do tego ryzykownego przedsięwzięcia pań nakłaniać niepodobna; utyskiwali wreszcie nad tem, iż trzeba będzie wrócić do domu, nie dopięwszy właściwie zamierzonego celu.

— Alboż tu nie pięknie? — odezwał się pan Antoni Koziello, jeden z trzech kawalerów, o których wspominałem poprzednio, blondyn przeszło trzydziestoletni, bardzo przystojny i bardzo majątny, który się bardzo wiele po świecie włóczył, a był podobno nietylko w Egipcie i w Syrii, ale także w Indyach, w Japonii, może nawet u źródeł Nilu, kto wie czy nie na księżycu nawet, przynajmniej w wyobraźni, bo tej posiadał skarb nie mały. Jakaś tęsknota niezmierna rysowała się na szlachetnej twarzy i głębokie rowki wykopała dokoła skroni, nie zewszystkiem

licujące z młodocianą jeszcze rzutkością słusznej, atletycznej, a przytem bardzo pańskiej postaci. Czasem tak się zadumał, że zdawało się, jakoby jego szare oczy w głąb wieczności zaglądały. Posiadał moc magnesu, przyciągającego wszystkie niewiasty, a szeptano sobie różne, dziwne czasem opowieści o jego miłosnych przygodach na różnych ładach i morzach; i tu w Zakopanem padały nań zewsząd uśmiechy niewieście. Zdawało mi się jednak, że właśnie panna Celina jego unikała, że przerywała z nim rada rozmowę.

— Alboż tu może nie jest pięknie? — pytał się Koziełło. Czyż koniecznie mamy szukać szczytów z granitu, poszarpanych jak pancierz tytana, jak tron Lucypera, rażony gromami niebieskimi? Czyż się nie obejdziemy bez nieskalanej bieli śniegów wiecznych, świecących tak wysoko, że kiedy oko ludzkie na nich spocznie, myśli że niepodobna, aby to były bryły ziemskie, części gór, wyrosłe z ciężkiej ziemi, po której stąpamy; że to koniecznie jakieś widna niebieskie, jakieś zamrożone obłoki, zawisłe pomiędzy ziemią a kryształową sferą księżycą? Tego u nas na Polskiej ziemi nie masz. Szukałem tego po szerokim świecie, widziałem, podziwiałem. Tu przed nami okrągłe jezioro, gładkie jak tarcza Świętowida, wykuta ze zwierciadlanej stali, a rzucona w czeluść pomiędzy czarne urwiska bez szczytów; — bo szary Świętowida kapelusz tworzy sufit obłoków płaski, zaglądający w głąb Morskiego Oka i pytający, czy jest u dołu tam, pośród zimnych, spokojnych wód, jakie dno milczącej topieli? I my, wraz z niebem pochmurnem, o to, patrząc, pytamy — i myślimy mimowoli o spokojnej przeznaczeń bezdeni. Jezioro milczy i odpowiedzi nie daje. Zda się, wraz z jeziorem jedną posiadamy duszę, wspominającą przeszłość zapadłą, ukochaną i pytającą o rozwiązanie wielkich, dręczących zagadek przyszłości. Pytamy wciąż, a milczymy, bośmy odpowiedzi nie znaleźli. Ale to jezioro a my, to jedno — mówiąc o sobie i o tem jeziorze możemy mówić: „my“ i w tem urok nad uroki i najwyższe duszy wznożenie. Gdy patrzyłem na Mont Blanc, na Fudzijamę, na Ararat, na Himalayę, podziwiałem i korzystałem się przed olbrzymów potęgą i potęgą większą, niezbadaną, która te olbrzymy dźwignęła. Ale olbrzymy te były obce. Mówiłem do nich: „ty“; o sobie i o nich „my“ powiedzieć było niepodobna, tak jak nie mogłem powiedzieć „my“ o sobie i o obcych ludziach, obcej mowy i obcej myśli, którzy mnie otaczali. Wołałem „ja“ i starałem się dźwignąć wobec owej potęgi, a okazało się, że „ja“ samotne, to pył i to nic. Więc zatęskniłem do równin ojczystych, po których kołyszą

się w nieskończoność srebrne żyto i złota pszenica, a widnieją zrzadka rozsiane wioski i dwory, otoczone drzew zieleńią; zateęskniłem do krzyżów nad drewnianym kościołem i do figur Polskich Świętych, na których głowie stanie czasem na jednej nodze bocian, pilnując z czaty swojej żeńców na polu i wspominając dalekie podróże, jakie odbył po obczyźnie. I tu, nad jeziorem Tatrzańskim, jak tam, pośród dojrzewających łąnów, nie jestem już sam, jestem w domu, w rodzinie, wśród swoich ludzi i swoich rzeczy. Wielki wiatr dziejów wszystko w jedno spoił — i ludzie i rzeczy. Zdaje się czasem ludziom, że się pomiędzy sobą nie rozumieją, że się nienawidzą nawzajem, że rzeczy dokoła martwe i głuche z ludźmi nie czują pospołu. Ale to nieprawda, to złudzenie i omyłka, bo dawne chwały i nowe boleści, bo przeszłość wielowiekowa, spędzona pospołu, bo zwycięstwa i klęski może ze wszystkim zapomniane, ale wspólne, wszystkim jedną sprawiły duszę. I my, cośmy tu przy chłopskim zasiedli stole, i ten nasz przewodnik snagły, Gąsienica, i to niebo szare, i to jezioro i te urwiska, które zaledwo wyrosły ponad ziemię, a już się z szarym dachem niebios niskich spotkały, to wszystko częścią tej duszy. To wszystko woła: „my“ i ja wołam wraz z nimi, a wołając — olbrzymięję. Jam już nie pyłek bezsilny, na pastwę wichrom oddany; jam miliony narodu, jam wieki przeszłe i przyszłe, jam te tonie wód bezdenne i te skalne granity; jam już nie samolub marny, nie muszka jednodniówka, mająca spłonąć w płomieniu pierwszej lepszej łojowej świecy, zasyczyć konając i zniknąć na wieki; jam coś, o czem i Bogu na niebiesiech pomyśleć warto, o czem myśleć musi, jeśli jest, jak powiadają, sprawiedliwy. Więc mnie tu lepiej, niż w obliczu najwyższej góry, której szczyt gwiazdy obchodzić muszą, nie chcąc zawadzić o śniegi, i wołę to szare niebo od purpury Alp płonących, wspaniałej łuny po zachodzie słońca; bom tu nie sam, a Bóg powiedział: „Żle człowiekowi samemu na świecie.“

Pan Antoni skończył mówić, a markiza Leokadya d'Estrée, z domu Polka, na szerokim świecie już sławna z niejednej ekscentryczności, a dotąd bardzo urocza, choć już nie bardzo młoda, spytała się, wskazując na dwudziestoosmioletniego młodzieńca, a wziętego u młodzieży poeęę, pana Kazimierza Zeńskiego, znanego pospolicie, nawet w towarzyskiem życiu pod literackim pseudonimem Eoliona: — Czemu pan nie weźmiesz, panie Koziele, od Eoliona kilku lekcyj secesyjnej prozody? Gadać poematy niewiązaną mową, to doprawdy szkoda, a nie gorsze mógłbyś pan wiersze pisać od wielu.

Panna Celina spojrzała na Koziełłę z wyrazem dziwnym, który mnie zaniepokoił i poraz pierwszy zachwiał mojem przekonaniem, jakoby smętny Koziełło był dla niej zupełnie obojętny. Bo była w tym wyrazie boleść, był wyrzut, był żal; a do spojrzenia dodała słowa:

— Widzę, żeś pan od trzech lat ze wszystkim zmienił swoje przekonanie. Gdyśmy się niegdyś na Litwie pożegnali, mówiłeś pan całkiem inaczej. A zapamiętałam pańskie słowa bardzo dobrze; nie wiem, czy ich dosłownie nie powtórzę. Mówiłeś pan: Indywidualność swoją przekładam ponad wszystko i żadnych krępujących więzów nigdy na się nie dam nałożyć. Celem człowieka jest rozwinąć indywidualność swoją w pełni; dopiero kiedy jest zupełnie sam sobą, staje się tem, czem być powinien, a sam sobą może być jedynie w zupełnej samotności.— Mówiłeś pan: Samotności nie rozumiem jak średniowieczny pustelnik, który zresztą wcale samotnym nie był, bo obcował wciąż duchowo z całą rzeszą nie wiem, czy przesądnych, czy też wierzących; ja chcę być samotnym wśród ludzi tem, że z nimi nie będę miał wspólnego. Ogół ludzi nie dorósł do duchowej samotności; więc u drugich samotności nie ścierpi; świat przeto wysila się, aby każdego ująć w więzy, ugiąć pod jarzmo, wprządz do jakiegoś wspólnego niby żywota; nastawia na każdego przeróżne pułapki i ubiera je w najpiękniejsze niby kwiaty. Pułapki te mają na imię legion: największe nazywają się rodzina, ojczyzna, kościół; inne to różne mody, przesady i konwenansy. Ja tych pułapek uniknąć potrafię; chcę być sam i sam sobą. — Tak to mówiłeś pan wieczorem, na ganku, w naszym domu na wsi, gdzie wpieryw częstym bywałeś gościem. Potem nie widziałam już pana, aż w Zakopanem. Objeżdżałeś pan świat dokoła.

Pan Antoni odpowiedział spokojnie:

— Już wtedy nie wierzyłem w to, co mówiłem, ale nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Więc chciałem się gruntownie przekonać, jakim jest przeznaczenie człowieka i wierzę dziś, wiem napewno, że przeznaczenia tego nie dopnie człowiek samotny, ale tylko w związku dusz z innymi, że rozum i sumienie nakazują zamieszkać w tych przybytkach, które wtedy bezrozumnie nazwałem pułapkami.

— Zapewne nauczyły pana tego Japonki — wtrąciła pani Leokadya z uśmiechem; — bo ja się dotąd czegoś innego, czegoś zupełnie odmiennego od europejskich uczeń ludzi, których znam przecie dobrze. Tylko to pytanie, czy w czasie długiej swobody nie wyrosłeś pan tak bardzo, że już się nie zmieścisz we drzwiach,

wiodących do któregokolwiek z tych, jak pan teraz mówisz, przybytków, czy też z tych pułapek, jak mówiłeś niegdyś, *peut-être plus correctement*.

W tej chwili Eolion, który siedział tuż koło panny Celiny, zawołał:

— Patrzcie państwo! Jezioro się odsłania, góry zrzucają z siebie chmur opone! Teraz nie wolno mówić nikomu, żeby było coś piękniejszego na świecie.

Istotnie chmury przetarły się nagle nad naszymi głowami, odsłaniając przejrzysty niezrównanie błękit, słońce złote, promieniste i fantastycznie poszarpane, wyniosłe, niebotyczne szczyty tatrzańskie. Niektóre obłoki cofnęły się w głąb, gdzieś aż po za Rysy, a inne kłębiły się na stokach gór, przerywając się co chwila, rozplywając się w powietrzu, zamieniając się wnet w luźne tylko szare albo białe tunany, które, Ignąc do urwisk, dodawały grozy czarnym granitom dla oka, przysparzały im wzrostu. Szerokie smugi skostniałego od wieków śniegu spuszczały się ze szczytów aż prawie do jeziora, znacząc swoją szarawą, lodowatą bielą przepaściste tatrzańskie rozpadliny, a wśród całego chaosu dzikich gór sterczał naprzeciwko nas zuchwale samotny, stromy Mnich, grożąc błękitom swoim niedostępnym kapturem. Tylko na prawo od nas zieleniał jakiś mur olbrzymich gór, zielenią krótkiej trawy, pokrywającej przepaści. A cały amfiteatr, niezrównanie wspaniały, dwoił się, powtarzał raz jeszcze u naszych stóp. W blaskach słońca, wody okrągłego jeziora zamieniły się w zwierciadło tak doskonałe, że zwierciadła samego, że wód już nie było widać, lecz widać było tylko drugi raz ogromne góry, sięgające szczybatemi szczytami tak samo w dół, jak sięgały w górę, a tak samo pod szczytami, jak nad niemi był błękit niebieski. Siedzieliśmy nad brzegiem jakichś zawrotnych a słońcem opromienionych przepaści. Nad głowami błękitna toń niebios, wysoko nad szczytami gór zawieszona, sięgała gdzieś w nieskończoność, aż do stóp tronu wszechmocy, a pod nogami była druga toń, druga nieskończoność, było drugie niebo. Łódka jakaś czarna a na niej para czarnych ludzkich mrówek, zwiśla opodal pomiędzy dwoma niebiosami, pomiędzy zenitem a nadirem, pośród otchłani przejrzystego powietrza, jakiego nie ujrzysz w dolinach, i zbliżała się jakimś nadpowietrznym pędem, oddalając się od nas, do przeciwległego krańca owego muru granitowego, zawieszzonego ogromnym wałem, wśród szklistej, próżnej przestrzeni, pomiędzy dwoma słońcami, z których jedno z góry, drugie z dołu zlewało swoje złote promienie na ten świat zaczarowany, ponad którym i popod

którym sterczał dwa razy zuchwały, czarny, poszarpany kaptur Mnicha olbrzyma, gotów swoim pędem przebić obydwą nieba i to zwyczajne, do którego tęsknimy, chcąc zamienić duszę w lotnego ptaka, i to drugie, niewidziane nigdy wpierw, które patrzyło na nas promiennie z dolnej przepaści, wołając, że wszędzie światłość i Bóg, że nigdzie niemasz miejsca dla piekielnych ciemności.

— Ten sam świat był przed nami — mówił Eolion — i nie widzieliśmy go i dusza nasza nie drgała zachwytem; cośmy widzieli zwyczajnem było, a według usposobienia naszego mogło się nam podobać, albo nie podobać. Aż zjawił się nad tym światem i nad nami wielki poeta, Febus Apollo, który jest słońcem i gra na lirze ze słonecznych promieni i śpiewa pieśni, zmuszające wszystkich, aby patrzyli na świat tak jak on patrzy. I oto stało przed nami bajeczne cudo, ze słonecznej ułudy, a ta ułuda staje się tysiąckrotnie potężniejszą od fizycznej i chemicznej prawdy, od rzeczywistości, o której wiemy przecie, że trwa niezmienną. Caliśmy zapatrzeni w baśń, którą nam wyśpiewało słońce, a o prawdzie ostatecznej nie wiemy — i lepiej nam z tem. Słońce stworzyło dzieło sztuki z duszy swej, indywidualności swej, a poetą ten jedynie, kto takim zdoła być słońcem-stworzycielem. Poeta płonie żarem, świeci blaskiem, który jest jego istotą, duszę swoją wydaje z siebie dla drugich — a nie dba czy drudzy mają oczy, któremi zobaczą stworzone przezeń cuda. Wszakżeż i słońce taksamoby to jezioro zaczarowało, przemieniło, gdyby tu nie było innego widza, prócz ślepych skał i krzewów bezocznych; ma być dla siebie na to, aby być sobą, nie na to, aby do kogoś przemawiać, komuś się podobać; bo wielka dusza nie dba o drugich, sobą tylko chce być. Ale oto nad brzegiem jeziora zjawili się ludzie zdolni słoneczne oglądać dziwa, a dusza ich stała się choć na chwilę podobną do duszy słońca poety; przemieniona siłą magnetyczną słonecznych promieni, dusza ludzka sama promienieje. Poeta sam nieszczęsny — przedwcześnie zgorzeje, ale szczęsną duszą, która umiała zapatrzeć się w jego natelnienie, która go ukochała. Ona nie słyszy samych tylko dźwięków oderwanych, które czasem doleczą od lutni wieszce, aż do niebaczego a obojętnego ucha; cała się wsłuchuje w pieśń, którą wyśpiewuje dusza poety, póty, póki poeta żyje. Jezioro kiedyś, po wiekach wieków ujrzy, jak tam na górze słońce wypalone zgaśnie. Słońce poczerwienieje zrazu, a potem wybuchnie pożarem strasznym, bliższe a nam nieznanie spali planety, które teraz już w promieniach słońca ukrywają się przed okiem ludzkim. A po-

tem słońce wypalone jęknie raz jeszcze i zgaśnie na zawsze, a będzie chwila okropna, jakiej wymarzyć ludzka nie zdoła wyobrażenia. Jezioro wtedy zamarźnie w jedną bryłę lodu, ale trwać będzie, a lody śnić będą o dawnych blaskach słonecznych i błogostawie będą sen swój.

Gdy Eolion kończył zdanie, spoglądał płomieniście na pannę Celinę, która spokojnie gruszkę zajadała, a odpowiedziała potem z uśmiechem:

— Życzę tylko słońcu, aby się szanowało i zawczasu nie zgaśło; a jeśli słońce ma żyć tak niestatecznie, niechże się jezioro przed niem obłokami zastoni, niech o niem nie myśli, a może potem nie zamarźnie i ustrzeże się nieznośnego losu, które mu pan wróżysz, czerpiąc z wnętrza ziemi dość ciepła, aby się utrzymać przy życiu, choć obojętne dla niego słońce głupiem skończy samobójstwem.

Eolion — czy tam, jak się nazywał naprawdę, Kazimierz Zeński — nie mógł powstrzymać na twarzy drgnienia, świadczącego o obrażonej miłości własnej.

Pani Leokadya dała brawo.

— Śliczny znowu był poemacik — zawołała — nie pojmuję tylko dlaczego Eolion ten poemat wygłosił niewiązaną mową, choć wiadomo, że Eolionowi łatwiej improwizować wiersze, niż innym ludziom rozmawiać prozą o cudzych błędach i grzechach.

Mój sąsiad ze wsi, pan Stanisław Korczak, posiadał niegdyś wąsiki płowe, o które nie dbał zbyt wiele; teraz zapuścił w dodatku strzyżoną i szpakowatą brodę. Bardzo lubił rozprawić o rzeczach oderwanych, bo zachował umysł zupełnie młody, a odjechał na kilka tygodni powiat, którego był marszałkiem, i pozostawił gospodarstwo pieczy bardzo zapobiegliwej żony, aby móżdż w Zakopanem pogadać z rozmaitymi ludźmi o rozmaitych sprawach, o których wiedział napewno, że tak samo na ich tok nie wpłynie, jak zdanie, które o tych sprawach poweźmie, na jego własne nie wpłynie postępowanie.—Myślał, że nadarzyła się teraz sposobność do zajmującej dyskusyi; odezwał się więc z powątpiewaniem:

— To jednak pytanie, czy istotnie słońce i poeta są powodem cudów, wywołanych przez siebie w duszy widza lub słuchacza, czy też raczej źródłem wszystkich uniesień nie jest wyłącznie ten, który wrażeniom ulega. Przewanie słońca poetą jest metaforą, bo wiemy doskonale, że słońce ani nie myśli, ani nie czuje. Metafora ta jednak może nam się przydać do wyraźnego postawienia kwestyi. Niepodobna także twierdzić, aby słońce

świeciło. Nauka nie wie, co się właściwie na powierzchni słońca dzieje, nie wie także napewne, co się dzieje w próżnej otchłani, przez którą promienie słońca przelatują. Pośród mnóstwa hipotez mniej więcej nieprawdopodobnych, najbardziej wziętą jest ta, która mniema, a częstokroć nawet twierdzi, że jakieś dość skomplikowane falowanie eteru nieważkiego, wypełniającego całą przestrzeń, wywołuje wrażenie światła, skoro do naszej dojdzie źrenicy. Między tem jednostajnem jednak a zupełnie mechanicznem falowaniem eteru, a widowiskiem czarodziejskiem, które oglądamy, niema najmniejszego podobieństwa, tak jak niema podobieństwa pomiędzy martwą a ciężką i do tego w głębi już zupełnie nieprzezroczystą masą słodkiej wody, wypełniającą rzeczywiste Morskie Oko, a przezroczystą, świetlaną przepaścią, jaka przed nami widnieje. Z tego wniosek oczywisty, że nie słońce jest czarodziejem, uprawiającym nas w omamienie cudowne, w którym samo najmniejszego niema i mieć nie może udziału, że czarodziejem jest jedynie nasz podmiot, nasza wrażliwa dusza, dusza każdego z nas z osobna, a ta okoliczność, że chmury już ani szczytów górskich, ani słońca nie zasłaniają, dała jedynie pochop naszej jaźni do wytwarzania wspaniałych widziadeł. Bodaj czy poeta, czy wogóle artysta nie jest podobny do słońca, czy on tworzy istotnie to, co dusza miłośnika poezji lub sztuki, choćby tylko wrażliwego słuchacza lub widza odczuwa, oglądając dzieło, które jej się wydaje wzniosłem, pięknem, albo zabawnem, które podziwia? Jest to fakt niezawodny, że każdy człowiek zachowuje się inaczej, indywidualnie w obec dzieła sztuki. Znam ludzi wczytujących się całe życie w Szekspira i unoszących się nad nim nieustannie, a wielu innych, którzy próbowali go czytać i odłożyli książkę, ziewając. Za mego pokolenia większość młodzieży czytała Słowackiego i głośiła, że to ostatnie słowo poezji, a mniejszość przekładała o całe niebo Krasińskiego nad tęczowego twórcę Balladyny. Jedni zarzucali Słowackiemu brak rozumu głębszego i samodzielności, dla drugich był Krasiński zgoła niezrozumiałym mistykiem, a wielbicieli różnych wieszczów nigdy się z sobą porozumieć nie mogli. Co więcej, różni ludzie z różnych zupełnie powodów jedno i to samo dzieło chwalili; jedni dopatrywali się w Panu Tadeuszu niewyczerpanej skarbnicy mądrości życiowej i narodowej, drudzy unosili się nad opisową stroną poematu; spierano się o to, czy to szlachecka idylla, czy epopea narodowa; nie brakło i takich, dla których Pan Tadeusz był poprostu tylko bardzo zabawnem czytaniem, wywołującym prawie ciągle uśmiech, dającym niekiedy sposobność do głośnego śmiechu. A teraz prawie wszy-

szy moi rówieśnicy nie mogą się z dzisiejszem młodem pokoleniem porozumieć, a są, zdaje mi się, bardzo nierozsądni, kiedy usiłują wielbicieli symbolizmu, czy secesyi, czy dekadentyzmu, przekonać o tem, iż tego, co im się właśnie podoba, podziwiać nie powinni. To daremne rzeczy! Dusze ludzkie już od urodzenia różne, różnie jeszcze bywają nastrojone przez życie, a doznają marzeń wzniostłych lub rozkosznych pod wpływem przeróżnych okoliczności, przeróżnych wrażeń. To czytelnik wkłada w poemat tę piękność, którą z własnej czerpie duszy. Każdy wkłada w naczynie próżne co innego. Poeta nic do naczynia może nie wlać, stworzył tylko naczynie, w którym się przeróżne mieścić mogą płyny. Sam zapewne swój utwór odczuwa i rozumie w sposób zupełnie odmienny od każdego czytelnika; a może być nawet, że najwytrawniejszy poeta tworzy całkiem na zimno rzecz formalnie urobioną w sposób, który nakłania wielu ludzi we współczesnem pokoleniu, a mianowicie wielu młodych do rojenia marzeń, niemających z treścią utworu nic wspólnego.

Pan Stanisław pragnął widocznie wywołać dyskusję. Nie udało się to na razie, może dlatego, że nasze towarzystwo było zanadto zapatrzone w cudowną przyrodę górską, ale głównie dlatego, że Eolion, który zachowywał się w sposób, świadczący o jakimś wewnętrznym niepokoju i niezadowoleniu, przywołał starego przewodnika Gąsienicę i zaczął się z nim głośno układać. Żądał, aby go Gąsienica zaraz poprowadził na szczyt Mnicha. Stary góral o orlim nosie i smagłej, długiej, chudej, dziwnie pomarszczonej twarzy, przestrzegał, że to droga nad wyraz niebezpieczna, że tam zachodzą tylko kozice, a zrzadka górale i to tylko boso; że pan miastowy boso po skałach drapać się nie potrafi i prawie pewnością tam kark skrócić musi; że zresztą w południe zapóźno zaczynać wyprawę, noc koniecznie u szczytu śmiałków chwycić musi, a tam u szczytu i straszno i zimno. Wszystkie te wywody żadnego wrażenia na młodym nie robiły poecie; mówił, że woli umrzeć w górskiej przepaści, niż w pospolitem łóżku, że zresztą niczego się boi, skoro wie, że nikogo nie minie przeznaczenie, a postanowił u szczytu Mnicha przenocować i patrzeć stantąd na jeziora i na góry oświecone blademi, srebrzystemi promieniami księżyca, „niebios upióra,“ jak go przezywał, który właśnie był w pełni. Gąsienica wymówił się stanowczo wreszcie, mówiąc, że panicza nie chce mieć na swoim sumieniu, a Eolion zwrócił się wtedy do drugiego, młodszego przewodnika, bardzo jeszcze niedoświadczonego Roja, stojącego opodal, i Roj zgodził się, otrzymawszy obietnicę sowitej zapłaty. Ale

wtedy nastraszyliśmy się wszyscy; wszyscy zaczęliśmy przekładać młodemu poecie, jak nierozsądnie robi, narażając siebie na zupełnie nieużyteczną śmierć, za którą gonią turyści półgłówki. Panna Celina powiedziała tylko słów kilka, ale jej zwykle milcząca matka stała się wymowną, napominając młodzieńca w imię religii, aby Boga nie kusił, swoich zdolności, swojego życia lekkomyślnie na zaprzepaszczenie nie narażał; wydała mi się nawet zanadto emfaticzną, jak to się często trafia naszym paniom, wierzącym tak silnie we wpojone w siebie a z pokorą przyjęte zasady, że im się zdarza siebie brać za istoty nieomylne, kiedy wnioski z tych zasad dobywają. Wymownie wtórował pani Zakliczynie trzeci kawaler w naszym towarzystwie, o którym dotąd osobno nie wspominałem, pan Szczęsny Borski z Królestwa, bardzo poważny już obywatel, mimo swego młodego jeszcze wieku, dość majątny a zajmujący się gorliwie życiem towarzystw różnorodnych, jakie istnieją w Warszawie. Nic nie pomogły oczywiście wszystkie prośby i napomnienia. Eolion był uszczęśliwiony tem, że zdołał na siebie zwrócić uwagę — rzucił panu Szczęsnemu paradoks:

— Nic nie warte życie, którego się dla igraszki nie wazy — bo wszystko wreszcie na świecie to tylko igraszka, to gra hazardowa, w której człowiek stawia siebie i wszystko swoje przeciw losowi, a los żadnej przegrać nie może stawki. Więc skoro życie — to gra tak nierówna, lepiej je skończyć wkrótce i w sposób zabawny.

A powiedziawszy te słowa, które panią Zakliczynę widocznie zgorszyły, ukłonił się grzecznie i wraz z młodym przewodnikiem puścił się w drogę dokoła jeziora.

Stary Gąsienica machnął ręką pogardliwie i zawołał:

— Niech go tam Pan Bóg prowadzi, bo młody Roj nigdzie nie doprowadzi. Ja nieszczęściu nie winien jestem, jak się nieszczęście zdarzy, bom przestrzegam.

Pani Leokadya zaśmiała się zlekka, pokazując białe a śliczne zęby.

— I ja Zeńskiego prosiłam — rzekła — aby swojego droгоценego życia nie narażał, udając kozicę. Ale prosiłam tylko dlatego, że wypadało, że wiedziałam, iż mu to przyjemność sprawi. Nic się nie boję o Zeńskiego; wiem, że Eoliona przyprowadzi tu Roj nazad w całości. A cuda nam będzie opowiadał Eolion; pokaże się, że przewodnika niedoświadczonego musiał sam ratować w chwili, w której biedny Roj, spadając do przepaści, ucepił się kwiatu szarotki i tem się tylko od niechybnej wyratował śmierci, któraby go zresztą i tak nie była minęła, gdyby młody wieszcz nie był

na niego spojrzął wzrokiem magnetycznym. Pokaże się, że hypnozą uratował poeta górala, wprawivszy go w stan somnambuliczny, za którego pomocą mógł wyratować życie. To będzie tak samo prawdą, jak historia o noclegu na ostatecznej krawędzi szczytu tatrzańskiego, na samej kończyni kaptura mniszego. Ze swojej wycieczki przyniesie nam Eolion różne opowieści o cudownych przygodach, a nikt nie będzie mógł tego skontrolować czy się zdarzyły, czy nie? Na każdy sposób wielki Eolion, o którym już gdzieś czytałam, że to poeta, któremu Mickiewicz wodę powinien nosić — wyrośnie we własnem mniemaniu, jeśli to być może, a ucieszy się w swojej próżności bezmiernej tem, że zwróci także na siebie trochę uwagę ludzi starszych i rozsądnych, którzy nie udają, jakoby jego wiersze rozumieli, albo choćby tylko próbowali czytać. W tej całej eskapadzie o to jedno chodziło. Zresztą, nie bójcie się państwo, wielki Eolion w rzeczywistości w bezpiecznem przenocuje parowie, na Mnicha wcale nie będzie się drapał rzeczywistością; wydrapie się tylko wierszem, we własnej imaginacji, a gdy nam o tem będzie opowiadał, narzecie sam uwierzy, że był tam na górze i że kapeluszem zawadził o księżyc.

Pan Szczęsny zawyrokował:

— Nastały teraz na świecie dziwne sowizdrzały. Ich zarozumiałość nie zna granic! W myśli u nich, w sercu, w słowach i czynach jest wyłącznie i jest zawsze jedno tylko: ja! Wydaćby się mogło, że świat cały stworzony dla dzisiejszego dekadenta i nie wstyd jemu przyznać się do bezgranicznego samolubstwa; chełpi się niem, jak paw ogonem, nie dbając o to, że swoją zarozumiałością drugich obraża, nie wiedząc o tem, że się staje nieskończenie śmiesznym. Zrazu sądzi sam i drugim każe wierzyć, że posiadał wszystkie doskonałości; gdy później dostrzeże, że niejednego jemu nie dostaje, wini o to nie siebie, tylko świat cały i Stwórcę. Jest zdania, że jemu się należy szczęście, chwała i osobista wszechmoc; gardzi wszechstworzeniem za to, że nie uczyni zadość każdej zachciance, a na przekór własnemu rozumowi każdej zachciance folguje. Chce wszystkiego spróbować, wszystkiego zaznać, a w niczem nie znajduje zadowolenia; przerzucając się kapryśnie z jednego zajęcia na drugie, zapoznaje wreszcie różnicę pomiędzy pracą a zabawą. Każdy chwilowo chwycony zawód jest mu igraszką, a każda igraszka nieznośnym trudem. Chełpi się tem, że jest dyletantem; wszystko zatem robi niedokładnie, a przepełniony pychą, wmawia w siebie i w drugich, że jego niedołęstwo jest genialnością. Szuka osobistego szczęścia, nie przyjmując żadnego obowiązku, w prze-

konaniu, że do szczęścia obowiązek będzie zawadą; więc staje się podobnym do drewna, miotanego przez falę po nieskończonej powierzchni morza. Nie mając żadnego zgoła celu, nie może znaleźć ani szczęścia, ani zadowolenia, choćby chwilowego. Narazicie zatęskni do nicstwa, jako do jedynej bezpiecznej a cichej przystani, w której będzie sam, wszechwładny, nie krępowany już ani przez świat, ani przez Boga, a wmnawiając w siebie, że się samobójstwem unicestwia, swawolnie poszuka śmierci; a nawet wobec zgonu nie przestaje być próżnym i samobójstwem głupi świat usiłuje zadziwić. Bo choć się sam niby w bezmiernej pysze ponad świat wynosi, przecie o nic więcej nie dba, jak o rozgłos pusty, rozlegający się po wzgardzonym świecie.

— Tak jest — rzekła smutno pani Zakliczyna — takich ludzi napotykam wielu. Tylko nie powiem, żeby dopiero teraz byli nastali. Samolubstwo, zarozumiałość, bezdenna pobłażliwość dla siebie, a zupełna wobec drugich bezwzględność, znamionują naturę ludzką, zepsutą przez grzech pierworodny. Zawsze na świecie było pełno występku, a tylko religia występne samolubstwo trzyma na wodzy. Od dawna religii zaprzeczano i ludzie przeto przestali się wstydzić swojego samolubstwa, a głosząc, że słuchają jedynie rozumu, działali przebiegle, ale głupio, bo na własną zgubę. W tem, co widzę teraz, to tylko wydaje mi się nowem, że ludzie pozbyli się wszelkiej obłudy i że chętnie się nikczemnością, tak jakgdyby była cnotą, zasługującą na pochwałę.

Tu wtrąciłem się do rozmowy. Rzekłem: — Jest inna jeszcze różnica pomiędzy wyobrażeniami dzisiejszej młodzieży a dawniejszemi i ta różnica, niestety, usprawiedliwia nazwę dekadentów, którą sobie sami dzisiejsi nadają. Niegdyś hamulcem dla samolubstwa bywały ideały, do których młodzi dążyli; dzielili się na przeciwne obozy, ale w każdym obozie do wspólnego dążyli ideału; nie raz wierzyli, że żadnej nie mają religii i głośno religijność zwalczali, ale w istocie byli pobożnymi swego ideału czcicielami, poświęcającymi dla niego osobiste cele i zachcianki, gotowymi dla niego poświęcić i siebie samych i swoje szczęście. Poświęcając swoją osobistość dla ogólnych celów, wyrzekając się jej nieraz, dopiero znajdowali osobistą moc w zapale, osobiste szczęście w poświęceniu. Niestety, niepowodzenia i zawody życia, otrzeźwienie zimnego rozsądku zbyt prędko łamały skrzydła, któremi się młody wzbijał pod niebiosa. Chodziły po świecie same Factony, same Ikaryusy, którzy, zleciawszy z górnych eterów na twardą ziemię, nie pozabijali się wprawdzie na miejscu, ale potłukli się srodze i odtąd, kulejąc, chodzili po grudzie. Tu,

w dojrzałym już życiu czatowała na nich dopiero sceptyczna filozofia, płód niemal konieczny pełnego intelektualnego rozwoju każdej ludzkiej cywilizacji, którego powstanie bywa nie tylko niezawodnym zwiastunem, ale także bezpośrednią przyczyną upadku, na który starzejące się cywilizacje bywają skazane nieubłaganym wyrokiem. Ta filozofia bywa u narodów nowożytnych wyraźnym ubóstwieniem samolubstwa, bez względu na to, czy jest materialistyczną, czy też idealistyczną. Nie potrzeba długo nad tem się rozwodzić, że materializm nowożytny, jak bywa zwykle pojmowany, zaleca, jako rzecz jedynie rozsądną, dbanie o własne zmysłowe szczęście; wytwarza nieraz ludzi praktycznych, którzy, znalazłszy uchwytny cel pracy i mozołów, zapominają o sobie, myśląc o tym celu, i tym sposobem bywają istotnie pożytecznymi i znośnie szczęśliwymi członkami społeczeństwa. Zawdzięczają to temu, że im mało wystarcza, że chcąc cel praktyczny osiągnąć, muszą się, bądź co bądź, w jakąś wprzód organizację, pracować wspólnie z drugimi, stosować się do zasad tak zwanej gospodarskiej uczciwości, dla własnego bezpieczeństwa wszelkiego unikać bezprawia. Gorzej z tymi, którzy mieli żywsze potrzeby duchowe; było dla nich prawie niepodobieństwem uniknąć trujących wyziewów tego, co przezwano idealizmem, tej właśnie doktryny, o którą potrafił dzisiaj mój kochany przyjaciel, Stanisław Korezak. Uczyli ich wszyscy myśliciele chórem, że świat, który widzą i w którym działają, jest w gruncie rzeczy tylko wytworem ich własnej wyobraźni. Doktryna ta starszych pozbawia tylko resztek zapału, zamienia ich w rozsądnych i obojętnych samolubów; przyszła jednak chwila, w której po krytycznym pogromie wszystkich niemal dodatnich ideałów, stała się podstawą wychowania, dogmatem przyjętym przez młodzieńca, skoro samodzielnie myśleć zaczyna, dogmatem, w który wierzy już żak szkolny, dogmatem, wiodącym do wykolejonej swawoli a wreszcie do samobójstwa, albo do obłąkania. Coraz pełniejszymi bywają domy obłąkanych, a nikt się już temu nie dziwi, kiedy usłyszy o rzeczy wprawdzie dopiero niedawno niesłyszaną, bo o samobójstwie dziecka.

— Najwięcej mnie gniewa — podjął pan Szczęsny Borski — zarozumiałość tych ludzi w rodzaju Eoliona. Każą nam podziwiać dziwolagi, wyległe w ich mózgownicy schorzałej: śmiały tworzyć rzekome dzieła sztuki, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek istniało na świecie. Przyjdę na wystawę obrazów i stanąwszy w dobrej wierze przed płótnem głośno reklamowanego malarza, łamię sobie głowę nad tem, czy ma wyobrażać nogi ludzkie

bez tułowia, czy pień drzewa bez korony? Albo też oglądam straszidła ohydne, naumyślnie źle rysowane i źle malowane, które jakiś recenzent kazał mi podziwiać, jako najdoskonalsze dzieło nowej jakiejś sztuki; i nie wiem, czy to ja jestem głupi, czy to recenzent wraz z malarzem do czubków się kwalifikują? Nie zapomnę tego, jak raz w Wiedniu zaszedłem do Künstlerhausu z człowiekiem, który mnie koniecznie do secesyi chciał nawrócić. Naprzeciwko nas wisiał duży obraz, płonący jaskrawymi barwami. Mój *cicerone* zachwyca się i mnie każe się zachwycać. Woła: „jakież to cudowne wniebowzięcie!“ I ja widziałem wniebowzięcie. Dochodzimy do połowy sali. Wniebowzięcia tam z pewnością niema, a *cicerone* powiada: „myliliśmy się co do wyobrażonego przedmiotu, bo obraz przedstawia słoje z kompotami. To oczywiście w niczem obrazowi nie ubliża, bo przedmiot wyobrażony jest w sztuce rzeczą obojętną, a należy podziwiać artystyzm, który z kompotów taką cudowną symfonię kolorów wy dobył.“ Nie ze wszystkim już swoim dowierzałem oczom, ale teraz widziałem słoje z kompotami. Przystąpiliśmy całkiem blisko do obrazu, i pokazało się, że wyobraża staw i niewyraźnie napaćkane świnię, śpiące na brzegu. To samo dzieje się z poezją. Zrozumieć myśli nowożytnego poematu nie potrafię, abym się jak silił; to gorsze, że nie rozumiem często gramatycznego sensu pojedynczych zdań. Czasem słyszę przynajmniej piękną niezaprzeczenie muzykę wiersza, ale bywają także podziwiane utwory z dziwacznymi metrami, nieudolnymi rymami i kaleczoną nielitościwie polszczyzną. Wolę już dekadenczką prozę w tym oto rodzaju: „Gdy zagrzmiało stąpanie zielonych hipopotamów smutku, wyrwała mi się z piersi błękitna żyrafa westchnień, której nie spłoszyło szczekanie czerwonych psów nadziei, płonących w postaci gadatliwej elipsy.“ Ale czyż to nie drwiny z publiczności i z talentu autora? Dlaczegoż to nie chcą ci ludzie chodzić ubitemi oddawna torami? Mają doskonałe, od wieków uznane wzory, w malarstwie Rafaela i Tycyana, Rembrandta, Ruysdaela, Ingres, Delaroche'a; w poezyi Homera i Horacego, Dantego i Szekspira, Goethego i Mickiewicza; dlaczegoż chcą być mądrzejszymi niż wszyscy poprzednicy, niż ci, których cała ludzkość podziwiała?

— A dlaczego — spytał się pan Stanisław, przerywając — nie tworzy woda w Morskiem Oku wodospadu na kształt sławnej na świat cały Niagary? Dlaczego to brzoza nie rośnie piramidalnie na kształt cyprysu, a niema pnia potężnego na wzór dębu? Czy brzoza jest może taką ignorantką, że nie wie o dobrze zasłużonej sławie dębów i cyprysów? A cóż to za bezczelność

ze strony konia, że śmie być zwierzęciem ssącym, kiedy zanczi konia poprzednicy w okresie kredowym bywali powszechnie ogromnemi jaszczurkami, których koście podziwiamy dziś pobożnie po muzeach, nieopodal od szklanej skrzyni, zawierającej, dajmy na to, kościotrup Klitemnestry, przywiezionej z Peloponezu? A już napewne jest to dowodem niesłychanej zarozumiałości ze strony konia, że stąpa na jednym kopycie, a nie na trzech kopytach, jak jęgo czcigodny protoplasta paleoteryum. Doprawdy nie wiem, jakby się miało młode pokolenie zastosować do recepty, zalecającej naśladowanie Homera i Szekspira, albo Rafaela i Rembrandta, skoro każdy z tych wielkich geniuszów był tak samodzielny, był tak odrębny, że chyba trudno o większe różnice, niż te, które zachodzą pomiędzy ich arcydziełami. Historia literatury i sztuki świadczy o tem, że kto zalety różnorodnych mistrzów pędzła, słowa, a choćby tylko filozoficznej myśli, usiłował, naśladowując, pogodzić, stawał się eklektykiem, a kto obrał sobie jeden wyłączny pierwowzór stał się manierzystą, same zaś nazwy eklektyka i manierzysty świadczą o nudnej bezdusznosci tuzinkowych, jakby na urząd fabrykowanych utworów. Wielcy naprawdę ludzie żadnej recepty się nie trzymają, nikogo nie naśladowują, bywają nowatorami, czerpią ze swojej samodzielnej, oryginalnej duszy i tą oryginalnością zachwycają, porywają, przez tę oryginalność gorszą zrazu miłośników bezdusznej rutyny, budzą wrzawę dokoła dzieł swoich, pozyskują zapalonych szczerze wielbicieli i dodają wreszcie coś istotnie nowego do skarbcza ludzkości. I ja także nie mogę się przyzwyczaić do nowych kierunków ducha, które się w młodszym objawiają pokoleniu. Ale ilekrotnie się połapię, że mam ochotę protestować przeciw tym nowościom, powiadam sobie: „twoi dziadowie tak samo gorszyli się Mickiewiczem, którego podziwiasz i kochasz.“ Nietylko w dziedzinie literatury i sztuki, w każdej dziedzinie działalności ludzkiej tylko buntownicy, przeciwstawiający martwej rutynie z własnej duszy zaczerpniętą oryginalność, pełnili rodzaj ludzki naprzód. Niech społeczeństwo każdego nowatora wyklnie, każdą oryginalność potępi, a zchińszczyje niezawodnie. Miejsce życia społecznego zajmie biurokracyjna rutyna i bezsensowna etykieta, miejsce sztuki — pracowite i dokładne rzemiosło. Ani się spostrzeże, jak to, co było niegdyś może żywotne i nawet doskonałe, stało się z czasem przestarzałym, skostniałym rupieciami, zawadzającym przy każdym zajęciu i zdarzeniu. Ze wzgardą patrzy takie społeczeństwo na zewnętrznych barbarzyńców, nie znających nieomyślnej rutyny, albo na odszczepieńców, którzy tę rutynę zamienili na nowinki; — aż nadejdzie prze-

budzenie, w dniu, w którym barbarzyńcy z Europy wejdą do Pekinu, nie dbając o święte, potrójne mury przesądu, Japońscy odszczepieńcy pobiją wojska Bogdychana. Dobrze jak się znajdują gdzie anarchiści w duchu, którzy rutynie pobluźnią, i może być że młodzi mają słusność, obwołując rewolucyę anarchistyczną w literaturze i sztuce. Sprzykrzyły się już strasznie jednostajnie rodzajowe obrazy i powieści, które same były swego czasu nowością. Młodzi postanowili stworzyć coś nowego; ale zrozumieli, że dawniejsi młodzi błędzili zawsze tem, iż znów dla nowości każdej pisali zakon niezmienny, ustanawiali reguły — po pseudo-klasycznych, romantyczne, po romantycznych realistyczne i naturalistyczne. Trafili może w samo sedno, kiedy zawołali, że reguł niema, że każdy ma tworzyć to, co mu na myśl wpadnie, to, czego dusza zapagnie. Więc pewno, wielu tworzy zamiast nudnych jak niegdyś i oklepanych, rzeczy śmieszne i niedorzeczne, bo kto talentu niema a poezyę lub literaturę uprawia, ten dobrego nie stworzy chyba nic. Ale zato kto ma talent, bywa odrazu naprawdę oryginalnym, a to zdobycz niezawodna.

— Mógłbym niejedno pańskim wywodom zarzucić — rzekł Koziełło — i może kiedyś wrócimy do tego przedmiotu, wieczorem w Skoczyskach, po późnym obiedzie, kiedy nic lepszego nie będzie do roboty. Zamiast bawić się w sekretarza, zabawimy się może raz w dyskusyę o kierunkach sztuki i cywilizacyi. Teraz poprzestanę na dwu uwagach: Po pierwsze powiem, że jeśli już o całą cywilizacyę, a nie o samą tylko sztukę chodzi, nowa zdobycz bywa zawsze uzupełnieniem a poniekąd poprawieniem dawnego, wspólnego społecznego skarbu, umożliwionem przez znajomość tego, co już wpierw zrobiono, dziełem człowieka, który w jakimś kierunku współczesnych przerósł, ale dlatego, ponieważ do nich wpierw dorósł. Powtóre powiem, że secesyoniści wszelkiej barwy, podobnie jak wszyscy anarchiści na świecie, ustnie tylko anarchię swoją obwołują, a w istocie wszyscy należą do szkoły i do konsorteryi, mającej swoje prawidła i swoje przepisy bardzo ciasne, których się każdy trzymać musi, jeśli nie ma u kolegów na wielką zasłużyć kłątwe. Człowiek sam nie wart nic, gdy się wyrывa z dobrowolnego związku, pod przymusową popada niewolę, — i nie co innego spotkało dzisiejszych modernistów, których pospolite produkeye są rozpaczliwie podobne do siebie. Ale teraz dyskutować grzech. Trzeba się nacieszyć Morskiem Okiem.

Uznaliśmy zgodnie słusność tej uwagi i już nie zajmowaliśmy się tego dnia więcej rozpoczętą dyskusyą.

II.

Nazajutrz popołudniu siedziałem z panią Leokadyą na tarasie przed willą Skoczyska, położoną od strony niewielkiego ogrodu. Pogoda była śliczna i słońce oświecało błonia zielone, rzadka budynkami drewnianymi zasiane, po za którymi wznosiła się potężna góra, Giewont, niby ogromny sarkofag, zielenią obrosły; powiadam sarkofag jakiś bajeczny, bo lud dopatruje się postaci ogromnego rycerza, leżącego na wznak na grzbiecie góry, gdzieś wysoko w nadobłocznej już krainie, a oko Zakopiańskich gości odnajduje bez trudu postać olbrzyma owego, śpiącego snem wiecznym na górskim szczycie, skoro mu pomoże wyobraźnia, przez ludowe podanie pobudzona. Po stokach góry igrały promienie słońca, i lekkie, białe obłoki, unoszące się rzadka po niebie, rzucając na połoniny, czarne skały i przepaściste górskie czeluście coraz to nowe, coraz bardziej czarodziejskie światła i cienie. Rozmawiając nawet i nie odwracając uwagi od przedmiotu rozmowy, zwracaliśmy źrenice swoje ku Giewontowi, a gra światła i cieni bawiła wzrok, nastrojała duszę swobodniej, podobnie jak gra zdaleka słyszanej, ale nie słuchanej orkiestry. A rozmawialiśmy ciągle i choćśmy co chwila na Giewont spoglądali, myśleliśmy o czem innym.

Rozmowa z panią d'Estrée była bardzo zabawną i bardzo zajmującą. Znała, jak to powiadają, całą Polskę i całą Europę, nie tyle w tym sensie, aby znała wszystkie góry i rzeki, albo wszystkie ciekawości, które Bädeker do oglądania zaleca, ile w tem znaczeniu, że znała mnóstwo ludzi i wszystkie prawie plotki, tyżące się ludzi, czy to majątniejszych, czy to z jakiegokolwiek powodu znakomitszych, zamieszkujących przestrzeń pomiędzy Uralem a Atlantykiem i nawet bardzo wiele plotek zaatlantyckich. O tem wszystkim rozmawiała dowcipnie i ze znajomością rzeczy, ale ze swobodą, któraby się wydała naiwną u osoby mniej bywałej, mniej inteligentnej—i nie mającej lat czterdziestu. A pani d'Estrée miała lat czterdzieści — wiedziałem o tem napewno, skoro się sama do tego przyznawała, dodając uwagę, że nie rozumie po co sobie kobiety lata ujmują; przez to ani nie stają się, ani nie wydają młodszemi; narażają się tylko na śmieszność; jeśli się mimo swego wieku jeszcze podobają, tem większym bywa powab kobiety, o której wiedzą, że jest już starszą; jeśli, przeciwnie, kobieta uchodzi za młodą a robi wrażenie starszej, odstręcza od siebie. Pani Leokadya doświadczyła już tego, że mężczy-

źni szaleli za przeszło pięćdziesięcioletnimi kobietami, które wyglądały tak, jakby miały lat czterdzieści, a stronili od kobiet dwudziestoletnich, zato jedynie, że wyglądały tak, jakby miały lat trzydzieści. Na podstawie tego doświadczenia skonstruowała sobie system prawdomówności, mądrze obliczonej. Mówiła o bliźnich swoich rzeczy najbardziej kompromitujące ich dobrą sławę, jakby to były rzeczy zupełnie niewinne; a to jej opowiadanie bawiło, nauczało nawet, a nie robiło wrażenia obmowy; owszem, zdawało się, że piękna markiza, opowiadając o mężach niewiernych i żonach uwiedzionych, o bardzo wątpliwych spekulacyach i rozmaitych niegodziwościach, nawet o kradzieżach przezwanym defraudacyami, chwali osoby, które się tych przestępstw dopuściły, jeśli czyn popełniły śmiało, z pewną dyzynwolturą, znamionującą ludzi przywykłych do stosunków wielkiego naprawdę świata. Tak samo wyrażała się z uznaniem o ludziach przestrzegających ściśle przepisów religii lub honoru, mianowicie, jeśli ci ludzie z tego powodu zrobili coś niezwyčajnego. Była jakby jakiś uczeń Nietzschego, którego zresztą nie czytała, powyżej wszelkich wyobrażeń moralnych, a ceniła ludzi o tyle tylko, o ile ich postępowanie świadczyło o silnie rozwiniętej indywidualności. Więc także o sobie mówiła z dziwną otwartością, a zwłaszcza pod nieobecność pańien, dla których pewnej, litościwej nie ukrywała pogardy, robiła publiczne i głośne zwierzenia, których otwartość musiała zadziwić, ale które wpajały we wszystkich przekonanie, iż osoba, spowiadająca się tak publicznie, nie jest pospolitą kobietą, czyli, jak się sama wyrażała: głupią babą.

Wiedziałem tedy o markizie tyle, że o tem przyszyłoby chyba osobną książkę napisać. Rodzice jej byli przedstawicielami typu, który, zdaje mi się, wymiera już, ale nie wymarł jeszcze. Byli to bardzo majątni ziemianie z Wołynia, którzy, jak tylko mogli, uciekali do Paryża, albo na Riwierę i tam mieszały się z towarzystwem kosmopolitycznym. Jakkolwiek nie mało byli dumni ze swego szlacheckiego klejnotu i z pochodzenia od rodziny nie hetmańskiej wprawdzie i nie historycznej, ale starodawnej, jakkolwiek wierzyli nawet chwilami, że są potomkami znakomitego rodu, imponowała im zagranica i rośli we własnej opinii, ilekroć się mogli ocierać o cudzoziemców utytułowanych. Pochlebilo im to tedy niezmiernie, kiedy autentyczny francuski markiz oświadczył się o rękę ich córki; ani przez głowę im nie przeszło, aby kto mógł takiej propozycji odmówić, nie dali postać w głowie Leokadyi myśli, aby mogła nie pójść za markiza, sprawili jej w Paryżu świetne wesele i z wielkiej radości dali jej gotówką

nierównie więcej, niżli dać wypadało, przystępując choćby po śmierci do równego pomiędzy dziećmi działu. Pani Leokadya poszła zamąż, nie wiedząc nawet czy jej się przyszły mąż podoba, czy nie podoba, mając lat zaledwo ośmnaście i zrazu bawiła się tem, że jest mężatką, że żyje w Paryżu; dawała się mężowi obwozić po teatrach, balach i wieczorach, bawiła się doskonale, stroiła się ślicznie i obdarzyła męża dwoma synami. Dopiero w cztery lata zakochała się, ale nie w swoim mężu. O tem nie mówiła, czy z tego powodu przechodziła przez wewnętrzne burze, tylekrotnie opisywane po francuskich powieściach i dramatach; jeśli czuła niepokoje, kiedy się tak niesakramentalnie zakochała, to z pewnością tylko za pierwszym razem. Bardzo niezadługo wyrobiła sobie wcale spokojną filozofię życia, przeciw której mąż także zbyt głośno nie protestował. Nie rozwiedli się wcale, nigdy nawet do scen pomiędzy nimi nie przyszło, a uczucia pani Leokadyi nigdy nie przybrały tak stałego charakteru, nigdy się tak nieprzyzwoicie nie objawiły, aby ją narażały na utratę towarzyskiego stanowiska. Mąż żył sobie, a żona żyła sobie; dzieci wychowywały się w jezuickim pensjonacie, oboje małżonkowie zjeżdżali się nawet z sobą na parę tygodni, co roku, i wszystko było w porządku, a pani d'Estrée miała to jedynie swojemu mężowi za złe, że część swojego majątku stracił w nieszczęśliwej jakiejś giełdowej spekulacji. Sama postanowiła żyć jaknajwygodniej, jaknajzabawniej i umiała to sobie znakomicie urządzić. Grywała także na giełdzie, grywała nawet w ruletę, ale zawsze ze spokojem i jak dotąd, w sposób, który jej majątku przysporzył; żyła życiem najmajętniejszych ludzi, wydając przy tem nierównie mniej pieniędzy od innych; szukała zabawy towarzyskiej, bez niej istnieć nie mogła, a urządziła sobie tę zabawę tak, aby się jej otoczenie co chwila zmieniało; zjawiała się wśród znajomych w kraju, albo zagranicą, jak meteor, stawała się odrazu osobą najważniejszą w swoim towarzyskiem kole, a znikwała na lat parę, skoro tylko miała uczucie, że spowszedniała, że ludzie zajmują się czem innem, jak markizą Leokadyą d'Estrée; wyjeżdżała w dalekie strony, znikwała na lat kilka z widnokregu. Przyjaźnie zawierała tylko z mężczyznami i to z mężczyznami dobrze wychowanymi, a pod jakimś względem znakomitymi, albo przynajmniej bardzo godnymi uwagi. Bywały to przyjaźnie bardzo zażyłe, tak dalece, że uroczą pani spędzała niekiedy kilka miesięcy gdzieś na ustroniu ze swoim przyjacielem. O tych przyjaźniach mówiła później swobodnie, a z dawnymi przyjaciółmi, podobnie jak z mężem, utrzymywała towarzyskie stosunki. Pani

d'Estrée wcale jednak namiętną nie była i domyślałam się, że jeśli taka przyjaźń sentymentalne przybierała kształty, to tylko dla niewieściego sportu; wiem napewno, że pani Leokadya wiedziała z góry, iż taka przyjaźń długo trwać nie może i nie powinna, że należy, aby pozostała w życiu epizodem bez poważnych następstw i że taką przyjaźń zrywała z lekkim sercem, skoro miała najmniejsze podejrzenie, iż sama spowszednieć może, albo przyjacieli dla niej spowszednieje. Pani d'Estrée czytywała bardzo mało i to tylko powieści, ale przysłuchiwała się chętnie, choćby najpoważniejszym rosinowom, byle się nie wdawały w suche, zawodowe szczegóły, sama umiała każdego naprowadzić na przedmiot, o którym mógł coś ciekawego powiedzieć; umiała przeto o wszystkim rozmawiać tak, jakgdyby wielką posiadała erudycję i nawet stanowcze o wszystkim wygłaszała zdanie, które się jednak zmieniało za każdym razem tak, jak się tego domagało pokierowanie konwersacją, dodanie bodźca rozmawiającym. Dla mnie była najbardziej zajmująca, kiedy rozmawiała o ludziach i zdarzeniach współczesnych.

Wiedziałem, że pani Leokadya także na Litwie bywała świetnym, towarzyskim meteorem, a pani Zakliczyna interesowała mnie nie mało, jako dawna znajoma. Spytałem się tedy o nią świetnej kosmopolitki. Zawołała:

— Pan jesteś dobry! Pan chcesz abym panu coś specjalnego, osobistego o pani Laurze powiedziała! To zupełnie tak, jakbyś pan żądał indywidualnych szczegółów o jakiejś doryckiej kolumnie. Pani Zakliczyna jest w najwyższym stopniu stylowa, jej indywidualność zatoneła w stylu, albo jeśli pan wolisz, styl stał się jej indywidualnością. Zabłądziła do wieku dwudziestego, jakby jakiś lepidodendron rósł w tegoczesnym lesie; tylko że takich żeńskich lepidodendronów jest na Litwie jeszcze sporo. Cała żyje tradycją, a pan tę tradycję znasz doskonale, może lepiej odemnie. Otóż powiem tylko panu, że pani Laura Zakliczyna jest matroną stylowo doskonałą, dezoryentowaną pośród nowożytnego społeczeństwa, a musisz sobie pan sam wszystkie szczegóły dorobić, bo gdybym je wyliczała, stałabym się nudną, jak wielkopostne kazanie.

— Tak — odrzekłem — domyślałem się tego. Ale chciałbym wiedzieć, w jakich okolicznościach się ta stylowa niewiasta znajduje? Bo okoliczności nie zawsze się stosują do stylu osobnika.

— Tym razem — rzekła pani Leokadya — okoliczności są także stylowe. Kolumna dźwiga strop, a Pani Zakliczyna szuka męża

dla swojej posażnej jedynaczki. W tym celu przyjechała do Zakopanego.

Zapytałem: — a czy szukany mąż się znajdzie? Widzę aż trzech konkurentów, ale nie wiem, który jakie ma szanse?

Aż trzech?—zawołała pani d'Estrée. Ja wiem tylko o dwóch adoratorach, a o jednym tylko konkurencie, który ma u mamy wszystkie szanse, a że w stylowych rodzinach mama o wszystkim stanowi, pannę prawdopodobnie weźmie. Jest nim pan Borski. Pannie się podobać nie może, ale sama nie będzie o tem wiedziała, że jej się nie podoba, sama się do tego przed sobą nie przyzna, pójdzie za niego, bo mama każe, i bo się tego styl domaga, a potem będzie dobrą, cnotliwą, tradycyjną żoną, podług katolickiej i staropolskiej recepty, taką jakąby i ja prawdopodobnie była, gdyby mnie rodzice na szczęście nie byli zawieźli zagranicę w świat szeroki, w którym nie ma już despotyzmu tradycyi—w park angielski z ogrodu strzyżonego. Mamie stylowej pan Borski podobać się musi. Podług logiki i dobrego gustu podobać się nie powinien, bo stylu nie ma żadnego. Skutkiem nieszczęsnych okoliczności sprawiających, że taka pani Laura jest, wraz z mnóstwem kobiet u nas, anachronizmem, mężczyzn w jej stylu nie ma już wcale i być nie może — a jeżeli mają styl jakiś, to zupełnie inny, który cnotliwą niewiastę okropnie razi. Więc mamy najchętniej dla córek wybierają mężów zupełnie bez stylu, tak rozpaczliwie niestylowych, jak kamienica z czasów Ludwika Filipa; nie mogąc znaleźć męża, któryby im dorównał, upodobają sobie kamyki okrągłe, wytoczone za młodu przez wodę płytkiego strumyka, któremi szosę usypano. Mężczyzna w stylu pani Laury, byłby chyba jakimś Skrzetuskim, jakimś rycerzem bez skazy, walczącym nieustannie dla wiary i ojczyzny. Młodość spędzałby w polu, na walce z czernią i z niewiernymi; a pełen zasług i chwały, zasiadłby na starość w królewskiej radzie, gotówby jednak w każdej chwili ruszyć na kresy i zginąć w krwawej potrzebie. Czasem kazałby pohańców, albo kacerzy, na pal wbijać, ale odmawiałby przytem różaniec, nosiłby całe życie szkaplerz na piersi, przed śmiercią kazałby się wynieść z łóżka, aby przyjąć przenajświętszy sakrament klęcząc, nakształt świętego Hieronima, albo Onufrego i kazałby się pochować w habicie franciszkańskiego tercyarza; za życia fundowałby hojnie klasztory. Tacy bywali dawniej całkiem naturalnie, a co dla zapobiegliwej matki najważniejszą rzeczą, ich żony, ich dzieci wychodziły na tem dobrze. Król Jegomość życie pełne gotyckiej zasługi wynadgradzał hojnie bogatemi starostwami, a pani starościna cieszyła się nietylko

wzięciem u ludzi, ale także dostatkami. Dzisiaj mężczyzna w tym stylu jest nie tylko fizycznym, ale przede wszystkim moralnym niepodobieństwem. Siłą jego niegdyś największą było to, że był doskonałym wyrazem powszechnych wyobrażeń, społecznym ideałem, którego jednomyślnie darzono podziwem. Dzisiaj powszechnych, ogólnie przyjętych wyobrażeń nie znalazłby jakiś nowy Dyogenes, choćby tysiąc latami w dzień biały zapalił. Są grupy, koterye, stronnictwa, które sobie złorzeczą, albo które się wyśmiewają nawzajem. Kobiety mogą sobie zatykać uszy przed wrzawą przypominającą zamieszanie języków dokoła Babilońskiej wieży, i żyjąc zwłaszcza na wsi, pozostać tak stylowymi, jak pani Zakliczyna; dla mężczyzny wykształconego to niepodobieństwo; musi być heretykiem, w sensie w którym Bossuet powiada, że heretykiem jest każdy, kto ma swoje zdanie; nie może na żaden sposób mieć zdania powszechności, bo takiego zdania nie ma; jeśli nie chce być ślimakiem, pilnującym swego domku, musi mieć opinię, przystać do jakiejś opinii. Wojujący katolik, *orthodoxissimus*, bywa dziś tylko reprezentantem swojego stronnictwa, swojej opinii, więc jest heretykiem, najwyraźniejszym heretykiem, żyjącym w niezgodzie z opinią wszystkich innych stronnictw, ogromnej większości społeczeństwa. Jeśli będzie stanowczo i wyraźnie za swoim przekonaniem obstawał, nie dostanie za to starostwa, a mnóstwo guzów ponabija sobie na głowie. Kobiety stylowe w rodzaju Zakliczyny niczego tak nienawidzą, jak heretyków, a ludzi, którzy sobie gotowi guzy ponabijać, dla swoich córek unikają. Prawda, że są dzisiaj na świecie rozmaite herezye, które mają tę dobrą stronę, że służąc pod ich chorągwią można się dośłużyć jakiego *analogon* dawnego starostwa; ale te herezye są dla kobiety tradycyjnie stylowej czemś tak wstrętnym, jak sam zły duch. Więc trzeba im ślimaka, który wprawdzie wcale nie jest, ani stylowym, ani podobnym do dawnych kresowych rycerzy, ale który daje gwarancję bezpiecznego żywota dla rodziny, a przynajmniej heretykiem nie jest, skoro żadnego zdania nie ma, do żadnego nie należy stronnictwa, pilnuje tylko, aby nie popadł w ekscentryczność, ubiera się podług mody, dom i głowę mebluje podług mody; czuje podług przepisu i zajmuje się skrzętnie drobnymi, nibyto pożytecznymi sprawami, drobnymi a bezpiecznymi interesami. Takim jest właśnie pan Szczęsny Borski i dlatego mam ochotę się założyć, że pannę Celinę dostanie.

Wtrąciłem: więc to porządny człowiek, w stylu *burżoazyjnym*?

Pani Leokadya odparła: porządny człowiek oczywiście. Nikomu nie zaszkodzi — nie wiem czy się komu na co przyda?

W stylu burżuazyjnym nie jest, bo dba o swój klejnot i ma różne stare przesady. W stylu nowożytnym wcale nie jest, ani po amerykańsku, ani po europejsku; od ryzykownej przedsiębiorczości stroni, tak samo jak od zawodowej pracy, choćby na roli, i od zawodowej zabawy. Jest najnudniejszym z ludzi, zupełnie pozbawionym stylu! Chce być *correct*, a osiąga zupełną nicość. Na swoje nieszczęście będzie dużo z żoną bywał w Warszawie; więc przyszła pani Borska połapie się kiedyś, że jej mąż jest zerem, tak jak ludzie bez stylu koniecznie zerami być muszą; będzie nieszczęśliwą, a o to tylko chodzi, czy się do tego sama przed sobą przyzna, czy nie?

Ostatnie elukubracye ekscentrycznej Markizy zabawiły mnie; zaryzykowałem więc nieco zuchwałe zapytanie: — przepraszam panią, ale czy wolno się pytać o to, za co pani masz siebie samą, za zero, czy za osobę ze stylem? Jeśli pani powiesz, że pani jesteś zerem, zaprotestuję. Ale radbym wiedzieć, do jakiego pani stylu należysz?

Pani d'Estrée odpowiedziała z uśmiechem:—naturalnie siebie za zero nie mam i owszem za pierwszą na lewo napisaną cyfrę, od której wartość całej liczby zależy. Nikt siebie nie ma za zero, nawet pan Borski wszystko do siebie odnosi, jak do najważniejszego numeru. Więc nie ja mam panu powiedzieć czem jestem, tylko pan masz mnie pod tym względem objaśnić. Mnie się zdaje, że jestem osobą stylową, ale że sama swój styl wymyśliłam.

— A mnie się zdaje — rzekłem — że Pani jesteś doskonałym okazem *modern style*, czyli jak się u nas zwykle wyrażają — secesyi.

— A czy secesya to styl? — spytała się pani d'Estrée żywo — czasem mi się zdaje, że tak, czasem, że nie?

Odpowiedziałem:—to bardzo ciekawa kwestya, o której może warto będzie w szerszym kółku pogadać; doskonały przedmiot do akademickiej dyskusyi. Ale racz mnie pani wymienić drugiego konkurenta, abym potem sam trzeciego nazwać mógł.

— Nie mówiłam o drugim konkurencie—zaprotestowała pani Leokadya — tylko o drugim adoratorze, którego nikt na seryo za konkurenta nie bierze, i który sam siebie ma przedewszystkiem za adoratora tylko. Tym adoratorem jest oczywiście młody poeta, pan Kazimierz Żeński, czyli wielki, niezrównany wieszcz Eolion, Eolion nad Eolionami, o którym przyszło pamiętać będą wieki!

Spytałem się: a jakże pani sądzisz? Czy to człowiek bez stylu, czy człowiek stylowy?

— To oczywiście zupełnie stylowy egzemplarz secesyi — odparła pani d'Estrée.

— Więc — zawołałem — widzisz pani? Samaś pani na swoje odpowiedziała zapytanie. Secesya to niezawodnie styl osobny, skoro pani bez wahania do secesyonistów zaliczyłaś Eoliona, i skoro się nie znajdzie człowiek o zdrowych zmysłach, któryby zdania pani nie podzielił.

Pani Leokadya spojrzała na mnie znacząco, a do spojrzenia dodała zapytanie: — a czy pan uważasz, że jestem podobną do Eoliona?

Odpowiedziałem:—tego wcale nie twierdziłem. Chodzi o to tylko, czy egzystuje styl modernistyczny, czy też secesyjny i czy państwo oboje jesteście w tym stylu. Dwa przedmioty w tym samym stylu mogą wcale być niepodobne do siebie. Do jakiego stylu zaliczasz pani naprzykład tak bardzo stylową matkę panny Celiny?

Pani Leokadya namyśliła się przez chwilę, a potem zawyrokowała, że chyba do gotyckiego.

Podjąłem: więc do tego samego stylu zaliczysz pani trubadura średniowiecznego, chodzącego z dworu do dworu, pieczenia-rza sypiącego nieznośnie dla nas komplimenta małżonce kasztelana, a błaznującego z zankową służbą. Pani Laura nie jest podobną do tego trubadura, ani nawet do Petrarki, tak samo jak pani nie jesteś podobną do Eoliona, który pisuje czasem wiersze niedorzeczne, a czasem istotnie bardzo piękne wiersze, i jak bransoletka renesansowa nie jest podobną do renesansowego obrazu. Niechno pani spróbuje i mnie i sobie wyjaśnić dla czego Eolion nietylko jest poetą, ale także człowiekiem w stylu secesyi, a wtedy dowiemy się na czem ten styl zależy i o ile pani także jesteś przedmiotem w stylu secesyjnym?

— Wie pan—zawołała pani d'Estrée—że to bardzo zabawna rozmowa; nie spodziewałam się, ażeby się właśnie w Zakopanem znalazł ktoś, któryby tak oryginalną kwestyę postawił. Spróbuję do rzeczy odpowiedzieć.—Oczywiście o to nie chodzi, że Eolion pisze secesyjne wiersze, ale o to, że jest sam secesyjnym człowiekiem, że byłby nim, choćby żadnych wierszy nie pisał. Ależ bo niepodobna sobie Eoliona bez artystycznej twórczości wyobrazić; gdyby nie pisał zwaryowanych wierszy, malowałby zwaryowane obrazy; zawszeby robił coś zwaryowanego, aby na siebie uwagę zwrócić i zbierać poklask. A mnie się nie zdaje, żebym także się nie dała pomyśleć inaczej, jak tylko, jako osoba robiąca zawsze coś zwaryowanego?

— Ale—nalegałem—niech pani zbada wnętrze swego sumienia i powie mi potem, z tą szczerością, którą podziwiam, czy pani

nie czynisz także wypadkiem wszystkiego, aby na siebie zwrócić uwagę i uzyskać poklask? Czy pani nie chodzi o kadzidło?

Pani Leokadya odpowiedziała żywo: woni kadzidła w kościele nie lubię; przypomina pogrzeby i sprawia ból głowy. Ale rozumiem; chodzi o kadzidło z oklepanej, staroświeckiej przenośni. Prawda, lubię na siebie zwrócić uwagę, i lubię pochwałę; lubię się podobać, nie gniewam się za to, jeśli kogoś zadziwię, bylebym mu się równocześnie podobała. To wszystko niewieście, a raczej ludzkie słabości, od których nie jestem wolną. Ale wszystkiego nie robię dla tego jedynie celu; żyję w sposób najbardziej dla siebie zajmujący.

— Tak rzekłem—ale proszę mi powiedzieć, co panią istotnie w życiu zajmuje? Czy utrzymanie tradycji, chwała kościoła, wielkość jakiegoś państwa, albo narodu? — Przecież nie; ubliżyłbym pani, gdybym pani przypisywał takie dążności, bardzo stylowe, ale trzymane w stylach dawniejszych: w stylu greckim, rzymskim, romańskim, gotyckim, tylko nie w stylu *moderne*. Czy panią zajmują i bawią interesa? — Wiem, że się pani niemi zająć uniesz w potrzebie, ale nie są dla pani celem, jak dla owego bogatego fabrykanta z Łodzi, który zajechał był do Skoczysk, a wyniósł się już po kilku dniach, albo jak dla jakiegoś amerykańskiego *Self made man*. Rzadko kiedy interes sprawi pani przyjemną emocję; zwykle robienie interesu jest nudną pańszczyzną, której się pani sumiennie podejmujesz, aby mózdz sobie potem zapewnić używanie przyjemności życia. Nie chodzi pani także o rozwiązanie jakichś naukowych zagadnień, i nie hardzoby panią ucieszyło, choćby nawet wytłómaczenie istoty materji lub ducha.

Przerwała mi pani d'Estrée dość niecierpliwie słowami: doprawdy nie wiem, czemu pan te zapytania recytujesz. Przecie pan mnie masz za rozsądną kobietę i nie przypuszczasz, abym goniła za czemś, co mnie na żaden sposób obchodzić nie może. Gdybym bez tego nie miała zabezpieczonej i niezłej pozycji socyalnej, a była męzczyzną, zajmowałabym się może polityką, albo nauką, aby coś na świecie znaczyć. Ale kobieta uczona była po wszystkie czasy śmiesznią figurą, a kto bez tego może żyć jak się należy, jest monomanem, kiedy się czem innym, jak życiem zajmuje. Wolno mu być w jakimś kierunku dyletantem, jeśli go to bawi. Mnie to nie bawi. Myślę sobie nieraz, żebym się jakiejś oddała pasyjce, żebym się zabawiła w jakieś studyum, gdybym się bardzo nudziła. Ale ja się bardzo nie nudzę; nudzę się tylko trochę, nie więcej od innych przyzwoitych ludzi, a zawsze znajduję sposób odpędzenia nudów, żyjąc, rozbierając w panięci wr-

zenia jakich doznawałem, przypatrując się innym ludziom i odczuwając wrażenia jakie oni mają — wszystko jedno, czy sympatycznie, czy też antypatycznie; doznając wreszcie wrażeń osobistych i udzielając te wrażenia drugim. Mnie się czasem zdaje, że ja jestem doskonałym magnesem, albo bardzo wrażliwą elektryczną maszyną, odczuwającą prądy innych elektrycznych ciał i udzielającą im tych prądów nawzajem. Miejsce prądów elektrycznych zajmują uczucia i wrażenia, sympatye i antypatye — słowem nastroje duszy, a nic nie może być równie zajmującym, równie rozkosznym, jak gra tych nastrojów. Staram się ich mieć jaknajwięcej, mieć jaknajrozmaitsze; oto cel mojego życia — a doprawdy jedyny to cel życia rozsądny! — bo w ten tylko sposób może człowiek naprawdę żyć długo, swoją istotę wyzyskać w pełni. Przecie długości życia nie należy mierzyć na lata kalendarzowe, tylko na sumę doznanych wrażeń. Lepiej, aby przyjemne wrażenia przeważały; ale przykre przydadzą się także, na to, aby się przyjemne potem tem przyjemniejszymi wydały. Zresztą pewne przykrości mają to do siebie, że uwydatniają moją osobistość, wzniecając w niej bunt i opór, wzmagając świadomość istnienia; sprawiają zatem w gruncie rzeczy wcale przyjemną emocję; a wspominać przykrości, które się przebyło, jest rzeczą wprost rozkoszną, tak dalece, że lubię drobną przykrość zamieniać we wspomnieniu w wielkie nieszczęście, któremu się oparłam zwycięsko, a wtedy wmawiam w siebie, że byłam, że jestem heroiną i daję sobie brawo! Być heroiną we własnych oczach, to rzecz bardzo przyjemna, a własne brawo, daleko więcej cieszy od głośnych aplauzów całego parteru. I dlatego — właśnie wtedy, gdy mi się tak dobrze dzieje, że lękam się, czy się nie zaczę nudzić, bawię się w zabawkę zwyczajną u młodych, tak jakbym miała lat dwadzieścia i dla rozkoszy wmawiam w siebie, że jestem bardzo nieszczęśliwa, a potem admiruję heroizm, z którym urojone nieszczęście znoszę.

— Brawo! brawissimo! — zawołałem. Jeśli pani aplauz miły, racz przyjąć moje hołdy. Żaden filozof nie potrafił dotąd określić istoty modernizmu i secesyi tak doskonale jak pani, opisując siebie. Chodzi o to, aby zwrócić na siebie uwagę — i wreszcie, aby się podobać; za tem goni secesyonista — w życiu, i w sztuce. Artysta albo poeta najpierw tworzy konsorteryę, polityk stronnictwo, a tej konsorteryi, tego stronnictwa zadaniem chwalić wszystko, co w nich swój początek czerpie, wszystko inne, czy to stare, czy to nowe, ganić, lekceważyć, ośmieszyć, obwołać jako niedorzeczność, niegodziwość, albo stary, niezdatny nanic grat. Tym sposobem są już pewni, że zwrócą na siebie uwagę,

tem więcej, że przeciwnicy niebaczni, zaczną się z pewnością bronić, napadając nawzajem i sprawią tem samem dokoła modernistycznej grupy piekielną wrzawę, którą słyszeć musi nawet głuchy z urodzenia. Zwróciwszy na siebie uwagę, trzeba się podobać. Aby ten cel osiągnąć, trzeba sobie zdać sprawę z tego, komu człowiek się podobać zamierza, bo w epoce tak demokratycznej jak dzisiejsza, w epoce, w której niema powszechnie przyjętych dogmatów, nie można się na żaden sposób wszystkim podobać. Istnieją jeszcze obok coraz liczniejszych secesjonistów i masy ludzi bez stylu, jednostki i koterye wszystkich możliwych przeszłych, a kilku przyszłych może dopiero stylów. Secesjonista wie z góry, że tym się nie podoba, i że gdyby im się podobał, nie podobałby się całej reszcie świata. Tych zatem wszystkich heretyków, mających swoje wyrobione zdanie ignoruje wspaniale — w literaturze, w sztuce, w polityce, w życiu. O bezstylowym tłumie wie, że będzie podziwiał to, co mu każą; zrazu ten tłum odwróci się od każdej nowości, a gdy liczba chwalców tej nowości wzrośnie dostatecznie, pokłoni się jej, jako nowemu bożyszczu. Że ten tłum zdobędzie się zawsze rezolutną reklamą, więc szkoda o ten tłum się troszczyć. Chodzi zatem wreszcie tylko o ludzi, którzy, choć może jeszcze nie są doskonałymi modernistami i choć może nigdy nimi nie zostaną, to jest nigdy doskonałego secesyjnego nie nabędą stylu, są dość samodzielni, aby mieć tę wrodzoną skłonność do modernizmu, którą musi mieć każdy wychowaniec naszych czasów, jeśli postępuje konsekwentnie i zgodnie z uświęconą zasadą ubóstwienia własnej osoby, a jakiegoś innego pacierza za panią matką nie odmawia gładko, do jakiejś bezmyślnej trzody wiernych nie należy. Ale i ten tłum dzieli się na szeregowców niezliczonych, przewzanych szeroką publicznością i garstkę ludzi o wyrobionym smaku, tworzącą sztab generalny, którego dziś, niestety, nikt nie słucha. Ogromna większość secesjonistów chce się podobać szerokiej publiczności, bo to łatwiejsza, bo to nie wymaga wyszkolenia i talentów; elicie usiłuje się podobać elita, do której pani także, jako secesjonistka w życiu, należysz. Czciociele szerokiej publiczności zaczynają oczywiście od głośnego oświadczenia, że o tę bezmyślną gawiedź nie dbają, bo wiedzą napewno, że każdy niechcący uchodzić za gawiedź, będzie ich podziwiał. Potem zaczynają wyprawiać najekscentryczniejsze figle, mogące każdego wprawić w osłupienie. Poeta pomiata rymem i rytmem, językiem; pisze dramata bez fabuły, poemata bez uchwytneho sensu; malarz i rzeźbiarz tworzą łamigłówki, albo malują umyślnie, na wzór dzieci lub narodów

pierwotnych, albo wreszcie nakładają na przedmioty kolory, jakich te przedmioty nigdy nie mają. Każdy artysta wyprowadza przed oczy tłumu, nigdy wpierv w sztuce niewidzianą ohydę. Polityk zamienia parlament w karcznę, albo w pole dla akrobatycznych popisów; gburostwo, nieudolność, albo poradoksalną niedorzeczność wyprowadza tryumfalnie na pierwszy plan dziejów; człowiek prywatny szuka umyślnej, a zatem fałszowanej oryginalności, dziwi przechodniów strojem, albo zdobywa serca podlotków ekscentrycznemi, a nieraz niebezpiecznemi postępkami, pozbawionemi wszelkiej racyi i wszelkiego celu,—a temu wszystkiemu zawdzięcza swój początek modernistyczna tandeta, której tak pełno na świecie, o której dziś tak głośno, a nad którą potomność przejdzie pogardliwie do porządku dziennego. W każdym stylu bywało zawsze dużo tandety i nie myślę czynić modernizmowi wyrzutu z tego, że także tandetę produkuje, i w życiu i w sztuce. I owszem, jestem secesyi wszelakiej za to wdzięczny, że jej nieudane płody bywają śmieszne, kiedy nieudane płody wielu niegdyś szkół, bywały nudnemi tylko — ale nieznośnie nudnemi. Poza tą tandetą bywały w każdej epoce dzieła prawdziwe sztuki i ludzie stylowi a piękni. Jednych i drugich nie brak, i za dni naszych, a odznaczają się unikaniem widnej ekscentryczności, dobrem wychowaniem, przywłaszczeniem sobie zdobyczy technicznych, form i manier z czasów dawniejszych i przystosowaniem ich do nowej treści. Chcą zainteresować treścią a nie dziwactwem formy, a treść ich nadaje im formę bądź co bądź nową. Kto chce modernizm sprawiedliwie osądzić, niech takich ludzi, niech takie dzieła studjuje. A wtedy dostrzeże, że ich zadaniem jest to, co pani oznaczyłaś sama, jako cel swego życia — doznawanie wrażeń i udzielanie ich drugim. Niegdyś szukano celów poza sobą, szukano raj u w niebie, albo wieku złotego na ziemi, poświęcano się dla tej utopii. Wielcy ludzie to ci, którzy robili niepodobieństwa, aby się zbliżyć do wspólnego celu, którzy jako hetmani przewodzili w walce toczonej przez całe pokolenie; wielkie dzieła to te, które ujawniały promiennie wspólny ideał. Dziś ani wielkich ludzi, ani wielkich dzieł nie szukaj we współczesnej Europie; nie masz nawet doskonale pięknych, ale są bardzo zajmujące i wzruszające dzieła i osoby — a współczesnym niczego więcej nie potrzeba. Ludzkość tyłu ideałów próbowała, że się na razie do wszystkich zniechęciła. Powiedziała sobie: przeznaczeniem ideałów — uszczęśliwienie czy też wydoskonalenie człowieka; gdy ktoś swoją indywidualność ludzką dla ideału poświęca, poświęca cel dla środka i popełnia niedorzeczność; zaniechajmy tedy ideałów i mrzonek,

a zajmujemy się sobą. Więc każdy sobą się zajmuje, wszystko do siebie odnosi, sam w siebie się wsłuchuje. Myśl odnosiła się do urzeczywistnienia ideałów, którego zaniechano; więc człowiek nowożytny nie zajmuje się myślami swojemi, tylko czemś stanowiącem nierównie bardziej istotę istoty ludzkiej, uczuciami, wrażeniami. Impresjonizm był przeto pierwszą nazwą, jaką modernizm oznaczono, i była to nazwa bardzo stosowna. Nazywa się także symbolizmem, bo dla modernisty wszystko co ogląda i wszystko co czyni, znaczy tylko uczucie, które wywołać może, jest symbolem wrażenia, mogącego być także wywołanym przez inne rzeczy. Treść życia i dzieła sztuki są dla symbolisty obojętne, jak słowa pieśni dla prawdziwego miłośnika muzyki, dbającego tylko o ton i rytm, a zatem o symbol uczucia, wywołujący wprost to uczucie, a nie podający przyczyny, dla której ją wywołuje. Wreszcie modernizm przezwano dekadentyzmem. I to nazwa słuszna, jeśli upadkiem społeczeństw nazywają ich rozkład i niezdolność do wielkich czynów. Każdy modernista odłącza siebie od społeczeństwa, a jak mówiłem, mieni wielkie czyny dzieciństwem wynikiem z niedoświadczenia. O wielkiej, idealnej sztuce, o tragedji na scenie i o tragedji w życiu nie może być mowy dla człowieka w najnowszym stylu. Jeśli mu kto każe współczuć z istotami wyższymi od siebie, czuje się upokorzonym. Współczucie, litość, sprawiają mu przyjemność, ale zwrócone ku równym, a lepiej jeszcze ku niższym, nad którymi, współczuwając, może się w dodatku wynosić, a w tem tkwi tajemnica powodzenia utworów, opisujących brzydotę, nędzę, ciemnotę i obłęd mizerny, a nie królewski, ani bohaterski.

Gadałem swoim nagannym zwyczajem zbyt długo. Skoro mnie tylko ktoś słuchać chce, bawię się w wykład, wiem, że to bardzo nieładnie i wstydzę się tego; ale tak sam siebie słuchać lubię, że skoro się tylko sposobność nadarzy, w ten sam błąd popadam, i uważam sam zawsze, że mówię bardzo mądrze. Pani Leokadya była zanadto dobrze wychowaną, aby mnie do końca wysłuchać nie miała, a kiedy skończyłem, dała mi tylko z lekka uczuć, że miarę rozmowy przekroczyłem, mówiąc:

— Bardzo ciekawie wytłómaczyłeś mi pan, że jestem osobą równie stylową, jak pani Zakliczyna, tylko że jestem okazem innego stylu, tak zwanej secesyi. Muszę oczywiście panu wierzyć, chociaż, jeśli pan masz słuszność, nie powinien mi pański wykład trafić do przekonania, a przynajmniej nie powinien był przemówić do mnie. Jeśli się nie mylę, był to wywód logiczny, zwany w szkołach dedukcją, oparty na ścisłej myśli, a nie mający nic

do czynienia z osobistymi wrażeniami duszy, ani nie impresyonistyczny, ani nie symboliczny, staroświecki, jeśli się cokolwiek dziś staroświeckiem nazywać może. Ale dość o mojej rozmawialiśmy osobie. Powiedz mi pan teraz co innego. Bardzom tego ciekawa kto jest trzecim adoratorem panny Celiny, prócz Borskiego i Eoliona?

Odpowiedziałem: — przecie to rzecz oczywista; jest nim Koziełło, i przyznam się, że gdybym był panną, a także gdybym był matką, podobałby mi się Koziełło najwięcej.

— Koziełło? — zawołała pani d'Estrée; Koziełło adoratorem panny Celiny, albo jakiejkolwiek innej cnotliwej, dobrze wychowanej a przez to nic nie znaczącej panny wiejskiej albo karnawałowej! Znam pana Antoniego Koziełłę bardzo dobrze, i był czas, żem się nim bardzo z blizka zajmowała i mogę jemu wydać świadectwo, że godzien był mojego zajęcia, że to człowiek rozumny, namiętny, przytem dość niezwykły, indywidualny, bardzo oryginalny, słowem nadzwyczaj zajmujący. Ale on może być adoratorem tego tylko co oryginalne, niezwykłe; a ręczę zato, że się z panną Celiną nie myśli żenić, wątpię, aby się w ogóle kiedy ożenił. Koziełło to dopiero w całej pełni ów nowożytny człowiek stylowy, któregoś pan tak dobrze określił. Myśli o sobie tylko i szuka wzruszeń, ale wzruszeń niezwykłych, jakich taka Celinka dać mu nie może, a jakich nie dopuści jednostajne życie małżonka i ojca rodziny. Koziełło dla ciemnych lub błękitnych oczu dziewczyny przynigdy nie zapomni o sobie.

Spytałem się: — a czyż pani sądzisz, że ci dwaj panowie, którym przyznałaś charakter adoratorów panny Zakliczanki, tak się w miłość dla niej zagłębili, tak w niej utonęli, żeby aż zapomnieli o sobie i o swoim szczęściu? Byłby to w dzisiejszym świecie rzadki wypadek, a właśnie ci dwaj panowie nie wyglądają na to, aby byli wyjątkową miłością trapieni. Choćśmy się zgodzili, że Borski jest człowiekiem pozbawionym wszelkiego stylu, wydaje mi się jednak zbyt nowożytnym człowiekiem, aby kiedykolwiek zapomniał o sobie. Panna Celina podoba mu się niezawodnie, ale mogłyby mu się inne panny tak samo podobać, a jeśli się adresuje do Zakliczanki, to dlatego że mu się wydaje dobrą, a możliwą do osiągnięcia partya. Są zapewne na świecie lepsze jeszcze partye, naprzykład rozmaite królowny; ale żadna królowna nie zechce pójść za Szczęsnego Borskiego, a to człowiek tak rozsądny, że o tem nie myśli, co się stać nie może. Panny Celiny spodziewa się Borski dostać, wie że poślubiwszy ją, poprawi sobie socyalną pozycyę, weźmie znaczny posag i bardzo poka-

zną żonę, która potrafi zająć poczesne miejsce w warszawskiem towarzystwie i wiedząc o tem wszystkim, stara się o jej rękę, i pani nic nie masz przeciw temu, żeby się nazywał jej adoratorem, choć właściwie sam siebie tylko adoruje.

— Oczywiście! — podjęła pani Leokadya; — jak się dziś o kimś mówi, że jest adoratorem czyimś, ma się to jedynie na myśli, że sam siebie *a propos* jakiejś niewiasty adoruje. Tylko najnaiwniejszy podlotek może mieć inne o mężczyznach wyobrażenie. W tym sensie jest Borski adoratorem Celiny; w tym samym sensie i Eolion, choć u niego są o wiele mniej rozsądne i zupełnie odmienne formy samoadoracyi. Podobała się panna Eolionowi, więc postanowił z jej powodu wzniecić w sobie podobiznę wszystkich uczuć romantycznej a zapamiętałej miłości, o których czytał w książkach i o których sam pisze. Chce odegrać sam z sobą dramat miłości, wmówić w siebie wiarę w idealną Celiny doskonałość, wiedząc i układając sobie z góry, że nastąpi tragiczne rozczarowanie; najprawdopodobniej panna nie będzie go chciała i Eolion mimo całej swojej zarozumiałości wie, że to wypadek najprawdopodobniejszy; ale wtenczas nastanie właśnie chwila, kiedy będzie mógł sam siebie podziwiać, uznawszy, że Celina to istota niegodna jego uczuć, przekładająca względy światowe nad miłość, którą przecie niezawodnie dla Eoliona uczuć musiała;—i odwróci się od niej z tragiczną goryczą w sercu i gestem pogardy; albo też stanie się nieprawdopodobieństwo i panna będzie jemu przychylną; na ten wypadek układa sobie Eolion inną tragedję; odkryje nagle, że sam nie jest godzien ukochanego anioła, i opuści go z rozpaczą w sercu, a sam siebie znów będzie podziwiał, za swoją szlachetność, zato, że dziewicy nie chciał umieszczęśliwić. Eolion układa sobie wszystkie te romanse, aby się móżdż przypatrywać sobie i znaleźć temat do dźwięcznych wierszy, a jest przekonany, że potrafi swoje zachwyty tak regulować, że miłość, gorycz i rozpacz, nie będą uczuciami na seryo, a zatem rzeczami wcale niebezpiecznemi, ale przecie doskonałą poetyczną imitacyą uczuć na seryo. Może być, że Eolion nie przewiduje dobrze tego, co go czeka; zapomina o swojej wygórowanej miłości własnej i o tem, że gotów wreszcie na seryo chcieć, aby się panna w nim zakochała, na seryo cierpieć nieznośnie, gdy panna tak go nie ubóstwi, jak on tego we własnem przekonaniu wart. Zapomina oprócz tego, że jest tylko od parady Eolionem, a naprawdę Kazimierzem Żeńskim, człowiekiem z krwi i kości, posiadającym bardzo niewiele pieniędzy, i że zatem, gdyby się stało niepodobieństwo i gdyby posażna panna za niego pójść chciała, Żeński gotów ro-

mantycznego Eoliona puścić... w telefon i ożenić się z posagiem, tak samo, jak najprozaiczniejszy Borski.

— Więc—zapytałem—skoro pani imię adoratorów przyznajesz dwom doskonałym egoistom, dlatego że się panną zajmują i konwencyonalnie konwencyonalną miłość udają, nierozumiem dlaczego nie chcesz tej samej nazwy przyznać Kozielle? Przecie tak samo zajmuje się panną, zabiega o pannę, jak tamci dwaj, a daleko rozumniej i zręczniejsz od tamtych dwóch stara się przy paninie i mamie mówić takie rzeczy, które mogą się paninie i mamie podobać.

Pani Leokadya odpowiedziała z irytacją, której mimo dobrego wychowania ukryć nie umiała: — bo mam zbyt dobrą opinię o panu Antonim, abym przypuszczała, żeby taka zwyczajna panna dobrze wychowana mogła go zająć powtórnie, skoro się już raz, na Litwie pobawił z nią tyle, ile człowiek się bawić może z tak nieskazitelną panięńską cnotą. Wtenczas się dziwiłam tej zabawie; zupełniebym nie pojmowała jej powtórzenia.

Zrozumiałem teraz doskonale, że pani Leokadya życzyła sobie, ażeby się Koziello nią tylko zajmował w Zakopanem—jak to się już raz, gdzieś na kuli ziemskiej stało i odstało, że sama ze znajomości z Koziellą nie wycisnęła jeszcze wszystkiego, że dalszych wzruszeń pragnęła i że przeto postąpiłem sobie najniezręczniejsz w świecie, zaliczając przy niej Koziellę do adoratorów Zakliczanki. Ale co się stało, odstać się nie mogło; bywa w takich razach zawsze rzeczą najzręczniejszą udawać, że się własnej nie spostrzegło niezręczności, kłaść na nią nacisk, niezręczność jeszcze z lekka powtórzyć — *comme si de rien n'était*. Potem to co pani d'Estrée powiedziała, a czego niepowiedziała, zaciekawiło mnie, a przyznam się, że się ciekawości oprzeć nie umiem. Wszystkiego dociekać muszę. Spytałem się przeto: — jak to pani rozumiesz, że Koziello już się raz przypatrzył paninie Celinie tak dobrze, że dalsza ciekawość z jego strony powinna być wykluczona?

Pani Leokadya odpowiedziała żywo: — bo już raz ją zbałamucił, a potem porzucił. Kiedy byłam na Litwie temu lat trzy, gadała o tem cała Litwa, że się Koziello ustatkował, że się żeni z Zakliczanką. Dziwiłam się temu, nie chciałam wierzyć. Poprzedzającej zimy spędziłam była w Palermo kilka miesięcy z Koziellą i sądziłam, żem go poznała, że wiedziałam jaki to człowiek: bardzo rozumny, pełen porywów i marzeń, jest to dyletant życia, który jego tajemnice bada i chce wszystkiego zaznać, a swoją osobistość doprowadzić do najzupełniejszego i najdoskonalszego rozwoju. Nieraz mówił mi, że nikt z ludzi nie zdoła wpłynąć na losy pokoleń i społeczeństw, na szczęście lub nieszczęście drugie-

go człowieka. Wszystkiem władają prawa nieubłagane, a chcieć odwrócić kolej dziejów, albo kolej życia ludzkiego jest przedsięwzięciem równie szalonym, jak zamiar zawrócenia gwiazdy w biegu. Człowiek rozumny nie powinien tedy swojej istoty łamać poświęceniem, krępować stałemi związkami; powinien tylko być ogrodnikiem pielęgnującym latorośl swojej duszy, starającym się o to jedynie, aby się najwspanialej rozwinęła, odczuła wszystko, zaznała wszystkiego, do czego zdolna. Nie byłabym się zadziwiła, gdyby Koziełło był podjął podróż eksploracyjną do środkowej Afryki, albo gdyby się był zaciągnął w szeregi Burów walczących z Anglikami, ale nie pojmowałam pocoby się miał żenić z Celiną i wprzódz się samowolnie do eksperymentu, który nowych wrażeń nie sprawi, a gotów trwać całe życie. Jednak musiałam się ugiąć przed oczywistością. Koziełło bywał u pani Zakliczyny w Wyszywiskach, tak jak tylko konkurent przyzwoicie bywać może; kilku innych wcale okazałych konkurentów ustąpiło mu pierwszeństwa, wiedząc że się z nim mierzyć nie mogą. Panna kochała się w nim naprawdę, czemu się wcale nie dziwię, a mama, olśniona majątkiem i świetnością konkurenta, wmawiała w siebie, że się w samej rzeczy ustatkuje. Lada chwila spodziewano się formalnych oświadczeń, dziwiono się powszechnie, że o zaręczynach jeszcze nie słychać. Nagle wyjechał Koziełło zagranicę i puścił się w podróż naokoło świata. Nikt nie mógł przypuszczać, żeby był kawaler dostał odkosza, było rzeczą oczywistą, że to panna na koszu osiadła. Koziełło zrobił poprostu doświadczenie, chciał zaznać wrażeń zakochanego konkurenta, ale omal, że przytem nie przekroczył granic dobrego wychowania, granic zakreślonych przez kodeks honoru. Darują mu to ludzie, ponieważ jest świetny i majątny, ale sam o tem wiedzieć musi, że mu tego ani panna, ani jej matka nigdy nie darują. Więc nie może być, aby o Celinę znowu zabiegał. Chyba — chyba tylko — i ta myśl mnie niepokoi, skoro pan zwróciłeś swoją uwagę na jego postępowanie, chce zrobić próbę siły, chce doświadczyć, czy ta sama mucha nie może dwa razy wpaść do tej samej pajęczej sieci? — Chyba chce dowieść sobie, że wbrew wszystkiemu potrafi Celinę i jej matkę drugi raz zdobyć, aby potem unknąć znowu w świat szeroki. Byłby to już eksperyment niegodziwy, byłoby to już poświęcenie egzystencji ludzkiej dla samolubnej zachcianki. Dobrze, żeś mnie pan zaalarmował. Muszę przestrzedz Zakliczynę; muszę przeszkodzić nieszczęściu. Bo gdyby Celina drugi raz padła ofiarą Koziełły, jużby tego nie przeboleła, szczęśliwąby już nigdy nie była.

ZASADNICZE PODSTAWY SAMORZĄDU.

Jeżeli ze znajomością rzeczy przystąpimy do porównania stosunków i urzędzeń społecznych w dwóch krajach, przodujących innym w cywilizacji—w Anglii i we Francyi, to po krótkim badaniu przyjdziemy do przekonania, że swobody obywatelskie są o wiele obszerniejsze w monarchicznej Anglii, niż w republikańskiej Francyi, pomimo że w Anglii najważniejszym dostojnikiem państwa jest dziedziczny panujący, we Francyi zaś obieralny prezydent; pomimo że w Anglii izba wyższa lordów składa się z członków, piastujących tę godność dziedzicznie, we Francyi senat—z przedstawicieli przez ludność wybranych; pomimo wreszcie tego, że w Anglii prawo wyborcze nie jest powszechne, jak we Francyi. Twierdzenie powyższe wydaje się nieprawdopodobnem, jest ono wszakże najzupełniej prawdziwe. Swobody obywatelskie bowiem polegają mniej na ustroju centralnego rządu, niż na racjonalnej organizacji samorządu miejscowego, gdyż jednorazowe wykonanie prawa wyborczego przy obiorze przedstawiciela do parlamentu centralnego ma o wiele mniejsze znaczenie, niż zupełna niezależność w urządzaniu swego własnego zakątka, stosownie do naszych potrzeb, interesów i zwyczajów tak, aby w granicach naszej możliwości stworzyć sobie najdogodniejsze warunki codziennego bytu. Potrzeby i wymagania rozmaitych okolic wielkiego państwa są bardzo odmienne: to co jedna uważa dla siebie za korzystne, dla drugiej może być bezużyteczne, a nawet szkodliwe. Oczywiście więc jest, że rząd centralny nie jest w stanie wszystkich zadowolnić, gdyby nawet był idealnym i szczerze chciał to uczynić. W obec tego najlepszym rządem centralnym jest taki, który pozostawia sobie jedynie funkcyę ko-

nieczne dla utrzymania porządku między częściami składowemi państwa, dla reprezentacji zewnętrznej, wreszcie te, których wykonanie przekracza możliwość pojedynczych części; wszelkie zaś czynności, nie naruszające praw innych części kraju, wszystko, co się odnosi do wewnętrznej organizacji każdej składowej części, i unomormowanie stosunków między obywatelami i instytucjami każdej oddzielnej części, należy pozostawić w całości do zarządu i wykonania miejscowym siłom. Rząd centralny, hołdujący takiej zasadzie, będzie o wiele trwalszy i silniejszy, niż ten, który wtrąca się bezustannie do zarządzeń miejscowych, lub też, co jeszcze o wiele gorzej, który chce zarządzać wszelkimi sprawami charakteru lokalnego za pośrednictwem mianowanych i nasyłanych przez rząd centralny urzędników. Po pierwsze dla tego, że nie popełni mnóstwa błędów, których nie byłby w stanie ustrzedz się, wydając rozporządzenia o potrzebach lokalnych, o których nie może być dokładnie poinformowany; powtóre dla tego, że miejscowa ludność, w razie, gdyby wprowadzone przez nią urządzenia, okazały się wadliwemi, nie może mieć o to pretensyi do rządu centralnego; po trzecie wreszcie dla tego, że przyciągając szerokie warstwy ludności do zarządu własnym krajem, rząd oprze się na wielkiej masie administratorów i wykonawców, którzy zaprawili się na zarządzie sprawami miejscowemi i okazali przy tem swe zdolności administracyjne, będą więc znakomicie przygotowani do szerszej działalności społecznej i państwowej. Wszystkie rządy państw cywilizowanych przyszły do tego przekonania, i postarały się o organizację samorządu miejscowego, jak najlepiej przystosowaną do historycznego rozwoju kraju, do stopnia kultury ludności i do jej potrzeb; w skutek tego urządzenia te są wielce rozmaite w różnych krajach.

Ponieważ u nas kwestya samorządu jest obecnie na porządku dziennym, postaram się przedstawić w krótkości ustrój jego w niektórych cywilizowanych krajach i przez porównanie będę usiłował dojść do określenia w jakiej formie byłby on dla nas najodpowiedniejszym.

We Francyi ustrój samorządu przechodzi cztery stopnie reprezentacji narodowej: conseil municipal, conseil d'arrondissement, conseil général i parlament z dwóch izb złożony; przy wszystkich wyborach zaprowadzono tajne i powszechne głosowanie. Parlament uchwalą wszystkie podatki, które conseils généraux i d'arrondissement rozdzielają. Zarówno rada gminna, jak jeneralna, są tylko organami, kontrolującymi wykonania i uchwalającymi potrzeby miejscowe; władzą wykonawczą jest w gminie

maire, obieralny przez radę, a w powiecie (départament) prefekt, mianowany przez rząd centralny. Rada gminna zbiera się cztery razy, rada jeneralna dwa razy do roku na sesye. Pierwsza może być zupełnie rozwiązana przez prezydenta rzeczypospolitej i członkowie jej usunięci, drugiej postanowienia mogą być przez tegoż prezydenta skasowane w razie przekroczenia przyznanej jej kompetencji. Prefekt w departamencie, których jest we Francyi 86, stanowi całą władzę wykonawczą, zarówno z ramienia samorządu lokalnego, jak i rządu centralnego; on mianuje wszystkich niższych urzędników, nauczycieli szkół ludowych, jest kasyerem funduszów powiatowych, agentem rekrutacyjnym i wogóle naczelnikiem całej administracyi i policyi. Sądy są dwojakie: jedne wyłącznie dla rozpatrywania nadużyć i rozporządzeń administracyi, drugie zwykłe, które posiadają kilka stopni, zaczynając od sądów pokoju, sądy pierwszej instancyi, sądy apelacyjne i najwyższy trybunał kasacyjny w Paryżu. Wszyscy sędziowie są mianowani przez prezydenta Republiki.

W Prusach tak jak i we Francyi, samorząd posiada cztery stopnie reprezentowane przez: radę gminną, sejm koła—Kreistag, sejm krajowy—Landtag i sejm centralny—złożony z dwóch izb, które posiadają swoje reprezentacye obieralne. Wybory oparte są na zasadzie opłaty podatków bezpośrednich, przyczem cała ludność podzielona na trzy części, z których każda przedstawia trzecią część własności opodatkowanej i każda wybiera trzecią część wyborców; w ten sposób niewielka liczba najbogatszych ludzi wybiera trzecią część, znaczna liczba średnio zamożnych także trzecią część, wreszcie cała resztująca ludność także trzecią część. Dopiero tak obrani wyborcy, wybierają radę koła (Kreistag) wreszcie centralny sejm pruski. Tylko Landtagi prowincjonalne, obierane są przez członków Kreistagów, czyli przy zastosowaniu trzystopniowych wyborów. Wielka własność nie wchodzi w skład gminy, do Kreistagów osobno wybierają przedstawiciele gminy wiejskie, osobno miejskie, osobno większa własność opłacająca wyżej 75 talarów podatków od nieruchomości.

Kreistag jest właściwym przedstawicielem samorządu lokalnego. Zarówno Landtag jak i Kreistag wybierają ze swego łona wydziały wykonawcze, do których należy zawiadywanie sprawami lokalnymi. Na przedstawienie Kreistagu mianowani są przez króla t. z. Amtsmanni, którzy pod kontrolą wydziału Koła zawiadują sprawami policyjnymi, zdrowotnymi, zabezpieczeniem ubogich i stoją na czele t. z. Amtsbezirków, złożonych z kilku gmin, zawierających razem około 1500 mieszkańców.

Równolegle do samorządu urzędują przedstawiciele władzy centralnej, którą w prowincyi reprezentuje prezes z radą prowincjonalną, złożoną z jednego urzędnika, mianowanego dożywotnio i pięciu członków, wybranych przez wydział Landtagu; każda prowincya pod względem administracyjnym podzielona jest zwykle na trzy powiaty (Regierungsbezirk); na czele każdego stoi prezes (Regierungspräsident) z całą rzeszą podwładnych mu, mianowanych przez rząd centralny, urzędników. Jednakże i ta cała administracya kontrolowana jest do pewnego stopnia przez Komitet, złożony z dwóch członków, mianowanych przez rząd i czterech, obranych przez Wydział Landtag'u.

Cały system samorządu w Prusach jest bardziej skomplikowany niż we Francyi, ale pod względem samorządu lokalnego, miejscowy element obieralny ma poniekąd więcej udziału w załatwianiu spraw, gdyż posiada stale urzędujące wydziały. Sądy dzielą się na administracyjne i zwyczajne; pierwsze składają się z Najwyższego Trybunału w Berlinie, Komitetów przy Regierungsbezirkach i Komitetów przy Kreis'ach. Drugie z Najwyższego Sądu w Lipsku, Sądów wyższych (Oberlandesgericht) i niższych (Landgericht) w każdej prowincyi. W Amtsbezirkach pojedynczy sędziowie sądzą drobne sprawy, apelacyjną dla nich instancją są niższe sądy prowincjonalne. Wszyscy sędziowie są mianowani przez króla i spełniają swe obowiązki dożywotnio.

Samorząd w Austrii, wzorowany jest na pruskim i oprócz parlamentu centralnego w Wiedniu, złożonego z dwóch izb, każdy kraj (prowincya) posiada swój sejm krajowy (Landtag) potem rady powiatowe i rady gminne. Sejm krajowy posiada bardzo obszerne prawa; kompetencyi jego podlegają wszystkie sprawy krajowe, organem wykonawczym jest Wydział złożony z sześciu członków z prezesem, mianowanym przez cesarza; każdy kraj podzielony jest na powiaty z obieralnemi radami powiatowemi, złożonemi z 26 członków i posiadającemi wydziały, jako organy wykonawcze z prezesem rady, jako prezydującym i sześciu członkami. Rady powiatowe mają prawo na cele powiatu nakładać dodatki do podatków bezpośrednich w wysokości 20% a za zezwoleniem Wydziału krajowego do 40%. Wybory do sejmu i rad powiatowych odbywają się, osobno z każdej z czterech grup: 1) większych posiadłości, opłacających najmniej 200 koron podatków bezpośrednich, 2) najwyższej opodatkowanych w przemyśle i handlu, opłacających także nie mniej 200 koron podatków (do sejmu — izby handlowe), 3) miast i 4) gmin, przyczem każda grupa wybiera przedstawicieli w takim stosunku, w jakim pozostaje

summa opłacanych przez tę grupę podatków bezpośrednich, do ogółu tychże podatków. Gdyby w grupie większych posiadłości, liczba członków była mniejszą od liczby przypadających na tę grupę członków Rady powiatowej, wszystkie osoby tej grupy wchodzi do Rady bez wyborów i mają prawo dobrać brakującą liczbę reprezentantów tej grupy. Większa własność, czyli obszary dworskie, wyłączone są z przynależności do gmin. Członkowie gminy, opłacający nie mniej 50 koron podatków bezpośrednich wchodzi do rady gminnej bez wyboru, innych wybiera cała gmina; organem wykonawczym w gminie jest wójt i kilku radnych, dodanych mu do pomocy. Gmina ma bardzo obszerny zakres działania, mianowicie: a) zarząd majątkiem gminnym i załatwianie spraw związku gminnego, b) czuwanie nad bezpieczeństwem osób i mienia, c) budowa i utrzymanie w obrębie gminy dróg, placów, mostów i t. p. d) policja polowa, e) dozór policyjny nad targami i przedmiotami żywności, f) policja zdrowia, g) policja nad czeladzią i wykonaniem przepisów o służbie czeladnej, h) dozór nad obyczajnością publiczną, i) sprawy ubogich, opieka nad zakładami dobroczynności, zapobieganie żebractwu, k) policja ogniowa, udzielanie policyjnego pozwolenia na budowy i wykonanie przepisów budowlanych, l) wpływ na szkoły średnie i utrzymywanie szkół ludowych. W celach policyjnych przysługuje gminie prawo nakładania kar pieniężnych w wysokości 30 koron, a w razie nieuiszczenia, aresztu do 5 dni. W razie potrzeby gmina ma prawo ustanawiać dodatki do podatków bezpośrednich lub konsumcyjnego do 20% za zezwoleniem Rady powiatowej do 50%, za zezwoleniem Wydziału Krajowego do 100% na pięcioletni okres; na mocy uchwały sejmowej powyżej 100% i na dłuższe okresy. Nikt nie ma prawa uchylać się od przyjęcia wyboru na członka Rady lub Zwierzchności gminnej z wyjątkiem radnych bez wyboru lub tych osób, których zatrudnienie trzyma zdala od gminy. Obszary dworskie mają te same prawa i obowiązki co gmina, z wyjątkiem ustanawiania kar.

W Szwajcaryi na czele samorządu stoi Zgromadzenie federalne, złożone z dwóch izb, jedna obrana w stosunku jednego reprezentanta na 20000 ludności, druga składa się z dwóch przedstawicieli z każdego kantonu. Wybierają one wspólnie wydział wykonawczy z siedmiu członków, którzy zawiadują wszystkimi sprawami państwa. Każdy kanton, których jest 22, wybiera przez powszechne i tajne głosowanie Radę Kantonalną, która z pośród siebie wybiera organ wykonawczy t. z. małą Radę, złożoną zwykle z dziewięciu członków. Kantony dzielą się na powiaty,

w których wszystkie czynności administracyjne i policyjne, wykonywa jeden urzędnik obieralny. We wszystkich kantonach istnieje tak zwane Referendum t. j. odwołanie się do zgromadzenia ludowego w sprawach, wymagających pewnych zmian w Konstytucyi lub istniejących prawach. Każda gmina posiada najzupełniejszy samorząd miejscowy, zawiaduje swoją własnością nieruchomą, administruje swoje szkoły, posiada swoją policję, opatruje swoich ubogich i t. d. Wszystkie sprawy roztrząsają się wspólnie na zebraniach gminnych, a władza wykonawcza spoczywa w ręku biura, złożonego z kilku członków pod przewodnictwem naczelnika gminy. Każdy kanton posiada sądy powiatowe (Bezirksgerichte) i sąd wyższy kantonalny, jako instancję apelacyjną; oprócz tego są sędziowie pokoju, których głównem zadaniem jest godzić zwadzone strony. Drobnie sprawy kryminalne podlegają sądom powiatowym, ale ważniejsze sądzone są przez przysięgłych pod przewodnictwem sędziów sądu kantonalnego. Sędziowie sądów niższych wybierani są bezpośrednio przez ludność, sądu zaś wyższego przez Radę kantonalną. Osobnych sądów administracyjnych niema. Od niedawna istnieje trybunał federalny, złożony z dziewięciu członków, wybranych przez Zgromadzenie federalne; do jego kompetencji należą sprawy między kantonami, przestrzeganie ustaw federacyjnych, rozpatrywanie skarg na sędziów i t. p.

Przystępując do opisania organizacyi samorządu w Anglii, muszę przedewszystkiem w krótkich słowach wspomnieć o instytucyi sędziów pokoju, gdyż na niej wychował się i wzrósł samorząd lokalny tego kraju, który strzegł Anglię od wszelkich wstrząśnień rewolucyjnych, zapewnił jej pokojowy i stopniowy rozwój wszystkich sił kulturalnych i ekonomicznych narodu, doprowadził ją do jej obecnej potęgi i postawił ją na czele cywilizacyi, umożliwiając szerzenie jej na całej kuli ziemskiej, przy pomocy świetnie prowadzonej kolonizacyi we wszystkich częściach świata.

Instytucya sędziów pokoju (justices of the peace) ustanowiona została w 1360 roku; polegała ona na tem, że król powoływał we wszystkich częściach państwa najwybitniejszych obywateli kraju do pomocy w utrzymaniu porządku i spokoju w państwie. Obowiązki ich nie były czysto sądownicze, przeciwnie, były one przeważnie administracyjne; zresztą łączyli oni jedne i drugie, utrzymując wśród ludności powagę praw i porządek publiczny. Aby otrzymać nominację na sędziego pokoju, trzeba być obywatelem ziemskim w hrabstwie swoim (prowincyi) t. j. być, albo właścicielem, albo długoletnim dzierżawcą (dłużej 21 lat) znacz-

niejszego obszaru ziemi i mieć czystego dochodu z ziemi nie mniej stu £. Urząd sędziego pokoju jest bezpłatny i honorowy: starają się o niego wszyscy właściciele ziemscy, gdyż piastowanie tego urzędu jest niejako dowodem powszechnego szacunku. W Anglii z w. ks. Walii liczą obecnie około dwudziestu tysięcy sędziów pokoju, co stanowi po jednym na półtora tysiąca ludności, w tem jest około 1400 z wyborów, gdyż wszyscy prezesi Rad hrabstwa (county council) i Rad okręgowych (District council) na mocy prawa 5 marca 1894 r. posiadają tę godność: są to jedyni sędziowie, którzy nie posiadają cenzusu terytoryalnego. Wyłom zrobiony przez prawo 5 marca 1894 r., stanowi precedens, który, przy ciągłej dążności do obieralności wszystkich urzędów miejscowych, doprowadzi bardzo prędko do zaniechania systemu mianowania sędziów. Z ogólnej liczby sędziów pokoju zaledwie połowa sprawuje faktycznie swoje obowiązki, które przybrały obecnie charakter wybitnie sądowniczy od czasu praw z 13 sierpnia 1888 r. i z 5 marca 1894 r., które całą część administracyjną samorządu lokalnego oddały w ręce Rad parafialnych (Parish council) i Rad okręgowych (District council) i Rad hrabstwa. Te dwa akty prawodawcze z 1888 i 1894 r. starały się wprowadzić większą jednostajność w samorządzie miejscowym, określając ściśle i rozszerzając funkcyę różnych jego organów.

Z dawnych czasów było w zwyczaju, że parafianie po nabożeństwie w kościele zbierali się w zakrystyi i naradzali nad sprawami kościelnymi i nad zapomogami dla ubogich. Z tego zwyczaju wyłoniła się z czasem instytucya, która wzięła w swoje ręce sprawy filantropijne i w ogóle utrzymywanie ubogich parafialnych. Obecnie niema na świecie państwa, które posiadałoby tak doskonałą organizacyę, jak są w Anglii domy pracy (workhouses) dla ubogich, gdzie oni znajdują przytułek i pożywienie, lecz obowiązani są w zamian wykonywać pewne roboty; przy takich domach pracy istnieją też przytułki dla starców i niezdolnych do pracy, szkółki początkowe dla dzieci ubogich i t. p. instytucye. Zakładami temi zajmuje się rada parafialna, która obecnie niema nic wspólnego ze sprawami kościelnymi, lecz stanowi radę gminną; członkowie jej są wybierani przez wszystkich mieszkańców gminy. Na cele zaopatrywania ubogich Rada ma prawo ustanawiać podatek od czystego dochodu z posiadanych w gminie nieruchomości (poor rate). Podatek ten jest prototypem wszystkich podatków pobieranych na miejscowe potrzeby. Jeżeli gmina jest za mała, aby być w stanie utrzymywać osobny dom pracy, ma ona prawo łączyć się z innymi gminami w związek, który wspólnie

utrzymuje ubogich, przyczem każda gmina wybiera swoich przedstawicieli do Rady (board of guardians), która opiekuje się ubogimi. Oprócz opieki nad ubogimi, rada parafialna, zarządza całym majątkiem gminnym, lokalami publicznymi, ogrodami, t. p. występuje jako osoba prawna we wszystkich sprawach gminnych, bierze czynny udział w rozdawaniu t. z. allotments. Są to niewielkie obszary ziemi, nie przenoszące jednego akra ($\frac{3}{4}$ morga) sprzedawane lub wynajmowane robotnikom na korzystnych warunkach; ziemia na ten cel może być wydzierżawiana przymusowo od jej właścicieli, a nawet może nastąpić przymusowa eksproprowiacja na podstawie orzeczenia Rady sanitarnej. Gmina utrzymuje też własne szkoły elementarne, jednak dla spraw szkolnych istnieje osobny podział administracyjny t. z. okręgi szkolne (school districts), na które podzielony jest cały kraj, przyczem okręgi te zwykle mają te same granice, co miasto lub gmina. Jeżeli centralna władza w sprawach oświaty (Education department) przychodzi do przekonania, że w jakimkolwiek okręgu niema dostatecznej ilości szkół lub też są one źle prowadzone, postanawia ona, aby w tym okręgu przez mieszkańców została wybrana osobna Rada szkolna (School board), która bierze w swoje ręce nadzór i kierownictwo w sprawach szkolnych i ma prawo ustanawiać pewien podatek na cele oświaty (school rate). Wszystkie szkoły elementarne, zarówno pozostające pod zarządem rad szkolnych jak i prywatne, otrzymują subwencję rządową w stosunku do liczby uczniów, z tym warunkiem, aby szkoła szanowała swobodę wyznania uczniów i żeby o odpowiednią sumę zmniejszyła pobieraną od uczniów płacę. W 1902 r. fundusz na utrzymanie szkół wynosił 8 mill. £., z czego subwencja rządowa dała prawie połowę (3960000 £.). Zarówno ustanawianie Rad szkolnych, jak i subwencja ma na celu zastąpić akcją rządową braki w sprawach oświaty, którym nie jest w stanie zaradzić inicjatywa prywatna; widzimy w tem zwykłą taktykę rządu angielskiego, który pozostawia zupełną swobodę działania siłom miejscowym, a występuje dopiero wtedy z pomocą, gdy one tego potrzebują.

Ponieważ gminy w Anglii są to jednostki bardzo drobne, liczące często sto, a bardzo rzadko więcej niż 500 mieszkańców, więc jak już wspominałem, łączą się w związki, obejmujące średnio po 25 gmin, jakkolwiek liczba gmin w związku bardzo bywa różnaita. Związkom takim dostępnem jest załatwianie rozmaitych potrzeb miejscowych, które przenoszą środki i możność pojedynczych gmin, głównie zaś budowa i utrzymanie domów pracy (workhouses) szpitali dla ubogich i t. p. zakładów. Charaktery-

stycznem jednak jest, że z pod kompetencyi tych związków wyłączone są sprawy sanitarne i drogowe, któremi zawiadują Rady okręgowe (District council) i w tym celu cały kraj podzielony jest na 575 okręgów wiejskich i nieco więcej tysiąca miejskich. Do ich kompetencyi należą wszelkie zarządzenia drogowe i sanitarne, dla przykładu przytoczę niektóre: utrzymanie i budowa dróg, ich rozszerzanie, ustanawianie nowych, ku czemu przysługuje Radom okręgowym prawo przymusowej ekspropriacji, oświetlanie i brukowanie ulic, numerowanie domów, przeprowadzanie ścieków i kanalizacji, zamykanie budynków, grożących zawaleniem, nadzór nad targami i jarmarkami, lokalami publicznymi i robotniczymi z zastosowaniem wymagań higieny, wszelkie zarządzenia sanitarne w wypadkach wybuchu epidemii, usuwanie wszelkich urządzeń fabrycznych i innych, sprzeciwiających się warunkom higienicznym i t. p. Radzie okręgowej przysługuje prawo ustanawiania podatków (district rate) dla otrzymania niezbędnych na powyższe cele funduszków, a także zaciąganie pożyczek za pomocą emitowania renty.

Najwyższą władzą lokalną jest Rada hrabstwa (County council), której kompetencya jest nadzwyczaj obszerna; należy do niej zawiadywanie całym majątkiem hrabstwa, wszystkimi budynkami służącymi do użytku publicznego, jak sale zebrań, gmachy sądowe, więzienia, i t. p., ona może je sprzedawać, budować i kupować nowe, może zaciągać pożyczki na potrzeby hrabstwa, gwarantując ich wypłacalność z dochodów, pożyczki mogą być zaciągane przez emitowanie papierów procentowych. Rada zawiaduje szkołami przemysłowemi dla małoletnich przestępców, domami dla chorych umysłowo, drogami i mostami, będącemi własnością hrabstwa. Rada wydaje wszelkie rozporządzenia w sprawach administracyjnych, daje pozwolenie na zakładanie stowarzyszeń naukowych, niektórych banków ludowych, instytucyj dobroczynnych, gmachów dla celów religijnych; ona przestrzega ustaw przeciw epidemii, ustaw o tępieniu szkodników, oznacza czas otwarcia i zamknięcia polowania, sprawdza wagi i miary, używane w hrabstwie, emituje stemple lokalne (local stamps) służące do płacenia wszelkich podatków, kar i innych wydatków, ściąganych przez urzędy hrabstwa; stempli tych używają w hrabstwie zamiast pieniędzy. Rada ma prawo wydawać rozporządzenia, zabraniające lub nakazujące jakiegokolwiek czynności; niestosowanie się do tych rozporządzeń pociąga za sobą kary; jest to poniekąd władza prawodawcza. Rada ustanawia wszelkie urzędy policyjne w hrabstwie w porozumieniu z sędziami pokoju i zawiaduje wszelkiemi spr-

wami policyjnemi. Jednem słowem Rada hrabstwa wyłącza we wszystkim rząd centralny, który zdaje na nią prawie zupełnie całą administrację kraju i w celu dostarczenia jej na to środków, przyznaje jej nie tylko prawo opodatkowywania mieszkańców w stosunku do dochodów, jakie im przynosi posiadany w hrabstwie majątek nieruchomy, lecz dodaje część swoich dochodów, a mianowicie dochody ze świadectw przemysłowych i handlowych w całości i 40% podatku od spadków. Policja w Anglii znajduje się pod zarządem komitetu, złożonego w połowie z członków wybranych przez Radę hrabstwa i przez zjazd sędziów pokoju (joint committee) i opłacana jest przez Radę; składa się ona z 40 tysięcy osób na 30 millionów ludności w Anglii z w. ks. Walii, czyli jeden urzędnik policyjny wypada na 750 mieszkańców. Koszt utrzymania policji wynosi z górą 30 millionów rubli. Z tego widzimy, że w Anglii wykonanie prawa jest o wiele lepiej zabezpieczone niż u nas. Rady hrabstwa składają się z osób, wybranych przez ludność, lecz skład ich dopełnia się przez t. z. aldermen'ów, wybieranych przez członków Rady z pomiędzy siebie, lub z osób postronnych w ilości trzeciej części wszystkich członków Rady; na miejsce osób wybranych na aldermen'ów wybiera się ponownie odpowiednią liczbę osób. Prawo być wyborcą i wybranym posiada każdy człowiek pełnoletni, który opłacił podatek od posiadanej lub dzierżawionej nieruchomości o dochodzie 10 £. lub zajmował oddzielne pomieszkanie, zamieszkiwał przez rok w okręgu wyborczym i nie był utrzymywany kosztem dobroczynności publicznej. Kobiety są wyborcami i mogą być wybrane do wszystkich instytucyj samorządu lokalnego, oprócz do rad hrabstwa, w których zasiadać nie mają prawa i do których wyborcami mogą być tylko kobiety niezamężne. Te same prawa wyboru i obieralności, co do Rad hrabstwa, wymagane są do izby niższej parlamentu; w ten sposób prawo to rozciąga się na 6,800,000 osób w całym zjednoczonym królestwie, którego ludność obecnie wynosi 39 millionów. Oryginalnem jest prawo głosu w kilku okręgach wyborczych, jeżeli się w nich opłaca podatki, dające do tego prawo. Miasta posiadające nie mniej 50 tysięcy mieszkańców mają samorząd zupełnie niezależny od Rad hrabstwa, skoncentrowany w ręku Rad miejskich. Miasta posiadające od 10 do 50 tysięcy mieszkańców, liczą się jako przynależne do hrabstwa, posyłają swoich przedstawicieli do Rady, lecz tylko dla udziału w roztrząsaniu niewielu kwestyj wspólnych; większość zaś spraw zarządu należy do Rady miejskiej. Miasta zaś jeszcze mniejsze zależne są prawie w zupełności od Rad hrabstwa.

Muszę osobno słów kilka powiedzieć o jednej z nader ważnych czynności Rad hrabstwa, a mianowicie o ich działalności w kierunku rozwoju drobnej własności rolnej. Rady nabywają grunta od właścicieli, parcelują je na kawałki od jednego do 50 akrów (akr = $\frac{3}{4}$ morga) i rozprzedają na bardzo dogodnych warunkach: piąta część wartości powinna być zapłacona gotówką, czwarta część może być zamieniona na rentę wieczystą, która może być wykupioną, reszta t. j. jedenaście dwudziestych ceny, powinno być wypłacone z doliczeniem małego procentu w rocznych ratach w ciągu pięćdziesięciu lat. Nabywca nie ma prawa w ciągu lat dwudziestu, nawet gdyby w tym czasie całą należność uiszczył i w ogóle do czasu spłacenia całej należności sprzedać, wydzierżawić lub podzielić swojej parceli, nie ma prawa obrócić jej na jaki inny cel niż eksploatacja rolna i dla tego może na niej wystawić tylko jeden dom mieszkalny. Jeżeli właściciel spłacił całą należność i minęło nie mniej dwudziestu lat od chwili nabycia, to i wtedy gdy zechce użyć swojej parceli na inny cel niż gospodarstwo rolne lub chce ją odprzedać, obowiązany zawiadomić Radę hrabstwa, która zastrzegła sobie prawo pierwszeństwa i wykupna tej posiadłości. Widzimy w tej działalności dążność do wytworzenia drobnej własności rolnej na silnych podstawach ekonomicznych; dążność tę spostrzegamy w wielu państwach europejskich.

Zatrzymałem się nieco dłużej na opisanii organizacji samorządu w Anglii, najprzód dla tego, że posiada ona wielką różnorodność instytucyj i nie jest jednolita, jak np. we Francyi, powtóre zaś dla tego, że chciałem dać możliwie dokładne przedstawienie samorządu kraju, w którym on się rozwijał prawidłowo przez wiele stuleci bez żadnych wstrząśnień i obecnie doszedł do zupełnego niemal zastąpienia władz centralnych przez instytucye, złożone z wybranych miejscowych obywateli, tak dalece, że urzędnicy, mianowani przez rząd centralny, jak np. najstarszy w hrabstwie sheriff nie posiada już żadnej władzy; pozostała mu tylko kosztowna reprezentacya i kilka uciążliwych obowiązków, w obec czego więksi właściciele ziemscy hrabstwa, z pomiędzy których bywa sheriff wybierany, starają się uchylać od tego niby zaszczytnego urzędu.

Na zakończenie muszę zwrócić specjalną uwagę na to, że w Anglii niema osobnych sądów administracyjnych; czy zawinął prywatny człowiek, czy urzędnik, debaty odbywają się przed tymi samymi sędziami i są bezwarunkowo zawsze jawne. Ta zupełna jawność procedury sądowej i odpowiedzialności przed takim

sądem wszystkich urzędników za swe urzędowe czynności, przyczynia się ogromnie do usunięcia wszelkich nadużyć w kraju. Okoliczność zaś, że urząd sędziowski sprawują ludzie miejscowi, wybrani z pośród najbardziej szanowanych osób, daje takie nadzwyczaj pomyślne rezultaty, jak ten np., że na 603,573 wyroków, wydanych przez sędziów pokoju w 1893 roku, zaledwie 233 czyli 0,04% przeszły do apelacji, z tej liczby sąd apelacyjny skasował tylko 64! zmienił nieznacznie wyrok w 40 sprawach i utrzymał w zupełności 129. Oprócz sędziów pokoju i zjazdów ich (quarter sessions), jest sąd wyższy w Londynie, którego członkowie odbywają objazdy peryodyczne po wszystkich hrabstwach dla rozpatrzenia spraw, w których strony odwołały się do ich jurysdykcji.

Przechodząc do samorządu w Stanach Zjednoczonych Ameryki, zaznaczę, że wzorował się on na samorządzie angielskim i z tego powodu posiada wielką różnorodność w rozmaitych stanach. Każdy stan jest zupełnie samodzielną jednostką administracyjną, sądowniczą i poniekąd prawodawczą, posiada swój parlament, złożony z dwóch izb. Stany pod względem samorządu lokalnego posiadają dwa rodzaje okręgów: miejskie i wiejskie; w miastach cały samorząd koncentruje się w rękach Rady miejskiej, złożonej zwykle z dwóch izb na podobieństwo senatu i izby reprezentantów w Stanach. W okręgach wiejskich Stanów północnych, zwanych Township, niema urzędu kolegiального do sprawowania samorządu; zebranie gminne (town meeting) wybiera wprost wszystkich urzędników do sprawowania oddzielnych urzędów, urzędnicy ci raz lub dwa razy do roku zdają sprawozdanie ze swoich czynności przed całym zgromadzeniem i przed nim są jedynie odpowiedzialni. W Stanach południowych okręgiem samorządu jest zwykle hrabstwo (County), które w ten sam sposób obiera wprost urzędników wykonawców, jak i Township. Jednakże w niektórych Stanach istnieje podział na County i na Township; w tych wypadkach Township jest okręgiem dla spraw szkolnych, zaopatrzenia ubogich, policyjnych, drogowych i sanitarnych, a County okręgiem sądowniczym, który ma obowiązek utrzymywać gmachy sądowe i więzienne, przestrzegać sprawiedliwego podziału podatków i posiada ogólny dozór w sprawach porządku i kontroli.

Wszystkie urzędy zarówno administracyjne, jak sądownicze, są obieralne, od najniższego konstabla do gubernatora stanu. Charakterystyczną cechą samorządu w Stanach jest to, że urzędnicy miejscowi nie są wcale odpowiedzialni przed urzędnikami centralnymi każdego stanu, lecz tylko przed swoimi wyborcami, którzy wspólnie lub pojedynczo mogą ich ścigać sądownie za każde prze-

kroczenie ich władzy i sądy decydują o tem, czy urzędnik ściśle stosował swe rozporządzenia i czynności do przepisów prawa, obowiązującego w każdym stanie. Jest to zupełna decentralizacja w najszerszym znaczeniu tego słowa.

Na czele rządu w Stanach Zjednoczonych stoi Prezydent obrany na cztery lata i parlament złożony z dwóch izb: senatu, który składa się z dwóch przedstawicieli każdego stanu, wybranych przez parlament tego stanu i z izby deputowanych, wybranej przez ogół ludności w każdym stanie oddzielnie, w stosunku jednego deputowanego na 174 tysięcy ludności.

Wszystkie wybory odbywają się przez głosowanie powszechne.

Reasumując wszystko, co podałem powyżej o samorządzie i porównując jego organizację, spostrzeżemy z łatwością wady jego w rozmaitych państwach i na tej podstawie dojdziemy do wniosku, jakim powinien być dobry samorząd.

Najgorzej mojem zdaniem urządzony jest samorząd we Francyi, a to z następujących względów: 1) wszystkie podatki są oznaczone przez centralny parlament. Jest to zasada zupełnie fałszywa: nie można odejmować miejscowej ludności prawa opodatkowywać się na miejscowe potrzeby; jeżeli uważamy, że jakiś wydatek nam się opłaci, powinniśmy mózgo zrobić. Bardzo wiele wydatków może się opłacić w jednej miejscowości, a w innych byłyby one zupełnie stracone. Nie mogą o tem decydować władze centralne, tylko miejscowe, dobrze osznajomione z warunkami. 2) Mieszkańcy miejscowi usunięci są zupełnie od wykonania potrzebnych im urządzeń, cała władza wykonawcza i mianowanie wszystkich wykonawców spoczywa w ręku prefekta, który musi ulegać władzy centralnej i liczyć się z jej poglądami politycznymi. Niema nic gorszego nad wprowadzenie polityki do samorządu. Ma to ten skutek, że na wykonawców wybiera się koniecznie ludzie tych samych przekonań politycznych, zamiast tych, którzyby najlepiej spełniali powierzone im obowiązki. Ci zaś którzy mają przedewszystkiem wykazać, że znają się dobrze na powierzonych im czynnościach i że je spełniają gorliwie i sumiennie, starają się głównie o manifestowanie zasad, zgodnych z poglądami politycznymi rządu. Z tego wynika, że do urzędów dostają się krzykacze, którzy umieją zamydlać oczy, a nie ludzie czynu, których działalność przyniosłaby rzeczywistą korzyść.

W Niemczech i w Austrii główną wadą samorządu jest ta okoliczność, że równolegle do władz miejscowych prowadzą administrację kraju urzędnicy mianowani przez władze centralne. Taki system stwarza ogromny zastęp zbytecznych urzędników: są

drogi miejscowe, krajowe i państwowe, szkoły państwowe i gminne, władze sanitarne też dwojaki i t. d.

Taki stan rzeczy wynika stąd, że centralnym władzom wydaje się, jakoby ludność miejscowa nie umiała jeszcze należycie się urządzać i dla tego pewne kategorie spraw pozostawiają one w swoim ręku, nie ufając siłom miejscowym; przez to samo przechodziła i Anglia. Z czasem władza centralna przekonywa się, że urzędy miejscowe lepiej i taniej spełniają te same czynności i powoli, coraz więcej ustępuje ze swoich funkcji, polecając wykonanie ich urzędom i władzom miejscowym. Taką ewolucję widzimy np. w Austrii, gdzie urzędy miejscowe mają zakres działania własny i powierzony im przez władze centralne, jak ściąganie podatków i inne.

Wielką wadą samorządu tych trzech państw jest zupełny brak odpowiedzialności urzędników przed ludnością miejscową za swe czynności urzędowe, za które oni odpowiadają tylko przed swoją władzą i przed trybunałami administracyjnymi. Pierwszym warunkiem wszelkiego samorządu jest odpowiedzialność wszystkich urzędników za swoje przekroczenia przed zwykłymi sądami, w których sędziowie powinni być wyznaczani z wyborów, i u których cała procedura jest jawną. Sądy administracyjne pomimo woli rozpatrują przewinienie urzędnika w stosunku jego do przełożonych i przed nimi zaledwie najbardziej rażące uchybienie prawom prywatnej osoby może być dowiedzione, gdy tymczasem dobrym urzędnikiem może być tylko ten, który wie, że za każde takie uchybienie może być pociągnięty do odpowiedzialności.

Samorząd w Anglii może uchodzić za wzór takiego, który byłby dla nas najodpowiedniejszy; można mu tylko zarzucić brak jedności, który się tłumaczy historycznym stopniowym rozwojem instytucyj samorządu. Widzimy tam osobne organa do każdego rodzaju czynności: osobny okręg do zaopatrywania ubogich, osobny do spraw szkolnych, osobny do spraw sanitarnych i drogowych, osobne wreszcie zgromadzenia do zawiadywania sprawami miejscowymi w postaci Rad gminnych, miejskich i hrabstwa. Taka rozmaitość ma wprawdzie swoją dobrą stronę, gdyż pozwala dopasować obszar każdego okręgu do najdogodniejszego i najtańszego sposobu wykonania odnośnej czynności, lecz dałoby się to samo osiągnąć przy stosownie wybranej jednostce obszaru, w której wszystkie czynności koncentrowałyby się w ręku jednej Rady, zawiadującej zarówno sprawami sanitarnymi, drogowymi, bezpieczeństwa publicznego, zaopatrywania ubogich, opieki nad chorymi w połączeniu z zarządem administracyjnym i majątkowym

tej jednostki samorządu lokalnego. W ten sposób można zaoszczędzić wiele czasu, nie odrywając tyłu ludzi i zbyt często od zwykłych zajęć.

W Szwajcaryi i Stanach Zjednoczonych samorząd miejscowy jest zupełny, i trudno wyobrazić sobie lepszej jego organizacji. System jednak wyborów powszechnych, praktykowany w tych dwóch krajach, jak również we Francyi, może być dobrym tylko tam, gdzie zwyczaje, wymagania, potrzeby i pojęcia całej ludności są bardzo zbliżone. Z tego powodu mogą one być stosowane w Szwajcaryi i Ameryce, gdzie demokratyczny ustrój zawsze istniał, równając sposób bycia i pojęcia wszystkich warstw ludności, nie odpowiedni on wszakże dla Francyi; wprowadzony tam został przedwcześnie, gdy poziom szerokich kół ludności był za niski w porównaniu z warstwą inteligentną, i system ten wydaje tam złe rezultaty, gdyż reprezentacya narodowa dostaje się w ręce karyerowiczów politycznych, którzy schlebiają złym instynktom mas ludowych, тумanią je nieziszczalnemi obietnicami, a nie znają dobrze potrzeb tej ludności.

Parlament francuski składa się przeważnie z adwokatów, dziennikarzy i przedstawicieli t. z. profesyj liberalnych, a bardzo w nim mało rolników, przemysłowców i przedstawicieli klasy robotniczej.

Wogóle biorąc system powszechnych wyborów jest dobrym jedynie w społeczeństwach złożonych z ludzi o bardzo wysokim poziomie moralnym i unysłowym, gdyż inaczej daje on bardzo niebezpieczną broń w ręce agitatorów, którzy bez pracy chcieliby sobie zdobyć wygodne warunki życia. Z tego względu, za godny najwyższego uznania trzeba przyznać system przyjęty w Anglii, który postanawia, że wyborcą może być tylko osoba, nie żyjąca z dobroczynności publicznej, zajmująca osobny lokal, lub opłacająca podatek od nieruchomości o dochodzie 10 £, t. j. tylko ten, kto swoją pracą zarabia na utrzymanie swoje i rodziny, a nie żyje cudzym kosztem. Należy zwrócić uwagę, że system ten wprowadzono w Anglii dopiero od 1884 roku; w ciągu XIX wieku trzy razy rozszerzano prawo wyborów, dopuszczając coraz to mniej zamożne warstwy, a mianowicie w 1832 roku, w 1867 i wreszcie w 1884; czyniono to w miarę jak warstwy ludowe stawały się coraz bardziej oświeconemi. Postępowanie takie należy przyznać za bardzo trafne, gdyż dać władzę w ręce warstw nieoświeconych, jest to zatamować wszelki postęp na długie lata. Należy tylko pilnie uważać, kiedy rozszerzać ranki, a nie cze-

kać aż warstwy, które rozumieją, jakie prawa im się należą, same je rozsądzą.

Za bardzo trafne należy też uznać prawo Rady hrabstwa dobierania sobie trzeciej części członków (aldermen), których okres urzędowania jest dwa razy dłuższy niż innych. Jest to uznanie tej zasady, że wybory dwustopniowe, t. j. dokonane przez ludzi, których ogół uznał za swoich przedstawicieli, będą trafniejsze, że ci ludzie lepiej niż cały ogół potrafią wskazać osoby, najbardziej uzdolnione do spełniania funkcji społecznych. Takie zapatrywanie przyjęto w Prusach przy wyborze członków landtag'ów prowincjonalnych nie wprost przez ludność, lecz przez członków kreistag'ów. Zasadę tę należałoby rozpowszechnić tak, aby tylko wybory do najmniejszej jednostki samorządu — do gminy, odbywały się bezpośrednio, zaś dalsze, aby odbywały się w ten sposób, by Rada gminna wybierała członków rady okręgowej, czy powiatowej, ta zaś członków Rady hrabstwa lub gubernii i dopiero ta ostatnia członków centralnej reprezentacji całego państwa. W ten sposób do zarządu kraju dostawałoby się tylko ludzie, których zdolności administracyjne i praca na polu społecznym byłyby stwierdzone kilkuletnią działalnością i oparte na doświadczeniu. W ten sposób zapobiegłoby się tak rozpowszechnionemu przekupstwu na wyborach i ubieganiu się o wybór agitatorów, łudzących masy ludowe obietnicami, byleby dostać się do władzy, nie dla pożytecznej pracy społecznej lecz w celu osiągnięcia osobistych korzyści.

Poziom cywilizacyjny naszej ludności z pewnością nie stoi wyżej, niż stał w Anglii w roku 1867 i z pewnością stoi niżej, niż w sąsiednich Prusach i Austrii; przeto rozważając najodpowiedniejszy dla nas system wyborów do samorządu gminnego należałoby wzorować się na istniejących w tych państwach, tembardziej, że i podział ludności na trzy stany: większa własność ziemska, drobna własność i miasta, zupełnie odpowiada naszej organizacji. W Niemczech i w Austrii do gminy zaliczana bywa tylko drobna własność, czyli włościanie, ale też gmina nie reprezentuje w Prusach zasadniczej jednostki samorządu, jest nią Koło (Kreis); w Austrii, gdzie brak takiej jednostki, odzywają się ciągle głosy, że należałoby ją stworzyć. Nasze gminy (wołости) liczbą mieszkańców, a poniekąd obszarem przynależnych do nich gruntów odpowiadają w zupełności pruskim kreisom i nadawałyby się doskonale na drobną jednostkę samorządną. Wybory do Rady mogłyby się też w podobny sposób odbywać, t. j. osobno większa własność, osobno drobna, czyli osady włościańskie przez pra-wy-

bory, osobno miasteczka; stosunek liczebny radnych z każdej grupy odpowiadałby stosunkowi podatku, opłacanego na potrzeby wołosti z każdej grupy, jak to się odbywa w Austrii do Rad powiatowych, przyczem koniecznemby było wprowadzenie podatku osobisto-dochodowego, aby i ludzie profesyj wolnych, zamieszkujący w wołostiach, byli opodatkowani i mieli prawo głosu. Tak złożona Rada zawiadywałaby całym majątkiem i wszystkimi sprawami gminy (wołosti), określałaby podatek od dochodu na pokrycie wszystkich jej potrzeb, mianowałaby, z pośród siebie lub z osób postronnych, specjalnych urzędników do spraw sanitarnych, drogowych i innych, utrzymywałaby szkoły ludowe, przestrzegałaby przepisów sanitarnych i policyjnych, mianowałaby niższych urzędników policyjnych, miasteczkowych, polowych i wiejskich, i wszelkich innych funkcyonaryuszy gminnych, opiekowałaby się zakładami dobroczynnymi, wznosiłaby potrzebne budynki gminne i spełniałaby wszelkie funkcyje, jakie podobne jej instytucye w innych państwach posiadają. Oprócz tego wybierałaby ona przedstawicieli do Rady powiatowej i trzech sędziów dla rozpatrywania wszelkich spraw, które obecnie należą do kompetencji sędziów pokoju.

Do Rady powiatowej należałoby utrzymywanie szkół średnich, szpitali, więzień, a raczej domów pracy przymusowej, któreby powinny zastąpić terażniejsze więzienia, utrzymanie zjazdów sądów pokoju, administracyi podatkowej, policyi i innych urzędników powiatowych, budowa i utrzymanie przytułków dla starców, ubogich i niezdolnych do pracy, linii telefonicznych, murowanych gościńców, wogóle wykonywanie wszelkich czynności samorządnych, dla których gmina byłaby obszarem zbyt drobnym. Względem możliwości wykonywania pewnych funkcyj samorządu decydowałyby o tem, któremu miastu przyznać prawa gminy, a któremu powiatu. Prawdopodobnie miasta o ludności wyżej 50 tysięcy stanowiłyby osobne od powiatu jednostki; mniejsze zaś byłyby włączone do powiatu.

Rada czyli ziemstwo gubernialne i jego wydział miałyby funkcyje zbliżone do Rad hrabstwa w Anglii; do ich kompetencji należałoby przedewszystkiem mnóstwo rozporządzeń charakteru administracyjnego, w zastępstwie władz centralnych; prócz tego utrzymywanie szkół specjalnych i wyższych, sądów okręgowych, szpitali specjalnych np. dla umysłowo chorych, głównego urzędu podatkowego, kontrola instytucyj gminnych i powiatowych, organizacya dozoru weterynaryjnego, środków komunikacyj w gubernii i t. d. W jakiej mierze i jakiego rodzaju podatki pokrywały-

by rozchody na potrzeby miejscowe, które znacznie wzrosną, byłoby przedwcześnie o tem mówić. Główną podstawę stanowiłyby, jak i teraz, podatek dochodowy od nieruchomości, prócz tego osobisto-dochodowy, konsumpcyjny, opłaty handlowe i przemysłowe, podatki od spadków i t. d. Podatek od dochodu państwo powinno w całości zostawić na potrzeby miejscowe, jak to ma miejsce w Anglii; ze względów praktycznych jest to najodpowiedniejsze, gdyż władzom miejscowym najłatwiej jest przekonać się i wiedzieć, ile kto ma dochodu i najłatwiej ściągnąć go z zachowaniem ścisłej sprawiedliwości. Dopiero gdyby przychód z tego źródła nie był wystarczającym na pokrycie potrzeb, można by się uciekać do innych podatków.

Wystarczy tych kilka słów, aby naszkicować, jaka organizacja samorządu miejscowego byłaby dla nas najodpowiedniejsza; przy wprowadzeniu jej można by dopiero szczegółowo opracować cały plan stosownie do potrzeb każdej gminy i powiatu. Już teraz jednak należy podnieść jak dalece wpłynęłaby ona na rozwój materialny, moralny i cywilizacyjny kraju.

Wszystkie roboty około podniesienia środków komunikacji, zdrowotności i oświaty kosztowałyby o wiele taniej i tymi samymi zasobami można by zrobić trzy lub cztery razy więcej, niż robi się teraz, o tyle szybciej postępowałaby cywilizacja i uporządkowanie kraju. Najlepiej dowiodę przykładem, że wcale nie przesadzam, iż każda rzecz kosztuje nas trzykrotnie, gdy przytoczę, że podczas sesji ziemstwa gubernialnego, wyszło na jaw, iż wiorsta szosy u nas kosztuje od 8 do 10 tysięcy rubli, gdy w Galicyi kilometr (czyli tyle prawie co wiorsta) najlepszej szosy wypada od 2½ do 3 tysięcy guldenów; jeżeli przytem porównamy wysokie pensye naszych inżynierów gubernialnych z wynagrodzeniem majstrów drogowych w Galicyi, to różnica jeszcze się zwiększy. Jakież są przyczyny tak anormalnych stosunków, hamujących wszelki postęp? 1) Urzędnicy niezależni są od ludzi miejscowych, którym wiadoma cena każdego materiału, cena robotnika, czas potrzebny na wykonanie pewnej roboty i wszelkie inne szczegóły; ci ludzie nie wiedzą zupełnie jakie rachunki urzędnicy przedstawiają swoim przełożonym, tym zaś wystarcza, że otrzymują rachunki z wydanych pieniędzy, które zgadzają się z uprzednio przedstawianymi kosztorysami; zresztą byle tylko utrzymano się w granicach maksymalnego urzędowego anszlagu, jedni i drudzy nie uwzględniają tego, że z funduszków krajowych wydatkowano na daną meliorację kilka razy więcej niż ona kosztować powinna. 2) Urzędników przysyłanych do kraju na czas mniej lub więcej

krótki, zupełnie nie obchodzi ta okoliczność, że kraj nie otrzyma potrzebnych mu instytucyj i urzędów, gdyż oni wiedzą, że za lat parę zostaną przeniesieni o setki lub tysiące wiorst do całkiem odmiennych warunków.

Może z czasem dojdziemy do uzdrowotnienia kraju, jeżeli cała ludność będzie powołana do pracy około podniesienia bytu ekonomicznego i kulturalnego, jeżeli będzie wiedziała, że sama jest za to odpowiedzialna, że sama musi o tem myśleć i o to starać się; jeżeli zrobi źle, sama będzie na tem cierpieć i nie będzie mogła zwać winy na rząd.

KAZIMIERZ WEYDLICH.

Ruch umysłowo-literacki we Francyi.

Od grupy powieściopisarzy poprzednio omówionych wyróżnia się Loti talentem nawskroś oryginalnym. Zabłysnął on w całej pełni w „Rybaku Islandzkim,” który zdumionemu światu czytelników odkrył nieznane a tak pełne uroku życie mieszkańców bretońskich wybrzeży. W studyum rzadkiej piękności, napisanem właśnie pod wpływem tej powieści, Lemaître z wzruszającą rzewnością kreśli nam swe uniesienia, swój niepokój i zachwyt, w jakie wprawiają go utwory Loti’ego. Przeczytawszy je, powiada tam, czuł się oszołomiony olbrzymią masą nowych wrażeń i nie zdawał sobie sprawy z rokosznych a zarazem smutnych wspomnień, które go ogarniały. Dusza jego niby instrument, któryby za długo drgał, odczuwała boleśnie przeszłe tony. Chciał płakać i śmiać się, świat cały objąć w uścisku... ¹⁾).

Od owej epoki Loti nie napisał nic, coby rozgłosem przewyższyło tę książkę, choć każdy jego utwór ma jakąś odrębną fizyognomię egzotycznego piękna. Bourget czy Rod, Bazin czy Huysmans, którąkolwiek ich powieść weźmiemy, zawsze pod szatą mniej lub więcej misternej fabuły spostrzegamy tendencję autora, dążącego do pewnego celu, czujemy jego hasła i pragnienia, o których urzeczywistnieniu marzy w danej chwili. Można by o każdym ich dziele powiedzieć, że jest do pewnego stopnia romansem à thèse w obszernem tego słowa znaczeniu. Loti nie troszczy się o zagadnienia społeczne lub moralne, chętnie od nich ucieka

¹⁾ Les Contemporains. Serya III, str. 91.

w odległe kraje zamorskie, zwiedzając raz Polinezyę, drugi raz ziemię Świętą, to Chiny, to znowu Japonię; lecz w jego dwudziestu kilku tomach naprózno byśmy szukali szczegółów, odnoszących się bądź do życia umysłowego, bądź do życia praktycznego. Nasz podróżny zajmuje się tylko przyrodą; smętne, melancholijne krajobrazy, morze, pustynia — to jego żywioł, w opisywaniu którego celuje. Nie są to zdjęcia fotograficzne, wierne opisy plastyczne, jakich wzór mamy w pismach Flauberta, lecz obrazy widziane, jakby przez mgłę, jakieś fantastyczne widma rozkołysanej wyobraźni, obrazy o niepewnych kształtach, budzące w nas zamałte echo trwogi. To też, ściśle wzięwszy, Loti nie jest malarzem, lecz wirtuozem słów, który gra na strunach naszych przeczuć. Jego opisy mają moc dźwięków, jego obrazy suggestyjonują z nieprzepartą siłą owe wrażenia, których doznawał niegdyś autor w zetknięciu się z tajemniczą naturą. *Ses tableaux, à lui, pisze o nim Bordeaux, ne sont que de pâles fresques sans relief et sans ombres. Du visage de la terre il ne donne qu'une imparfaite ressemblance. Mais ce visage dont il connaît la beauté diverse, il le caresse pieusement de ses mains, il le couvre de ses baisers ardents. Ainsi rapproché de lui, abîmé dans son extase, qu'importe s'il n'en voit plus nettement les traits? Il en sent la douceur, le contact délicat et charmant. Au lieu de nous dévoiler des formes, il nous fait revivre l'instant de sa sensation: nous partageons ses ivresses, le trouble délicieux, où le plongent ses communions avec la nature*¹⁾.

W większym lub mniejszym stopniu powyższe cechy charakteryzujące trafnie talent Loti'ego odzwierciedlają się w książce, z której zdaję sprawę. Jest to opis podróży po kraju Padyszacha²⁾. Początek utworu, rodzaj preludium, nastraja czytelnika na tęskną nutę, otwierając przed nim melancholijny świat zamierzchłej wielkości. Wśród nocnych cieni, przy migotliwym blasku latarek karawana rusza w drogę, kierując się ku olbrzymiej wyżynie centralnej Persyi. Obrazy zmieniają się szybko, jedne dziwniejsze od drugich. Opis fantastycznego przejścia przez dzikie pasmo górskie ponad otchłanie i przepaściste stoki napawa zgrozą, na każdym bowiem kroku grozi śmiertelny upadek. Grobową ciszę przerywa tylko staczający się z góry kamień, albo przeraźliwy świst przewodnika. Po uciążliwym marszu siedmiodniowym do-

¹⁾ La sensibilité de Pierre Loti (La Grande Revue 1905 t. II, str. 243).

²⁾ Pierre Loti: Vers Ispahan, Paris 1904, str. 317 (Calmann-Lévy).

ciera się wreszcie do pierwszego miejsca, gdzie znajduje się kilku Europejczyków.

Chiraz, miasto pamiątek i grobów, wspaniałe we środku, lecz otoczone ponurym labiryntem ciemnych ulic, po większej części zakrytych u góry, tak, że tylko od czasu do czasu mignie jasny promień słońca lub strzelista wieżyczka minaretu, miasto to, mało dostępne dla obcego, miało swoich poetów i pieśniarzy, którzy opiewali jego piękność. Chiraz, nazwane królową Iranu, było kolebką Saadięgo, miejscem pobytu Hafiza, a ich pieśni zachwycają jeszcze dziś w ustach perskich wieśniaków. Loti odwiedza grób obu poetów i przy pomocy wiernego sługi udaje mu się wejść do meczetu, którego architektoniczna budowa przejawia go podziwem. Gdzieindziej ma sposobność posłuchać starego derwisza, opowiadającego zebranej rzeszy wiernych męczeńską śmierć Hussema. Wyjeżdżając z miasta widzi ruiny Persepolisu. Widok tych olbrzymich zwalisk przypomina mu znikomość ziemskiej potęgi i melancholijne wspomnienia, które im poświęca Loti, należą do najpiękniejszych ustępów w całej książce (str. 125 — 138).

Z niemniejszą ciekawością czyta się powieść, którą Loti ogłosił temu kilka miesięcy p. t. „Trzecia młodość pani Prune“¹⁾. Podczas swego pierwszego pobytu w państwie „Wschodzącego Słońca“, autor był w bliskich stosunkach z kilkoma rodzinami japońskimi — pojął nawet za żonę Japonkę, a wrażenia z tego czasu znajdziemy w „Madame Chrysanthème“—teraz po piętnastu latach, znalazłszy się znowu w wielkim mieście Nagasaki, amfiteatralnie rozłożonem nad zatoką tej samej nazwy, spieszy do swych znajomych, ciesząc się, że zastaje wszystko w dawnym stanie (podróż ta ma miejsce przed wybuchem wojny). Cokolwiekby się powiedziało, dodaje Loti, o zmianach, zaszłych w tem państwie, dawna Japonia istnieje jeszcze, dawne obyczaje zachowują się w całej czystości. Jak widzimy, autor nie jest głębokim obserwatorem. Obraz życia domowego, niekiedy dokładny, najczęściej zaś bardzo powierzchowny, grzeszy jednostajnym nastrojeniem poetycznym, który jest dodatkiem Loti'ego. Natomiast zabawy ludowe w guście weneckich maskarad i przedstawienia w teatrze uderzają swoją oryginalnością i opis ich udaje się lepiej naszemu

¹⁾ Pierre Loti. La troisième jeunesse de Madame Prune. Paris 1905, str. 327 (Calman-Lévy).

podróżnikowi. Na egzotycznym tle, wśród chryzantemów i pagód przesuwają się także kilka postaci niewieścich, o twarzach nawpół dziecinnych. Skreślone z eteryczną delikatnością, przypominają one elfy szekspirowskie. Są to śpiewaczki lub danserki z zawodu.

W swoich zapatrywaniach na naród nipoński Loti stara się okazać bezstronnym, ale nim nie jest zawsze. Sąd jego ogółem trafny, czasem nie bez przesadnego podziwu. Tak np. kiedy opisuje wyspę Miyasimę, z której chciano wygnać wszelki ból, aby stworzyć raj na ziemi, wpada w entuzjazm na myśl, że w tym zakątku ziemi *nie wolno nikomu umrzeć ani urodzić się*, bo to połączone z boleścią, a więc, gdy kto jest chory, albo gdy kobieta ma zostać matką, uprowadza ją się w pobliskie osady. Autor jest natomiast przeciwnikiem nowożytnych reform, które, jego zdaniem, jak i zdaniem Ruskina, zabijają wszelką oryginalność, poezję, ideały narodu. Od czasu do czasu więc nie może się powstrzymać od złośliwej uwagi na widok mniemanych dobrodziejstw naszej cywilizacji w Japonii, to znowu zapuszcza się niepotrzebnie w dziedzinę psychologii ras, która nie jest jego silną stroną, aby wywołać sarkastyczny uśmiech na ustach czytelnika. Nie bez dziecinnej naiwności tłumaczy nam, dlaczego jesteśmy przedmiotem nienawiści Japończyków — pytanie jeszcze, czy wogóle nas nienawidzą? — *Ce petit peuple, arrogant et plein de mystère, cache sous ses dehors gracieux, une haine farouche pour les hommes de race blanche. Imaginerait-on même qu'un de leurs sujets de jalousie contre les Européens est de ne pouvoir, pour cause de visage trop plat, user d'un pince-nez?* Aussi les élégants d'entre eux se hâtent-ils d'en porter, même s'ils n'ont pas besoin, pour peu qu'ils se sentent au milieu de la figure un soupçon de quelque chose, permettant d'en accrocher un (str. 103).

Podobne treścią, ale nie tak poetyczne jak utwór Lotiego, są „Akwarele japońskie“¹⁾ młodego pisarza Jana de la Jaline. Obie książki uzupełniają się i kontrolują nawzajem, obie bowiem opisują północną część Japonii, a szczególnie okolice Nagasaki. Byłoby bardzo interesującym zadaniem porównać odpowiednie ustępy i zapatrywania autorów. Jaline, który znał powieść Lotiego „Madame Chrysanthème“ i według niej wyobrażał sobie życie japońskie, czuje się za swoim tam przybyciem rozczarowanym

¹⁾ Jean de la Jaline. Aquarelles Japonaises. Paris 1905, str. 250 (Lemerre).

na każdym kroku. Znajdziemy w „Akwarelach“ kilka obrazków wcale udatnych, kilka scen o nastroju mocno satyrycznym, ogółem jednak wzięwszy, książka nie może się mierzyć z utworem Lotiego ani pod względem barwności opisów, ani pod względem oryginalności poglądów. Autor usprawiedliwia się z jej niedostatków. Ce livre a les défauts de l'âge candide où il a été écrit: l'âge où l'on voit le mieux peut-être, mais où l'on ne sait pas regarder. Il y est question d'usages, qui meurent et de formalités, abolies depuis peu. Mais, ce qui ne change pas en cinq ou six ans, c'est la beauté de la Nature, c'est l'esprit d'une race, c'est cette grâce légère, que berce le chant des cigales, qu'incarnent les fines danseuses en robes de fée, sur les nattes blanches des tchayas, au son mélancolique des chamécens.

*

*

*

Gdyby istniał zwyczaj szeregowania utworów według stopnia intelektualnego pokrewieństwa ich umysłów, musiałbym Lotiego i Anatola France'a umieścić na dwóch przeciwnych końcach tego szeregu, mało bowiem mamy pisarzy tak zasadniczo niepodobnych do siebie przeszłością i rodzajem talentu.

Loti w swej młodości o wszystkim innem może myślał, lecz nie o karierze literackiej. Większa część głośnych za jego czasów dzieł, że wymienię utwory Flauberta, Goncourtów lub Daudeta, nie istniała dla niego, nie troszczył się o nie, nie był nigdy ciekaw je poznać. Wprost przeciwnie rzecz się ma z France'm. Ten, zdaje się, wyszedł z łona matki, trzymając książkę w rękę, a przynajmniej wśród książek spędził swój czas od najwcześniejszych lat młodości, oddany nieustannej lekturze. Z nieugaszonym żarem pochłaniał wszystko, co wydawała współczesna literatura.

U Lotiego uczuciowość góruje we wszystkich jego utworach i zabarwia je jakimś nieokreślonym sentymentalizmem, u France'a ani żdźbła liryzmu. Subtelna ironia, niezmiernie cięta, nigdzie brutalna, i magiczny czar niezrównanego stylu, jakim żaden z dzisiejszych pisarzy Francyi pochłubić się nie może, oto talizman tego powieściopisarza, zjednywający mu coraz nowsze rzesze zagorzałych wielbicieli. Kto raz zasmakował w jego pismach, pozostaje ciągle pod ich urokiem i z niecierpliwością oczekuje no-

wego utworu. France bowiem nie starzeje się wcale. Od pierwszej do ostatniej książki, wszędzie zachwyca ta cudowna mowa francuska, ta olśniewająca szata, w jaką przyobleka swe myśli i wrażenia. Zalety pozostały wszędzie te same. Co jednak zmieniło się u autora „Historyi współczesnej,” to jego poglądy. Do niedawna wykwinąłny sceptyk patrzył z obojętnością na stosunek czynu do moralności, zło czy dobro nie obchodziło go, byle było piękne; nowożytny Petroniusz, rozprawiający o jednym i drugim z równie zagadkowym uśmiechem. Zamknięty w swym małym pałacu, wśród rzeźb, obrazów i książek, France od czasu do czasu rzucał ciekawe spojrzenie na otaczające go społeczeństwo, odkrywał w niem egoizm, fałsz, obłudę, ale nie myślał o jego poprawie, nie troszczył się o przyszłość świata.

Od kilku lat zaszła zmiana widoczna w jego pismach. France, stawszy się obrońcą pokrzywdzonych, apostołem sprawiedliwości, głosi z silną wiarą postęp ludzkości ku zrealizowaniu wzniosłych zasad o powszechnej wolności i równości. Postęp ten dokonywa się nieustannie. Jego podstawą nie jest wrodzona czy pierwotna dobroć człowieka, co było błędnem hasłem Roussa i pokrewnych mu umysłów w XVIII wieku,—naturę ludzką cechując zarówno dobre, jak złe przymioty i one nigdy nie zginą—lecz nieuchronny rozwój ustroju społecznego, który pociągnie za sobą znaczne ulepszenia i zapewni przyszłym pokoleniom większy dobrobyt. Te zapatrywania znajdują swój wyraz w utworze France'a p. t. „Na białym kamieniu“¹⁾. Książka omawia szereg kwestyj najrozmaitszej treści, np. kolonialną politykę Francyi, wojnę rysyjsko-japońską, stan umysłów w pierwszym wieku po Chrystusie i t. d., zewnętrzną zaś formą przypomina słynne „Wieczory florenckie“ Klaczki.

Kilku Francuzów, związanych przyjaźnią, którzy spędzali wiosnę w stolicy włoskiej, spotykało się często na nowo odkopanem Forum i tam pod przewodnictwem dyrektora, zarządzającego wyprawą naukową, zwiedzało starożytne zabytki, podziwiając wszędzie praktyczność tych budowli. Przedmiotem ich rozmowy i nieustannych dyskusyj były naturalnie dzieje rzymskie. Nie szczędząc pochwał zmysłowi administracyjnemu potomków Romulusa, Langelier przypisywał ich powodzenie tolerancji religijnej i łatwości, z jaką umieli asymilować obce szczepy, poczem odczytał na głos swoją pracę o Gallionie. Był to, jak wiemy, prokonsul

¹⁾ Sur la pierre blanche. Paris 1905, str. 320 (Calman-Lévy).

Achai, przed którego sądem stanął apostoł Paweł. Gallion należał do najbardziej wykształconych umysłów swego czasu. Jako prawy charakter i Rzymianin, wiernie przywiązany do swej ojczyzny, spoglądał zapewne nie bez obawy na wzrastający ciągle upadek obyczajów i z niepokojem myślał o dniu jutrzejszym. Takim przynajmniej chce go mieć nasz uczony archeolog Langelier, który każe swemu bohaterowi roztrząsać zagadnienia filozoficzne i religijne. Czuje on, że panowanie dawnych bogów runie niebawem, lecz któż będzie następcą Jowisza? Prometeusz?... Herkules?... Wtedy to, znalazłszy się dziwnem zrządzeniem przeznaczenia twarz w twarz z człowiekiem, który mógłby najlepiej rozwiązać dręczące go pytanie i rozwinąć przed zdumionem jego wzrokiem obraz przyszłej religii, o ironio losu, cóż robi wielkorządca Achai? Bez wysłuchania oskarżonego odsyła obie strony, nie chcąc zajmować się bezcelowymi sporami. Konkluzya... przyszłość wymyka się najbystrzejszym umysłom.

Inny ma charakter druga część książki France'a. Dufresne opowiada swój sen, w którym widział przyszłe epoki. Jesteśmy w dwudziestym trzecim wieku. Europa stanowi konfederację narodów. Wszystkie środki komunikacyjne, kopalnie, wyroby przemysłu, wszystko jest własnością ogółu. Każdy stosownie do swej pracy i swego fachu otrzymuje ze strony zarządu odpowiednie pokwitowanie, które mu pozwala zakupić rzeczy potrzebne. Własność prywatna nie jest całkowicie zniesiona. Jednostka może rozporządzać pewną kwotą i użyć jej na ozdobienie swego mieszkania. Jedynie więc przedsiębiorstwa, fabryki i t. p., które pozwalają jednemu korzystać z pracy wielu, należą do państwa. Autor nie przypuszcza, iżby zło przez to zupełnie ustało, owszem, dodaje: i wtedy będą dobrzy i źli, pracowici i leniwi, tylko zło stanie się rzadszem, ponieważ nie będzie okazji do popełnienia zbrodni. Czy wszyscy będą natenczas zupełnie zadowoleni? Dufresne zdaje się wątpić, bo mimochodem wspomina o ustawicznych narzekaniach piekarzy, że państwo za dużo wydaje dla chemików i uczonych, którzy nic nie robią.

Taki jest zarys najnowszej książki Anatola France'a, która, jak powiedziałem, porusza mnóstwo interesujących zagadnień z dziedziny polityki, socjologii i religii. Nie mogąc się niemi zająć bliżej, odsyłam czytelnika do samego utworu, a nie poażuję z pewnością kilku nad nim spędzonych godzin.

*

*

*

Po dramacie romantycznym, który na pozór zastępował tragedję i komedję, po moralizujących utworach Augiera i Dumasa syna nastąpił teatr nawskroś realistyczny z głównym przedstawicielem Becquem, a potem symboliczny, mający na czele Belgijczyka Maeterlinka. Ten drugi kierunek nie okazał się żywotnym, co było do przewidzenia; widowisko bowiem sceniczne najjinniej nadaje się do traktowania oderwanych idei filozoficznych. Symbolizm był ostatnim wybitniejszym prądem literatury XIX wieku, po nim ustały wszelkie szkoły i stulecie zakończyło się bankrutwem haseł na rzecz bujnego indywidualizmu pisarzy. Wśród tych skrajnych dążeń, jakież jest zadanie przyszłego teatru? czem będzie się on zajmował przede wszystkim? Jedno z poważnych czasopism paryskich, *La Grande Revue*, miało szczęśliwą myśl urządzenia ankiety, zwracając się do dyrektorów i krytyków teatralnych z pytaniem co sądzą o teatrze przyszłości. Ich odpowiedzi, dotychczas zresztą nieliczne, nie rozświetlają dostatecznie kwestyi.

Zdaniem Ginisty'ego, dyrektora Odeonu, dzisiejszy teatr dąży do ogarnięcia coraz szerszych horyzontów i do odzyskania wpływu na społeczeństwo. Nie troszcząc się o anegdotki, roztrząsa z namiętnością aktualne zagadnienia. Ten kierunek weźmie górę i opanuje teatr w przyszłości.

Podobny sąd wydaje znakomity krytyk Nozières. Komedya drugiej połowy XIX w. zajmowała się przede wszystkim bankierami i kupcami. Dumas kreśli powolną emancypację mieszczaństwa, Augier, piętnując bogatą burżuazję, ukazuje w całej pełni potęgę złota, Meilhac i Halévy malują zepsucie, panujące wśród tej właśnie warstwy, Becque zaś — jej upadek. Wobec kwestyi moralnych lub uczuciowych zachowujemy się z coraz większą obojętnością, natomiast na czoło wysuwa się polityka i konflikty społeczne. Oto tematy przyszłego teatru, który święcił już prawdziwy tryumf w „Tkaczach“ Hauptmanna.

Antoine, dawny kierownik „Wolnego Teatru“ nie widzi żadnej ewolucyi w dzisiejszym dramacie. Nie wierzy zaś w socjalną misję teatru. Brioux robi wysiłki godne pochwały, ale jego bohaterowie — to personifikacje pewnych haseł, jego teatr nie jest teatrem przyszłości. Rostand zabłysnął, jak sztuczny ogień w naszej literaturze — bez zgoła żadnego wpływu. Nie cenię, powiada, „Cyrana de Bergerac“, który obudził przestarzały gust, wyżej stoi niewątpliwie „Orlątko.“ Zresztą z obecnego chaosu przeróżnych tendencyj, nawzajem się krzyżujących, nie można nic wróżyć o przyszłości.

Antoine okazuje się zanadto pesymistycznym w swych zapartywaniach. Wpływ Rostanda, choć nie tak wielki, jak się spodziewano zrazu, jest niemniej widoczny, a teatr socyalny, o ile łączy w sobie pierwiastki wszechludzkie, ma przed sobą świetną przyszłość. Poznamy to przy rozbiorze poszczególnych utworów. Do najmłodszych, lecz bardzo uzdolnionych pisarzy dramatycznych należy Bernstein. Jego premiera tegoroczna cieszyła się niezwykłym powodzeniem u publiczności, wywołując za każdym razem długotrwałą burzę oklasków. Krytycy, zarzucając autorowi przesadę w kilku szczegółach, uznali niemniej „Ognisko domowe“ za utwór trwałej wartości. Treść tego dramatu trochę banalna, odwieczna jak świat, a znana przynajmniej od czasów Homera. Żona, opuszczająca starego męża dla kochanka, aby po wielu latach odczuć tęsknotę za domowem ogniskiem, mąż kochający mimo wszystko swoją żonę, gotowy jej przebaczyć i przygarnąć ją, jak zbłąkaną owcę, poeta, który umie zachować naszą sympatyę dla upadłej bohaterki, to wszystko pachnie historią Menelausa i Heleny i stanowi zarazem ramy dramatu Bernsteina¹⁾. Zmienił się kostyum, starożytna intryga ubrała się w nowe szaty, czasem bardziej zuchwałe, często mniej poetyczne, lecz istota rzeczy pozostała ta sama.

W gustownie umeblowanym salonie Ewelina Landry, heroina dramatu, czyta z uniesieniem wiersz hrabiny de Noailles, wzywający do szczęścia, zadowolenia, miłości. Jej uczucia podziela młody Foucher, przyszła gwiazda literackich salonów. Jakżeż ich można zresztą nie podzielać, gdy się jest w obecności pięknej kobiety, której oczy wyrażają słodką melancholię, tęsknotę za nieznanem, ledwie odczujem szczęściem, a usta szepcą niedosłyszalne wyrazy wyśnionych marzeń. Mniej zadowolonym jest oczywiście stary Menelaus, chciałem powiedzieć, pan Landry, który nie zna się na wartości tych górnolotnych rozpędów poezyi i szczebiotanie jej reprezentantki wydaje mu się trochę dziecinne. Po jego odejściu zawiązuje się bardzo interesująca rozmowa między Eweliną a Foucherem. Dowiadujemy się o przeszłości młodej kobiety, o jej sieroctwie i opuszczeniu, o braku jakiegokolwiek jasnej chwili w jej życiu i t. p. Chwila bardzo stosowna; zanim bohaterka zajrzy w przepaść, niechże się pocieszy dziewczęcimi marzeniami młodości, niechaj obudzi wszystkie dawne plany, rojenia, sny, które niby

¹⁾ Henry Bernstein. *Le Bercail*. Comédie en trois actes. Paris, 1905. (Charpentier).

zawiodły, kontrast będzie tem bardziej rażący. Foucher przysłuchuje się temu beładnemu opowiadaniu z głębokiem współczuciem i nie bez wewnętrznego zadowolenia. Biedactwo! nie zagnało nigdy szczęścia, ani w domu krewnych, ani przy boku męża, znajdzie je na łonie kochającego przyjaciela. Wiesz co, mówi do niej Foucher, mam świetną myśl. Gdybyś tak złożyła mi wizytę w mojem kawalerskiem mieszkaniu? krótką... oh, króciótka, pięć minut? Nie? Nie możesz?... Dlaczego?... Ha, ha, ha! nie chcesz oszukać męża! ależ to przesąd mieszczański, skrupuł niegodny prawdziwie wzniosłej duszy... Zresztą dobrze, rób, jak ci się podoba, moja kochana, ale wiedz o tem, że jadę na północ, ku fjordom norweskim, szukać natchnienia, przepraszam pejzażów, dla nowego romansu, a kiedy wrócę, będziesz mi zupełnie obcą...

Nie możemy rozstrzygnąć z całą pewnością, niestety, czy sławny pasterz Idyjski proponował swojej bogdance w równieź cyniczny sposób małą pogawędkę u siebie, brak nam autentycznych dokumentów; wydaje mi się jednak bardzo prawdopodobnem przynajmniej to, iż Menelaus zastawszy pewnego dnia królowę na czulej rozmowie z trojańskim księciem, jak Landry swą żonę z Foucherem, musiał podobnie, jak tenże, z całą zresztą przyzwyczajonością, powiedzieć natrętnemu gościowi: Widzisz, kochasiu, dwóch nas za dużo w tym domu, a ponieważ ja jestem jego prawym właścicielem, słuszna, abys ty ustąpił. Spodziewam się, że jutrzejsza zorza o różanych palcach nie zastanie cię tutaj. A teraz... chcesz się pożegnać z moją żoną?... ależ, naturalnie, możesz; wiem, żeście oboje zaci. Dobrze, dostojny panie, życzenie twoje jest dla mnie rozkazem, idę pokłonić się twej boskiej małżonce i... (do siebie) uwiadomić ją o niespodziewanej przeszkodzie. Teraz ona moja! albo nigdy!

Pani Landry z oburzeniem przyjmuje do wiadomości postępki męża. Jakto, pozbawiasz mię obecności jedynego przyjaciela, który mi słodził chwile bezbrzeźnej tęsknoty, który mi niósł pociechę... Potrzebujesz więc pociechy, a to coś nowego!... Dla ciebie, zapewne, czyś się kiedy zatroszczył o mnie, o moje duchowe jestestwo, o me pragnienia, ideały? Byłeś zadowolony, ergo ja byłam zadowolona. Taka to twoja logika. Nie, nie pozwolę się pozbawić niesłusznie tych kilku jaśniejszych promieni w mem życiu. Ah! kochasz więc Fouchera? Kocham! Byłaś jego kochanką? Widywałam go tylko w tym domu, gdzie kolebka mego dziecka... Nie wierzę ci, nie wierzę, udawałaś przez trzy lata przywiązanie do mnie, kłamałaś, i teraz kłamiesz. Opuszczamy Paryż... Przenigdy! Wolę uciec do Fouchera, niż widzieć się po-

grzebaną na nowo w twem rodzinnem miasteczku, wśród twoich krewnych, którzy mnie nienawidzą... Idź! Strata będzie niewielka i dla syna i dla mnie, ale wiedz, że gonisz za marą wyobraźni; czeka cię zaś bolesne rozczarowanie i nieskończony ból. A teraz, ostatnie jeszcze słowo, rozważ je dobrze. Daję ci rok czasu na rozpamiętywanie. Skończyłeś?... Tak!... Do widzenia!...

Powyższe streszczenie oddaje słabo zarys tej sceny, jednej z najbardziej wzruszających. Wogóle ten pierwszy akt pod względem techniki dramatycznej jest prawie bez zarzutu, napisany z wielką wprawą i prostotą. Autor w zwięzłych zwrotach kilkomaciągami pióra, charakteryzuje przewybornie daną osobę, oświetlając jej zapatrywania i uczucia; z zręcznością, która nie pozostawia nic do życzenia, zawiązuje konflikt psychologiczny i rozwija go w dyalogu pełnym życia i dobitności. Jednym słowem akt ten, jako ekspozycja dramatu, jest wyśmienity. Nie można tego powiedzieć o następnym.

Upłynęły cztery lata wspólnego pożycia. Wiele zawodów i wiele gorzkich chwil w życiu młodej kobiety. Ewelina kochała w swoim wybranym przedewszystkiem poetę, człowieka polotu i ideałów; lecz ten, co było do przewidzenia, niebawem „zbakierował się,” że użyję wyrażenia nieksiążkowego, oszołomiony pierwszym sukcesem, przestał pracować, oddając się wesołemu życiu cyganeryi quasi-literackiej. To towarzystwo, w którym znalazł się młody człowiek, towarzystwo artystów i artystek, aktorów, śpiewaczek i ich mecenasów — dodajmy zaś, że w skutek swej fałszywej pozycyi społecznej tylko w podobnym mógł się obracać w świecie — nie przyczyniło się z pewnością do rozwinięcia jego zdolności pisarskich. Obraz, który nam maluje autor, jest rzeczywiście przygnębiający w swej moralnej ohydzie i bądźmy wdzięczni Bernsteinowi, że nie wahał się go napiętnować dosadnie. Oto kilka szczegółów. Bosquet „serdeczny przyjaciel” Fouchera, przynosi Ewelinie perły od bardzo „dystygowanej i kolosalnie bogatej osoby,” barona Otisa, z propozycją, której łatwo się domysleć. Bohaterka, co prawda, daje do zrozumienia śmiałkowi, że drzwi stoją otworem, ale nie widać na jej twarzy oburzenia, przywykła widocznie do scen tego rodzaju w świecie, który ją otacza codziennie.

Przybywają zaproszeni goście i zawiązuje się rozmowa bardzo budująca. Izabela Lièvre wyjaśnia matce, że zazdrość ośmiesza kobietę w jej wieku, że zamadto więc dręczy... kochanka, który gotów wreszcie zniecierpliwic się i porzucić ją zupełnie; od pani Savignac dowiadujemy się, że jej mąż wybrał się w podróż arty-

styczną, bo mu towarzyszy... pewna artystka; Leon Lièvre, płodny wierszopis, każe oznajmić ministrowi oświaty, że, jeżeli 14-go lipca nie udekoruje go orderem, wielki śmiech rozlegnie się po całym Paryżu; Belgrain zaś, mecenas i redaktor, ogłasza w dziesięciu artykułach niezwykle talent jakiejś Luli, śpiewaczki czwartorzędnego kabaretu, osoby w rodzaju „damy od Maksyma,“ którą wprowadza jako „opiekun“ do salonu Fouchera. Przypatrując się tej „czcigodnej“ kompanii, rozumiemy, dlaczego młody człowiek utracił wszelką chęć do pracy, rozumiemy gorycz Eweliny, gdy jej oznajmia, że ma już ozdobną okładkę i ilustracje dla nowego romansu, który równocześnie przerobi się na sztukę dramatyczną, i że dyrektor teatru obiecał ją wystawić z przepychem etc., a to wszystko wróble na dachu, bo ani jednego wiersza jeszcze nie ukropił dla przyszłej książki.

Bohaterka ma dość tego życia. Jak niegdyś uciekła od męża, tak teraz opuszcza kochanka. Tęsknota za synem ogarnęła ją od dawna, lecz próśby jej nie odnosiły skutku. Trzeci akt przenosi nas do jego domu. Pan Landry mimo pozornej obojętności myśli ciągle o Ewelinie, co więcej, kocha ją mimo wszystko, choć wstydzi się swego uczucia. Rozważając przeszłe wypadki, dochodzi pomału do przekonania, że i on nie był bez winy, że mimowoli przyczynił się do katastrofy, że nigdy nie starał się zrozumieć pragnień żony. Autor przygotowuje nas zrećźnie do ewentualnego rozwiązania konfliktu. W wigilię Bożego Narodzenia Ewelina, wprowadzona potajemnie do sypialni dziecka, znajduje się nagle w obecności męża. Po krótkiej sielance między matką a synem, przejmującej rozrzewnieniem widzów, następuje scena burzliwa, gwałtowna, starcie się dwóch poglądów. Bernstein broni z zapalem praw swej bohaterki, a broni skutecznie, bo nietylko Landry przebacza swej żonie, ale publiczność rozentuzyazmowana hałaśliwymi oklaskami daje poznać swoje zadowolenie. — Autor więc sprawę wygrał przed trybunałem teatralnej publiki, lecz sprawa, której był niepowołanym obrońcą, czy słuszna? Oczywiście, nie chodzi mi o poszczególny wypadek, mniej lub więcej upozorowany koniecznością i zabarwiony sztucznie sentymentalizmem, chodzi o zasadę samą w sobie, o dążność idealizowania kobiety, która nie waha się dla kaprysów wyobraźni porzucić z niesłychaną lekomyślnością męża i dzieci. Utwór Bernsteina pragnie rozwiązać pewien problem o moralnej i społecznej doniosłości, a jako taki zasługuje na baczniejszą uwagę. Nie jest on zresztą odosobniony w tych dążeniach. Rzecz doprawdy ciekawa; trzech pisarzy, jeden niezależnie od drugiego, zajęli się tym tematem i równocześnie

niemal wystawili swoje utwory. Mówię o dramatach Brieux'a i Sigaux'a p. t. „La Déserteuse“ oraz Henryka Bataille'a p. t. „Maman Colibri.“ We wszystkich trzech mamy kobietę zamężną, która opuszcza domowe ognisko, aby użyć swobody z kochankiem, we wszystkich trzech kobieta po pewnym czasie porzuca kochanka i wraca lub wrócić chce do męża. Rozwiązanie problemu jest cokolwiek odmiennie w utworze Brieux'a, ale wszyscy trzej autorowie głoszą z zapałem pobłażliwość dla żałującej, słuszność przyjęcia jej napowrót, jak gdyby nic nie zaszło.

Nie wiem, czy to owe znane wypadki na dworach europejskich natchnęły naszych trzech pisarzy—przynajmniej u Bataille'a jest pewne echo, jego bohaterka ma lat 40 i ucieka z dwudziestoletnim kolegą swoich synów — czy też inne okoliczności, faktem jest, że chodzi o kwestyę aktualną. Widocznym lub ukrytym celem tych utworów jest pragnienie zrewolucjonizowania współczesnych zapatrywań na wiarołomstwo kobiety. Najwyraźniej stawia to pytanie Bataille i odpowiada na nie przez usta Rysbergue'a, który usprawiedliwia się wobec syna, dlaczego, przebaczywszy żonie, nie chce rozpocząć z nią życia nanowo: ...capable d'admettre et de pardonner, je n'ai pas assez de supériorité ou trop d'égoïsme, comme tu voudras, pour me résoudre à l'approcher, la revoir sans rien demander d'elle-même... je manque de courage... Peut être un jour, des hommes viendront, assez forts, assez libres, pour assister au phénomène de la femme avec une simple indulgence et une plus calme équité. Pour nous, que veux-tu? notre passé religieux, des préjugés, de vieilles et adorables coutumes ne peuvent chasser de notre mémoire cette conception de l'épouse pure et chaste, de l'amour unique, fidèle au foyer domestique. *On ne porte pas en vain le poids de tant de siècles catholiques* Sans doute, *c'est étroit, égoïste, mesquin...* mais que veux-tu? *J'envie ceux qui sauront un jour se libérer de cette conception et s'affranchir de ce passé.* Podkreślone zwroty uwydatniają dostatecznie myśl autora. Jeżeli oszukany mąż w „Maman Colibri“ nie postępuje jak p. Landry, to już następne generacye tak postępować będą, jest to tylko, zdaniem tych autorów, kwestya czasu, zresztą bohater sam uznaje, że to zabytek dawnych przesądów. Miejmy nadzieję, że przeżyje jeszcze niejedno pokolenie.

*

*

*

„Nasza młodzież“¹⁾ Capusa jest niewinną satyrą na płochość i nieporadność współczesnej generacyi, reprezentowanej w osobie Lucyana Brianta, w przeciwstawieństwie do energji i nieugiętości jego ojca, człowieka starej daty. Powiadam „niewinną,“ bo autor sam widocznie sprzyja młodzieży, skoro to, przeciwko czemu oburza się stary Briant i o czem nie chce słyszeć, przedstawia się, jako szlachetny akt sprawiedliwości ludzkiej i społecznej.

Lucyan Briant, będąc studentem, żył w blizkiej przyjaźni z ubogą dziewczyną, którą musiał opuścić pod naciskiem woli ojca i zbiegu fatalnych okoliczności. Rozstanie było spokojne i nasz pseudo-bohater mógł mieć wszelką nadzieję, że grzech młodości utonie w zapomnieniu. Upłynęło lat kilkanaście. Z wesołego niegdyś młodzieńca zrobił się manekin, zajęty interesami i fabryką, uginający się pod ciężarem urojonej odpowiedzialności i trwożliwy wobec ojca, który jest dlań najwyższą wyrocznią w najdrobniejszych nawet szczegółach prywatnego życia. Rzecz jasna, że jego żona Helena, kobieta inteligentna, żywa i dowcipna, niechętnie znosiła to jarzmo i tę wieczną opiekę teścia, uważając słusznie za niegodne czterdziestoletniego mężczyzny dać się prowadzić na pasku, jak małe dziecko, tembardziej, że w istocie rzeczy Lucyan pracował za siebie i za ojca, a swoją wytrwałością potroił dochody przedsiębiorstwa. Stąd częste spory, zresztą nieszkodliwe, między kochającymi się małżonkami, co do wyższości umysłowej pana Brianta, który wszystkich młodych traktuje jako „pajaców“ (pantins) — wyraz stały w jego ustach — i narzeka na dzisiejszy stan społeczeństwa.

Oryginalną tę rodzinę zastajemy w Trouville, rezydencyi letniej Chartiera, któremu z trudnością udało się nakłonić przyjaciela i towarzysza zabaw szkolnych, aby odpoczął u niego przez miesiąc po piętnastu latach nieustannej pracy. Dla Heleny życie w Besançon było jednym ciągiem okropnych nudów, życie bez promyka radości i nadziei, jakie prowadzi małżeństwo w takich warunkach, w dodatku bezdzietne. Nie dziw, że pobyt w Trouville, gdzie ją otaczają pochlebcy i wielbiciele, odurza ją i niepokoi. Pod wpływem pięknych słówek niedoświadczona kobieta byłaby zaszła może za daleko, gdyby przypadek nie przyszedł jej z pomocą, przynosząc zbawczy środek, którego pragnęła za wszelką cenę. Ten kryzys duszy, ten decydujący moment psychologi-

¹⁾ Alfred Capus, Notre Jeunesse. Paris 1904, str. 280 (Charpentier).

czny w życiu bohaterki uchwycił autor trafnie. Zdaje sobie z niego sprawę i Helena:

Je n'en sais rien... Je suis dans le trouble et dans l'angoisse... Et pourtant, non, non, je n'en suis pas là encore... Mais demain... Si je ne reçois pas quelque secours, quelque cordial puissant, à quoi suis-je exposée demain?... Partir?... Mais la pensée de me retrouver là-bas toute seule, dans la plus morne, la plus monotone, la plus inutile existence, me glace et m'épouvante! Et si je reste, qui sait si ce n'est pas la chute forcée, prochaine, inévitable et la chute peut-être sans amour, sans passion, sans beauté!... Et j'aurais des excuses, allez! de fortes excuses. Un mari sans joie et sans énergie, qui n'a jamais une minute le courage de rire et d'être un homme!... Et par une dernière fatalité je n'ai pas d'enfant!... Oh! cela, c'eût été la préservation... Oui... oui... un enfant devant moi, j'aurais été inattaquable... En aurais-je jamais, maintenant? Non... c'est fini. Il y a des heures où j'ai envie d'en prendre un le premier venu et de m'appliquer à l'aimer comme s'il était à moi! To lekarstwo, jak powiedziałem, przychodzi w samą porę. Do Chartiera zgłasza się naturalna córka Lucyana, o której istnieniu tenże już dawno zapomniał. Przyszła do niego z prośbą o pomoc w kłopotliwym położeniu, w jakim się znalazła po śmierci matki, wiedząc, że tam zastanie Lucyana. Następuje cały szereg scen nawpół żartobliwych, nawpół wzruszających. Biedny bohater drży, żeby się żona nie dowiedziała o jego przeszłości, gotów więc za pośrednictwem Chartiera zapewnić córce roczną pensję, byle powróciła do rodzinnego miasta. Lucyna odtrąca jałmużnę ojca, który nie zapragnął nawet widzieć się z nią. Woli pracować ciężko na utrzymanie życia, niż przyjąć od niego cokolwiek w takich warunkach. Tymczasem zbiegiem okoliczności Helena dowiaduje się o wszystkim i postanawia, iście po kobiecemu, zatrzymać niezwłocznie dziewczynę, która swoim wdziękiem, prostotą, godnem zachowaniem się, zyskała zupełnie jej serce. Zdawałoby się tedy, że nie powinno stać na przeszkodzie wykonaniu tego planu. Nie! Stary Briant jest nieugięty w swych zasadach i... przesądach. Mamy więc nowy konflikt, wahanie się Lucyana między wolą ojca, a stanowczem oświadczeniem żony, że nie powróci bez młodej dziewczyny do Besançon. Po różnych perepetyach dobijamy wreszcie szczęśliwie do portu ku zadowoleniu wszystkich widzów.

Streścić komedię Capusa, znaczy zbanalizować ją, gdyż autor nie stara się, jak widzieliśmy, o oryginalność tematu, lecz przedmiot dawno znany okrasza nowym wdziękiem. Powodzenie

jego utworów leży w dowcipnym dyalogu i w umiejętności wywoływania niespodzianych efektów przez zabawną sytuację, w jaką pogrąża daną jednostkę w chwili, gdy o tem myśli najmniej. Przytem nie lubi on gwałtownej walki, rozszalałych namiętności, nie lubi scen potężnych i wstrząsających do głębi widzami. Osoby jego komedyi przechadzają się ze spokojem i z pewną elegancją. Pogląd autora na świat nie bardzo głęboki. Capus jakby z pobłażaniem patrzy na drobne wady i słabości ludzkie, uważa je jako zło, lecz niemal konieczne, i jego lekki uśmiech mówi nam, że wszystko da się jakoś urządzić, że nie warto byle czem zatruchiwać sobie życia. Życie jest dość niewesołe, pocóż je zasmucić jeszcze więcej nieugiętością i uporem. Kompromis to rzecz najlepsza.

Przez swoje tendencje, jako też przez swoją powierzchowną obserwację, autor „Naszej młodzieży“ uchodzi słusznie za następcę Scribego. Przewyższa go atoli wysokim liryzmem, sentymentalnością, która tamtemu jest obcą, i prostotą środków technicznych w rozwoju akcji.

*

*

*

Emile Fabre, którego nie należy mieszać z powieściopisarzem Ferdynandem, ściągnął na siebie powszechną uwagę po raz pierwszy dramatem p. t. „Życie publiczne,“ granym przed kilkoma laty w teatrze „Odrodzenia“ w Paryżu. Jako syn administratora aktorskiej trupy, Fabre od najwcześniejszej młodości oswoił się z atmosferą teatralnych desek i nieraz brał udział w przedstawieniach, grając mniej ważne role. Początek jego pisarskiej kariery datuje od roku 1894, lecz dopiero wyżej wspomniany utwór narzucił publiczności nadsekwańskiej stolicy imię nowego autora, który obecnie należy do najwybitniejszych dramaturgów francuskich młodego pokolenia.

Charakterystyczną cechą utworów Fabra jest aktualność poruszanych kwestyj, dramatyczny rozmach, z jakim traktuje swój temat i zręczność w kreśleniu zbiorowych scen, gdzie występują masy ludowe. Jakieś gwałtowne, potężne technienie, wieje poprzez całą akcję, która zatacza szerokie kręgi, zaprzęgając do swego

rydwanu najróżnorodniejsze warstwy społeczne, od biednego rzemieślnika do senatora i ministra. Autor, zanim przystępuje do pisania dramatu, bada skrupulatnie i wszechstronnie środowisko, które mu ma służyć za tło, wczytuje się cierpliwie w urzędowe dokumenty i nie cofa się przed mozolną pracą wertowania statystycznych wykazów, byle osiąść jak najdokładniejsze informacje. Z pewną naiwną szczerością rozwija swoje zapatrywania na rzemiosło pisarskie i swój sposób pracowania: Je me documente tous jours très longtemps à l'avance. J'ai des notes précises, presque définitives, pour des pièces que j'écrirai demain, et plus tard, dans cinq ou six ans, peut-être davantage. Je sais ce que diront certains personnages à certains moments de certaines scènes, dans des ouvrages dont je ne connais pas encore le scénario. Je n'admets pas, en ce qui me regarde, la documentation hâtive. Tenez, pour la „Vie publique,“ j'avais fréquenté les réunions électorales et les milieux, où elles s'organisent, pendant plusieurs années, j'avais noté les phrases curieuses qui pouvaient s'appliquer à tel ou tel de mes personnages embryonnaires, non point pour m'en servir textuellement, car c'est un genre d'éloquence infiniment médiocre, mais bien pour m'imprégner de l'atmosphère où je voulais que respirassent mes bonshommes. Tak samo przed napisaniem tegorocznej premiery, zatytułowanej „Les Ventres dorés,“ autor przestudowywał sumiennie sprawozdania budżetowe ostatnich lat, przejrzał akta kilku towarzystw akcyjnych, które, dzięki gorączce spekulacyjnej, skończyły wczesnym krachem.

Jakiż jest przedmiot tej burzliwej komedyi? Jest to, powiada Fabre, historia przedsiębiorstwa na wielką skalę i jego stosunków do wiedzy, dziennikarstwa, polityki, państwa i całego świata. Po zaciętej walce między Towarzystwami i między jednostkami—zawikłania parlamentarne, zatarg z tubyleżą ludnością, z zagranicą, wojna ze wszystkimi swemi następstwami. Lubię postacie energiczne, dodaje w dalszym ciągu autor. Chciałbym swój teatr nazwać „teatrem energii.“ Lubię poruszać wielkie sprawy nowoczesne. W „Życiu publicznem“ wprowadziłem w ruch prowincję i połowę jej mieszkańców. W „Ventres Dorés“, których korzenie sięgają głębiej a konary obejmują większą przestrzeń, interesuję cały świat. Lubię silne charaktery, bohaterów, oczywiście nowożytnych. Dramaturg, poeta, malarz powinien obrabiać swoją epokę, przewidywać przyszłe wypadki. Z utworów teatralnych te się utrzymują na scenie, w których najlepiej odtworzono owe charaktery. Odczytujcie Szekspira. Ustaly szkoły i teorie. Należy

z głębić życie, które zmienia się nieustannie, rośnie, walczy, mieni się i zanika ¹⁾.

Baron de Thau, wielki finansista, prezydent towarzystwa „Nowej Afryki,“ mającego na celu wyzyskać naturalne bogactwa Mauretanii, urządza wspaniały bal dla swoich gości, wśród których nie brak najwyższych dostojników państwa. Przed oczyma widzów przesuwają się szereg sylwetek, uchwyconych, jakby migawkowym aparatem, lecz nie mniej przez to wyraźnych: Vernières, były deputowany; d'Angeville, potomek starej rodziny szlacheckiej; Veurettes, członek Akademii; Carrier, dziennikarz i literat; Chauvelot, szczwany lis w obrotach pieniężnych na giełdzie. Są to założyciele „Nowej Afryki,“ stanowiący zarazem jej zarząd. W pałacu barona luźno i gwarno, wszyscy zajęci, rozgorączkowani; pogłoski — bardzo niepewne — o odkryciu pokładów złota w terenie, należącym do przedsiębiorstwa, hypnotyzują obecnych. Ukazuje się baron d'Urth, drugi potentat giełdy, a za jego zbliżeniem się ustaje poufna rozmowa; zagadkowa postać przesuwają się na scenie niby złowrogie fatum, którego wpływ zawiśnie niebawem nad rozbawionem towarzystwem. D'Urth, niedopuszczony do spółki, stara się podkopać byt „Nowej Afryki,“ prowadząc zacieklą walkę podziemną i obniżając coraz bardziej wartość jej akcyj. Wieści, rozsiewane przez dzienniki, wywołują panikę wśród publiczności; pogłoski o powstaniu w Mauretanii, o walkach między wojskiem a robotnikami, o zniszczeniu prac, o samobójstwie prezydenta, etc. rozchodzą się z szybkością błyskawicy. W wieściach tych było dużo przesady, ale d'Urth osiągnął swoje, niżka akcyj na całej linii przybiera olbrzymie rozmiary. Baron de Thau używa z kolei wszystkich środków, ażeby wciągnąć rząd w tę sprawę. Państwo powinno dać opiekę swoim obywatelom, uchwalić wyprawę do Mauretanii i siłą zbrojną poprzeć przedsiębiorstwo, które przyniesie krajowi wielkie zyski. Ażeby wpłynąć na parlament, trzeba stosownie obrobić opinię publiczną, zjednać sobie dziennikarstwo i pozyskać wpływowe osoby; lecz to nie wszystko, przede wszystkim towarzystwo musi stać na silnej podstawie, a tu, jakby na przekór, kursy papierów coraz bardziej spadają. Należy je podtrzymać za wszelką cenę: kompania kupi więc swoje akcje. To może zaprowadzić zarząd przed kratki sądowe; to też Vernières sprzeciwia się z całą stanowczością i posiedzenie członków jest bardzo burzliwe.

¹⁾ Powyższe szczegóły w „Illustration théâtrale“ (Numer z 25. III. 1904).

Tymczasem na dole, przed siedzibą „Nowej Afryki“ tłum burzy się i huczy. Głuche odgłosy dochodzą do sali, gdzie zebrała się rada zarządzająca. Baron pokazuje Vernières'owi te bezmienną rzeszę ludzi, rozgorączkowane i miotające przekleństwa: „Spójrz, powiada, na tę falę głów ludzkich, która kołysze się na ulicy. To nasi akcyonariusze, właściciele naszych papierów, którzy przybyli tutaj zaniepokojeni wieściami, strwożeni, drżący, mając tylko w nas nadzieję. Czyż wydamy tych nieszczęśliwych na łup kilku łajdakom, którzy ich obedną ze skóry? Czyż na to wzięliśmy ich oszczędności, ostatni grosz, powoli nagromadzony ciężką pracą, odejmowaniem sobie od ust i bezsenne nocami, aby wzbogacić kilku spekulantów? Spójrz na tę kobietę rzewnie płaczącą, z dzieckiem na ręku, na tego starca — złamanego, na tego człowieka, czerwonego od gniewu, gestykującego zawzięcie, który wydaje dzikie okrzyki, spójrz na tych wszystkich innych z wzniesionemi oczyma, jak gdyby, spostrzegłszy cię, zwracali ku tobie błagalnie swe oblicza. Zanim wieczór zapadnie będą to — bogacze lub nędzarze, stosownie do tego jak postanowisz. Lecz pomyśl o tem, co rozegra się jutro w ich domostwach, gdy katastrofa się spełni. Rodziny bez grosza, córki bez posagu, starcy bez chleba, niedola zaniesiona w głąb prowincyi, aż do najuboższych chat wieśniaczych... oto, co jedno twe słowo zrobić może. Aby uniknąć odpowiedzialności... niepewnej, czyż okryjesz dwieście tysięcy rodzin kirem żałoby? *Czyż oni powinni płacić twój spokój swemi 300 milionami?* Vernières! apeluję do twego serca i rozumu. Czyż to możebne? Nie! sam to czujesz dobrze“ (akt III, scena II).

„Z tych słów, mówi Brisson, bije tragiczna zgroza, która przejuje widzów febrycznem drżeniem. Tutaj bowiem dramat potężnieje, łamie zwykłe rany faktu i wznosi się do wysokości Idei. To nie spekulant-finansista, zwierz, ścigany przez policję, który, wraz ze swoimi spółnikami, robi rozpaczliwe wysiłki, aby się wymknąć, lecz ludzie we walce z przemożną siłą, która prowadzi ich na błędne manowce, unicestwia ich wolę i ujarzmia rozum. Ochrzejcie ją mianem, jakie się wam podoba; Gra, Złoto, Baal, Fortuna. Ona odpowiada starożytnemu fatum, a gigantyczna walka, którą owi ludzie przedsięwzięli przeciw niej, wzrusza nas tak samo, jak pojedynek Edypa z Przeznaczeniem.

Vernières ustąpił. Baron de Thau ponknął ku gieldzie, aby wydać stosowne rozkazy i zadać kłun pogłoskom o samobójstwie. Tymczasem sytuacja staje się coraz bardziej krytyczną. Tłumy wdzierają się do sali, inne zapełniają przedsionki, wszędzie wrzawa i huk. Służba biega w nieładzie. Obraz kolosalny w swej

wyrazistości i realistyczny. Ukazuje się baron z uśmiechem na ustach: akcje idą w górę. Wszyscy w uniesieniu radości wyciągają ręce ku zbawcy. Tłumy nikną z widowni i wkrótce cisza zalega obszerny pokój. Radość, niestety, krótkotrwała. Sprzymierzony bank w ostatniej chwili rzucił na targ 30,000 akcji, Towarzystwo nie rozporządza już takim kapitałem, aby je zakupić, bankructwo — nieuniknione. Widmo policyi i domu poprawczego staje przed oczyma kierowników „Nowej Afryki.“ Pierwszą ich myślą jest zniszczyć kompromitujące papiery. Lecz znowu Vernières kładzie swoje veto. Chcecie zniszczyć dowody naszej niesumiennej gospodarki groszem publicznym, dobrze, ale nie wpierw, aż każdy z was napisze list podobny, jak ten oto, w którym zobowiązuję się złożyć wszystko, co mi pozostaje, na rzecz wierzycieli. Jednogłośnie pomruk niezadowolenia jest odpowiedzią na to niesłychane żądanie. Zwaryował ten Vernières! świat nie widział jeszcze takiego finansisty; lecz ów niewzruszony stoi przed żelazną skrzynią, zawierającą księgi kasowe. Znosi się na walkę pięści. W tej chwili oznajmniają przybycie komisarza. Vernières, rażony apopleksją, pada martwy na ziemię, reszta z drżącym pośpiechem rzuca papiery do płonącego ogniska, jeden z nich wkłada list zmarłemu do kieszeni, inny chce mu wpakować kulę w skronie, ażeby podsunąć myśl, że, czując się winnym, Vernières samobójstwem zakończył życie. Wszak wszystko mu jedno, nie będzie się bronił, a pomoże żyjącym. Sprawiedliwość znajdzie swoją ofiarę i da pokój innym. Scena ohydna swoim realizmem.

Właśnie tutaj powinien się kończyć dramat. Na nieszczęście Fabre chciał z niego zrobić komedję. Wprowadził więc intrygę miłosną — czyż Francuz obejdzie się bez niej? — intrygę zresztą dość banalną, która osłabia tylko potężne wrażenie utworu. I tak w pierwszym akcie dowiadujemy się, że siostra barona d'Urth, kocha jego przeciwnika, że de Thau wcale o niej nie myśli i drwi sobie z jej niedwuznacznej propozycji, że obrażona kobieta ściga go swoją zemstą i t. d. w piątym zaś akcie prezydent upadłej „Afryki“ widzi się w konieczności poślubienia tej kobiety, której miłość niedawno odtrącił, ażeby mieć broń przeciwko baronowi d'Urth. Następuje rozmowa między dwoma zawziętymi nieprzyjaciółmi, zakończona kulakami, scena dość groteskowa, wreszcie dwaj „wielcy baronowie“ wobec siły faktu, że nie mogą sobie szkodzić, godzą się i obmyślają nowe przedsięwzięcie, na które potrzeba bagatelki... 500 milionów franków. To są fatałaszki,

nie mające nic wspólnego z rzeczywistą tragedją, a zarazem kapitalny błąd niepospolitego zresztą utworu, jakim są „Les Ventres dorés.“

*

*

*

Utwory teatralne Renarda, ogłoszone poprzedniego roku w jednym tomie p. t. „Komedye“¹⁾, są dziełem delikatnego artysty, który patrzy zdrowem okiem na świat, bez sztucznych okularów i bez uprzedzenia, który więc nie stara się malować go czarniej aniżeli jest w rzeczywistości. Stąd jego komedye tchną łagodnym optymizmem i może dlatego właśnie podobają nam się, jako ożywczy powiew wśród dusznej atmosfery. Niektóre z nich przypominają lekkością i dowcipem słynne utwory Marivaux'a oraz „Przysłowia“ Musseta. Taką jest jednoaktówka zatytułowana „Le pain de ménage.“

W „Poil de Carotte,“ przeróbce z romansu tegoż autora, Renard rozwija ciekawe studjum psychologiczne. Poil de Carotte, nazwany tak dla gęstych i nieuczesanych włosów, miał nieszczęście przyjścia na świat w chwili, gdy państwo Lepic żyli w niezgodzie ze sobą. To też matka go nienawidzi, kochając z prawdziwym zaślepieniem jedynie starszego syna, ojciec zaś, zajęty łowami, zresztą pod pantoflem żony, nie troszczy się wiele o biednego chłopca, na którego barki spadają wszystkie ciężary domostwa i... bynajmniej nie delikatne razy pani Lepic. Utwór czyta się z wielkiem zajęciem, a rozwiązanie wcale nie banalne.

W innej komedyi nieunikniony temat miłości (nb. nielegalnej), panujący dziś wszechwładnie w teatrze francuskim, odgrywa wprawdzie naczelną rolę, lecz autor nie pozwala jej mniemanej potędze czy fatalizmowi wziąć góry nad sumieniem. W „Monsieur Vernet“ sytuacje i osoby są te same, co w „Domowym ognisku.“ Można by sądzić, że Bernstein miał przed oczyma tę komedję i postanowił ją przerobić, „zmodernizować.“ Tylko — i oto zasadnicza różnica — bohater, również poeta, nie jest hołyszem i nie uprawia sentymentalnego, że tak powiem szantażu, żądając

¹⁾ Jules Renard. Comédies. Paris 1904, str. 338 (Ollendorf).

od nieszczęśliwej kobiety zdeptania swej czci niewieściej, jeżeli chce nadal korzystać z jego towarzystwa. Młody człowiek u Renarda ma poczucie swej godności i oddala się na prośbę Verneta bez podstępnych myśli, w przeświadczeniu, że nie wolno zburzyć szczęścia bliźniego dla zadowolenia chwilowego kaprysu fantazyi. Wszystkim tym, którzy nie szukają sensacyjnych intryg można polecić niniejszy tom komedyj Renarda.

HENRYK REINHOLD.

Wykształcenie zawodowe i twórczość artystyczna.

Sprawa artystycznego nauczania oddawna niepokoi umysły światlejszych wychowawców, ściślej biorąc w danym razie, profesorów sztuk pięknych, którym powierzono uprawę młodych talentów.

Powiadam, światlejszych, gdyż oczywiście mniej światli niepokojów żadnych nie doznają, metodę swoją uważają za najlepszą, za jedynie doskonałą, stosują ją też bezwzględnie i arbitralnie, co znowu wywołuje ostre krytyki, niechęć i protesty przeciwników rzeczonyj metody.

Istotnie zagadnienie jest bardzo delikatnej natury. Głównym źródłem wątpliwości i skrupułów jest obawa, czy nauczanie szkolne wogóle nie zabija właściwości swoistych ucznia, czy wpływ mistrza nie ciąży zbyt wyraźnie na swobodnym rozwoju cech osobniczych przyszłego artysty, co wobec celów i zadań sztuki niewątpliwie byłoby działaniem ujemnem. W tem też streszczają się zasadniczo zarzuty przeciwników danej metody pedagogicznej, jeżeli w szczególnych wypadkach nie występują w formach bliżej określonych.

Wiadomo, z jaką zawziętością zaznaczał się w ciągu ubiegłego wieku protest przeciw akademizmowi, że go ostatecznie skazano na piętnowanie i śmierć haniebną. Co prawda po straceniu wielkiego przestępcy wystąpiły na scenę całe szeregi pokątnych nożowców i trucicieli, a indywidualności twórcze, nawiasem mówiąc tylko mniej odporne, ginęły w dalszym ciągu.

Odczuwano grozę położenia i szukano sposobów ratunku — obmyślano zbawczą metodę nauczania, któraby była, jako panaceum na wszelkie dotychczasowe niedomagania i dolegliwości.

Zjawiły się nawet bardzo stanowcze głosy przeciwko szkole artystów w ogólności i jako ideał doskonalenia się w sztuce stawiano praktykę średniowiecznych urzędzeń cechowych. Powoływano się na przykład komasków longobardzkich i rzymskich marmoryuszów, gdzie fach ze wszystkimi swemi tajemnicami zawodowemi przechodził dziedzicznie z ojca na syna i tym sposobem dźwigał się stopniowo i konsekwentnie do najwyższych szczytów artyzmu. Wystąpił na scenę, odgrzebany z pyłów bibliotecznych Cennino-Cennini, majster cechowy z XV wieku ze swoim traktatem pełnym zdrowych rad i myśli, które miały się stać katechizmem dla nowożytnych malarzy.

Inni jeszcze utrzymywali, że zarówno nauka szkolna, jak praktyka u jednego mistrza, musi przytłoczyć rozwijającą się dopiero indywidualność i wręcz otwarcie oświadczyli się za pozostawianiem młodych talentów ich własnemu przemysłowi, ażeby tym sposobem zachowały całą świeżość i nieskazitelność w oryginalności objawów ducha twórczego.

Oczywiście niepodobna dziś mówić o powrocie do zwyczajów średniowiecznych, gdyż układ stosunków towarzysko-społecznych stoi z tem obecnie w zasadniczej sprzeczności. Niepodobna również pozostawić młodzieńca, rwącego się do artyzmu, bez odpowiedniej pomocy naukowej, gdyż przy największym nawet talencie stanąby niezawodnie w połowie drogi.

Formy sztuki dzisiejszej, urabiając się przez wieki kultury, doszły do wysokiej doskonałości i niebezpiecznym złudzeniem byłaby wiara, że jeden człowiek przejść może osobiście całą długą drogę ewolucji dziejowej, jeżeli mu nie ułatwiono możliwości korzystania z gotowej wiedzy i doświadczenia przeszłych pokoleń. Zadanie przelania wiedzy tej spada dziś na szkołę — staje się jej misją kulturalną.

Szkoła artystyczna zatem występując, jako ostateczny wykształt dzisiejszych układów społecznych, odnośnie do potrzeby przygotowania ogółowi wykwalifikowanych odpowiednio pracowników, ma niezaprzeczoną rację bytu. Chodzi teraz o to, jak ma ona wyglądać, ażeby odpowiedzieć godnie wymaganiom współczesnych pojęć i dążeń w tym zakresie.

Z powodu wystawy prac uczniowskich, urządzonej w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, na innem miejscu zaznaczyłem pobieżnie kilka kwestyj ogólniejszych co do metody nauczania.

Sądziłem, że wywoła to dyskusje w sferach bliżej zainteresowanych i tym sposobem będzie można sprawę omówić wszechstronniej.

Niestety artykuł mój przebrzmiał bez echa. Chciałbym obecnie bardziej zasadniczo wypowiedzieć poglądy swoje na sprawę, która, jak miemam, niepozbawiona jest szerszej doniosłości, zwłaszcza obecnie, w epoce, kiedy społeczeństwo całe przystępuje do gruntownej rewizji programów szkolnych.

Wydaje mi się to tembardziej na czasie, że w toku dowodzeń swoich chcę zwrócić uwagę pedagogów zawodowych na braki pewne w całokształcie nauczania powszechnego.

Chodzi mi mianowicie przedewszystkiem o wprowadzenie nauki rysunku, jako zasadniczej podstawy poznania kształtu, do ogólnego wykształcenia. Pedagogia współczesna uznała to za rzecz wielkiej wagi.

Ostatni kongres międzynarodowy, zwołany w tej sprawie w roku zeszłym w Bernie szwajcarskim przez *L'Association amicale des professeurs de dessin de la ville de Paris*, po wyczerpujących teoretycznych debatach, przyszedł do następujących wniosków:

„Zważywszy wpływ dodatni, jaki wywiera nauka rysunku na rozwój umysłu przez kształcenie oka, zmysłu obserwacji, uwagi, analizy poczucia piękna; zważywszy przytem coraz szersze zastosowanie rysunku do najróżnorodniejszych gałęzi produkcji umysłowej i materialnej — domagać się należy równouprawnienia nauki rysunku, ze wszystkimi innymi przedmiotami, wykładanymi we wszystkich bez wyjątku szkołach. Ma ona być obowiązkową i pociągać za sobą takie same skutki, jak mały postęp w innych naukach. Kongres uważa za konieczne wprowadzenie nauki rysunku w szkołach ludowych, żąda przytem odpowiedniego a jednostajnego przygotowania nauczycieli, krzewienia sztuki stosowanej, tudzież ogólnego wprowadzenia nauki modelowania, jako drugiej formy nauki o kształcie.“

Specjalnie wybrany komitet przedsięwziął odpowiednie środki w celu praktycznego przeprowadzenia przytoczonych wyżej uchwał. Ja, przypominając je niniejszem naszym wychowawcom, postaram się później wykazać, o ile takie przygotowanie całego ogółu do należytego pojmowania objawów kształtu stanie się pożytecznem dla rozwoju i podniesienia poziomu twórczości artystycznej w zakresie sztuk plastycznych; pragnę jednak przedtem przytoczyć niektóre argumenty i określenia wybitniejszych członków kongresu, co do znaczenia umiejętności rysowania. Będzie

to dla mnie poniekąd punktem wyjścia do dalszych wywodów o nauce umiejętności malowania i modelowania, co już jest zadaniem specjalnym szkół artystycznych.

P. Bergman, na przykład, inspektor szkół w Sztokholmie, utrzymuje, iż celem nauki rysunku nie jest bynajmniej tylko wyrobienie zręczności technicznej, lecz głównem jej zadaniem jest przygotowanie człowieka, ażeby dobrze widział, umiał pochwycić umysłem właściwą treść przedmiotu i zdawał sobie jasno z tego sprawę.

Inny profesor rzuca takie uwagi:

Cała wiedza i wszelkie nauczanie ma jedyny cel,—mianowicie pobudzenie do pracy twórczej.

Pedagogika współczesna nie zawsze zwraca dostateczną uwagę na te pomoce, jakich jej wiedza dzisiejsza dostarcza i zatrzymując się na analizie, nie posiłkuje się syntezą. Sztuka ma za zadanie przyodziać w formy widoczne dojrzały produkt twórczości duchowej. Rysunek nie powinien być jedynie gałęzią wiedzy specjalnej, gdyż jest jednym z niewielu sposobów doświadczalnego nauczania wszelkiej wiedzy. Kopiowanie jest antytezą tworzenia, a tylko tworzenie jest warunkiem postępu.

Prof. E. Bonand uważa znowu, iż rysunek jest pismem obrazem dla wszystkich zrozumiałem. A ponieważ pisać należy szybko i poprawnie, powinno się więc wyteńczyć wszystkie usiłowania, ażeby zdobyć wszelkie środki i sposoby do udoskonalenia nauczania w tym kierunku.

Przypuszczać należy, iż z czasem, skoro usiłowania te poczną owocować należycie, każdy średnio wykształcony człowiek będzie umiał w zakresie wrażeń wzrokowych wypowiedzieć się graficznie z całą łatwością, a rysunek przestanie dlań być hieroglifem nieczytelnym, jak dziś jeszcze często bywa dla osobników skądinąd bardzo nawet inteligentnych.

Jako przykład tego, mam przed sobą, zamieszczony w jednym z pism, artykuł krytyczno-estetyczny, w którym autor objaśnia czytelników, iż akwafortę otrzymuje się za pomocą „czarnych i białych cieni.” W całości czuć tam znaczne nawet oznajomienie się ze stroną historyczną przedmiotu, ale ów technicznie niemożliwy szczegół z *białymi cieniami*, jak również kilka innych temu podobnych, dowodzi, iż rysunek sam, jako wyraz graficzny, jest dla pisarza tego hieroglifem egipskim. Wobec tego i bezpośrednio sądu jego o dziełach malarskich, musi być z konieczności zakwestyonowana, pomimo całej erudycyi literackiej.

Umiejętność rysunku zatem jest nieodzownym warunkiem wyrobienia estetycznego i tylko przy upowszechnieniu jej uniknąć będzie można nieprawdopodobnych poprostu dziwolągów, jakie się dziś do sądów o sztuce wkradają.

Jest ona jednak nietylko przyjemnym dodatkiem wytwornego wychowania, schlebającym artystycznym upodobaniom dusz wykwiutnych, lecz istotnie nieodzownym warunkiem normalnego wykształcenia zawodowego każdego niemal wytwórcy na niwie pracy ogólnej. Liczbę profesyj wymagających nieodzownie pomocy rysunku, na rzeczonym kongresie określono na 62. Nadto p. Steck, inspektor szkół rysunkowych w Paryżu, ubolewa, iż nauka tej umiejętności nie wchodzi w zakres przedmiotów obowiązujących w uniwersytetach i proponuje program z uwzględnieniem specjalnych działów wiedzy, jak następuje:

a) Na wydziale filologicznym: figury, części architektoniczne różnych stylów, studia i analiza arcydzieł klasycznych, ćwiczenia z architektury i perspektywy, archeologia.

b) Nauki ścisłe: stosowania rysunku geometrycznego, szkice rozumowane, teoria wiązań, transmisja ruchu, projekcje. Po za tem zastosowane do nauk przyrodniczych: rysunki zoologiczne, botaniczne i anatomia porównawcza.

c) Medycyna: anatomia, mechanika zwierzęca, szkice kliniczne i sekcyjne. Przytem jest konieczne oznajomienie się ze sposobem użycia akwareli i ołówków kolorowych.

d) Farmacja: mikrografia.

e) Prawo: rysunek geometryczny i techniczny, plany i t. p.

Specjaliści różnych gałęzi wiedzy zwracają się też często po odpowiednie rysunki do artystów malarzy, ale okazuje się, że umiejętność tych ostatnich w podobnych wypadkach nie wystarcza.

Najefektowniej wyrażona impresja czysto malarska nie zawsze jeszcze zadowoli inżyniera, przyrodnika, archeologa, lub lekarza, którzy w wyobrażeniu plastycznym danego przedmiotu przedewszystkiem pragną znaleźć rysy najbliższej ich obchodzące z punktu widzenia danej specjalności, a rysy te właśnie mogły zaniknąć w pewnej mierze z powodu szczególnie jaskrawego podznaczenia naprzykład migotliwej gry barw i światła.

Jest to sprawą uświadomionego wyboru celowego.

Ja osobiście, z własnego doświadczenia miałem sposobność stwierdzić, czem jest malarskie przedstawienie z uwzględnieniem pewnego określonego celu, gdyż sam przygotowałem znaczną ilość rysunków sekeyjnych i klinicznych dla lekarzy.

Organ, wydzielony dajmy na to przy operacyi z organizmu żywego, przestając funkcjonować, w większym lub mniejszym stopniu traci swoje zasadnicze formy; rozłożony na płaszczyźnie jako model rozlewa się w bezkształtną masę; przyczem zazwyczaj pokryty jest skrzepami krwi zastygłej. Wszystko razem wzięte sprawia, że ogólne wrażenie jego w danej chwili ogromnie różne jest od jego idealnego wyobrażenia anatomicznego i od rzeczywistości samej w swej istotnej treści. Otóż w podobnych rzeczach ani fotografia, ani równie obiektywna impresya malarska przeniesiona na papier z najwyższą ścisłością i dokładnością, nie są w stanie odpowiedzieć wymaganiom, gdyż organ będzie mimo wszystko nierozpoznawalny. Odpowie temu robota specjalnie przygotowanego malarza, lub lekarza, umiającego dobrze malować, gdyż wtedy tylko uwzględnione być mogą kształty zasadnicze—podkreślone rzeczy znamienne i konieczne, a opuszczone zbędne i przypadkowe. Lekarze robotę taką, to jest rysunek, gdzie znajdują uniejętne zaznaczone formy anatomiczne i mogą ewentualnie dostrzedz zmiany, wywołane zboczeniem patologicznem, nazywają piękną. Jest to najzupełniej słuszne; występuje tu bowiem pierwiastek teleologiczny, który jest niedozownym czynnikiem odczuwania estetycznego i jakkolwiek uzależniony on tu jest od potrzeb nauki, niemniej przecież odgrywa zupełnie taką samą rolę, jak w dziedzinie, tak zwanej, sztuki czystej.

Nieskończenie względne pojęcie piękna uwarunkowane jest jednak, między innymi, ową celowością, to znaczy, że rzecz dana będzie piękna, jeżeli w zupełności odpowiada swemu przeznaczeniu. Piękność rysunku klinicznego, który wyobraża ohydłą ropiącą się ranę, będzie stanowiło mniej lub bardziej uniejętne uznysłowienie charakterystycznych cech tej rany, właśnie jej stron najohydniejszych, przedstawiających jednak najwięcej interesu dla patologa. Tendencyjne podkreślenie brzydoty w ogólnem pojęciu tych rzeczy, staje się pięknem z punktu widzenia medycznego.

Wybrałem umyślnie przykład krańcowy ażeby jaskrawiej uwydatnić myśl przewodnią rozumowania.

Podkreślenie brzydoty tej w danym razie jest wynikiem świadomej pracy intelektualnej—jest rezultatem wyboru indywidualnego, który stanowi treść zasadniczą wszelkiej twórczości.

Jeżeli przyjmiemy za punkt wyjścia znane od wieków określenie, że „*ars est homo additus naturae*”, czy w nowszej formie streszczonej przez Zolę w słowach: *l'oeuvre d'art c'est un morceau du monde vu à travers un temperament*, wypadnie w każdym razie, że sztuka nie jest bynajmniej dokładnem naśladowaniem natury,

nie jest zwyczajną kopią, obiektywnym jej odbiciem, ale subiektywnym odtworzeniem przez człowieka, w którym, jak w pryzmacie, załamany się mogą do nieskończoności kształty świata rzeczywistego. Sposób załamania się wrażeń świata tego w wyobraźni jest własnością osobniczą każdej szczególnej jednostki ludzkiej, co staje się dostępnym dla zmysłowego poznania, przez wyniki twórczości artystycznej, wyrażającej się w dziele sztuki.

Na tym punkcie pozornie niezmiernie daleko odbiedz ono może od swego pierwowzoru. Powiadam pozornie, gdyż w istocie człowiek jest ciągle niewolnikiem natury, ona jest jego jedyną mistrzynią i tyranem jednocześnie. Nie znalazł on dotąd, nie wymyślił jednego bodaj kształtu, któregooby przedtem nie widział w przyrodzie, nie skombinował barwy, którejby nie było w skali widma słonecznego.

Nihil est in intellectu quod non fuerit in sensu. Zakres jego czynności właściwie ogranicza się jedynie do przetwarzania wrażeń zmysłowych, otrzymanych od rzeczywistości, a ułożonych w odpowiednie własnym popędem kombinacje. Najśmielsze wymysły wybujałej fantazyi nie są niczem innym tylko mniej lub bardziej urozmaiconem połączeniem widzianych w naturze kształtów. Od bestyi apokaliptycznej, bajecznych smoków, sfinksów, gryfów, syren, centaurów, wszystkich dziwolągów zrodzonych w imaginacyi ludów pierwotnych, do tej nadzwyczajnej teratologii, na jaką się wysilała fantazyja wiaków średnich, ażeby upostaciować dyabła, wszystko to są tylko zestawienia w odmiennie kombinacje spotworniałych, wykręconych, okaleczających narządów, jakie mają znane zwierzęta ptaki, gady i ludzie. Duch w fantazyi ludzkiej przyjmuje postać *ludzka*, czuje i myśli, cierpi i raduje się, jak człowiek. Po za kształtami trójwymiarowej przestrzeni nic się nie da pomyśleć.

Jedyną pracą duchowej czynności człowieka jest tu zatem znowu wybór. Cała twórczość artysty jest wyborem z wyobraźni, jako nagromadzonego przez życie materiału, pewnych szczególniejszych wrażeń, pochodzących od świata zewnętrznego, a załamanych w sposób właściwy w pryzmacie jego duszy. To, co nazywamy kompozycją malarzką lub rzeźbiarską, jest dowolnym układem z wyboru pewnych wrażeń wzrokowych, utrwalonych we wspomnieniu. O ile wyraźniej i dokładniej pamięć przechowała kształty i barwy owych wrażeń, o tyle wzrasta łatwość kompozytorska, gdyż wizya zjawia się w zarysach plastycznych i zdecydowanych.

Wypadnie z powyższego, że przy interpretowaniu natury, jakiegokolwiek formy ono przybierze, indywidualność człowieka za-

znaczy się przedewszystkiem przez wybór, zarówno w sposobie samego odczuwania wrażeń zewnętrznych, jako też przez charakter plastycznego ich wypowiedzenia w dziele, które jest ostatecznym wykładnikiem czynności duchowej i pracy fizycznej — widomym wyrazem wszystkich jednocześnie pierwiastków, stanowiących treść jego istoty.

Wspomniany zatem wyżej rysunek kliniczny, pomimo swego utylitarneho przeznaczenia i nieestetycznego wyglądu, jako wynik indywidualnego wyboru pewnych rysów w naturze, może mieć wszelkie cechy twórczości artystycznej nie mniej niż portret, pejzaż, martwa natura, a nawet wartością bezwzględną przewyższającą liczną kompozycję z pretensjami do fantastyczności.

Wobec tego, w dziedzinie tej zanika ścisła granica między sztuką czystą a tak zwaną sztuką stosowaną. Oczywiście jest tu niewątpliwie pewna hierarchiczność, niepodobna bowiem zaprzeczyć, iż bywają ludzie wyjątkowo utalentowani, a ci jeszcze miewają chwile wyjątkowego natchnienia. Tworzenie jednak talentów i natchnienia nie może wejść wogóle w zakres programów szkolnych, natomiast, wszelka wiedza i wszelkie nauczanie ma na celu, jak to zaznaczono na wspomnianych wyżej kongresach, przygotowanie i pobudzenie do pracy twórczej.

Myliłby się, kto by przypuszczał, że wszyscy kończący szkoły sztuk pięknych, zostają artystami, jak dajmy na to medycy lub prawnicy, którzy, otrzymawszy dyplom w uniwersytecie, mogą rozpocząć praktykę zawodową. Doświadczenie życiowe uczy, że znakomita większość wychowañców wszystkich szkół artystycznych odpada w drodze do ostatecznego mistrzostwa i szuka kawałka chleba na wręcz odmiennem polu wytwórczości, wobec czego kilka lat spędzonych w szkole na nauce sztuki, na nauce, okupionej często ciężkimi ofiarami, są najzupełniej stracone dla ich przyszłej kariery życiowej. We wszystkich niższych gałęziach pracy zarobkowej, spotykamy mnóstwo wykolejeñców, dawnych aspirantów do wzniosłego kapłañstwa, którzy po nieudanych próbach, po walkach tragicznych z własną niemocą, po zawodach i rozczarowaniach, biorą się z rozpaczycy „do czego innego“ nie wnosząc tam ani umiejętności, ani wyrobienia zawodowego, koniecznego do wywalczenia sobie należytego stanowiska, gdyż kształcili się w odmiennym kierunku, więc wiodą żywot pełen żalu i goryczy.

Są to ludzie zwichnięci, gdyż, goniąc fantastyczną chimere, stracili z oczu praktyczny cel życia. W znacznej mierze przyczyniają się do tego szkoły artystyczne, które ukazują w tężowych

blaskach horyzonty kariery artystycznej, a nie są w stanie zapewnić jej osiągnięcia, gdyż w istocie nikt nie może nikogo nauczyć artystycznej twórczości.

Takie to przysługi oddawały wielu nieszczęśnikom rozmaite klasy dykcyi i deklamacyi, konserwatorya i szkoły sztuk pięknych. Tu chcę się zająć szczególniej temi ostatniemi, to jest uczelniami, gdzie się kształcą specjalnie malarze i rzeźbiarze (w warszawskiej szkole sztuk pięknych niema działu architektury).

Mojem zdaniem niebezpieczeństwo z tej strony najzupełniej usunięte zostanie, a przeciwnie znaczenie użyteczne instytucyi znakomicie się podniesie, jeżeli w założeniu swem wyrzeczce się zasadniczo ambicyi tworzenia artystów, a natomiast najwyższe swoje usiłowania skieruje w celu nauczania wychowaućców swoich wszystkiego tego, co jest rzemiosłem sztuki, czyli że mu da należyte przygotowanie zawodowe.

Praktycznie rzeczy biorąc sprawa przedstawia mi się w ten sposób:

Wyobrażam sobie, że zgodnie z dążeniami dzisiejszej pedagogiki, to jest kiedy rysunek stanie się obowiązkowym w ogólnem nauczaniu, wszyscy średnio wykształceni ludzie będą mieli należyte pojęcie o kształcie. Jeżeli jednostki wybitniej uzdolnione pod tym względem w dalszym ciągu rozwijać zechcą dar swój przyrodzony, to udadzą się do szkół specjalnych, gdzie nauka o kształcie, to jest rysunek i druga jej forma—modelowanie, tudzież najszersze jej stosowanie, to jest malarstwo i rzeźba stanie się podstawą ich wykształcenia zawodowego, czyli da im ze wszech miar dostateczne przygotowanie do samodzielnej pracy twórczej. To znaczy, że jeżeli człowiek po skończeniu podobnej szkoły nie zasłynie jako wielki kompozytor, co jest udziałem nielicznych wybrau'ców; jeżeli nie stanie się wziętym portrecistą w modnych salonach, albo przynajmniej poszukiwanym dostawcą kunsthändlerów, co również jeszcze nie wszystkim oczekuje, powinien mieć możność wiadomości swoje, wyniesione ze szkoły, zużytkować odpowiednio w przemyśle i rzemiośle, dokąd wchodząc nie jako dyletant, ale z zapasem umiejętności zawodowej, będzie odpowiednio oceniony i wynagrodzony.

Dla tego też szkoła podobna powinna w programach swoich uwzględnić w najszerszych granicach wszelkie zastosowania nauki o kształcie i barwie, i przelać na wychowaućców swych, wszystko co wiedza obecna, zdobyta wiekami kultury w zakresie tym, ma do przekazania pokoleniom dzisiejszym, co wnosi do dziedziny tej fizyka, chemia, geometrya, perspektywa, anatomia i wiele in-

nych nauk, bez których zapewne można jeszcze malować, ale bez których wykształcenie zawodowe malarza lub rzeźbiarza nie będzie kompletne.

U nas nauczanie artystyczne na tory te weszło jeszcze w wieku XVIII, kiedy przy krakowskim cechu malarskim, założono pierwszą wolną szkołę. „Ściągała się ona specjalnie do kunsztu malowania y ćwiczenia młodzi w nauce malarskiej.“

Istnieje, jak podaje bar. Rastawiecki, przywilej Augusta III z dnia 5 grudnia roku 1746, zatwierdzający uchwałę rektora uniwersytetu krakowskiego Kazimierza Pałaszewskiego z dnia 15 stycznia r. 1745, mocą której zgromadzenie, to jest cech malarzów krakowskich, „jako sztuki wyzwolonej mężów, do znaczenia sztuk wyzwolonych z dozwolenia uniwersyteckiego jest przypuszczony i wolności, osobom uniwersyteckim służące, onym są udzielone.“

Otóż panowie majstrowie zaszczytzeni taką godnością dowodzą w przedmowie do ustaw swoich, że „sztuka malarska nie tylko z siebie, ale i z innych nauk, z których wypływa, jest wolna, z doświadczenia mamy. Albowiem geometrya, architektura, optyka y perspektywa, że wolne są nauki, wiadomo uczonym, a osobliwie tym, którzy się w tych naukach kochają, a gdy malarstwo od przerzeczonych nauk dependuje y wypływa, bo w nich swoje początki zbiera i bez tych umiejętności malarstwo (osobliwie wyższego gradusu) mularstwem bardziejby się nazwać powinno, więc malarstwo między wolnemi naukami zawsze powinno mieć miejsce.“

W ostatnich dziesiątkach zeszłego stulecia nauka rzeźby i malarstwa stała się nadzwyczaj jednostronna. W tak zwanych akademiach ograniczono się do studyowania modelu, i na tem kończyło się wykształcenie artystyczne. System ten odbił się nader boleśnie na losach licznej rzeszy artystów mniejszego talentu, którzy nie mając dość siły, ażeby stanąć do współzawodnictwa z kilku bardziej uprzywilejowanymi od natury osobnikami na drodze produkcji w ciasnym zakresie portretu, pejzażu i obrazków rodzajowych, nie mając dostatecznego przygotowania zawodowego do szerszego stosowania swych umiejętności malarskich, skazani byli na nędzę i upokorzenia.

Liczyć się z tem koniecznie potrzeba, gdyż wszędzie zazwyczaj, więc i w szkołach artystycznych, więcej jest powołanych, niż wybranych.

Szkoła, która zabiera człowiekowi kilka lat życia, nie mówiąc już o pewnej sumie opłat, wniesionych za naukę, winna mu zapewnić odpowiednie korzyści. Oczywiście nie może tu być mowy, ażeby gwarantowała ona komuś, że wykrzesze zeń ogień szczerego talentu i umiejętność jego doprowadzi do granic naj-

wyższego mistrzostwa, ale chodzi o to, ażeby wychowawców swoich uzbroić odpowiednio do walki o byt, ażeby im dała w rękę środki do zarobkowania.

W wieku bieżącym odczuwać zaczęto potrzebę pewnych reform, co też zaznaczyło się przez, że tak powiem, zdemokratyzowanie sztuki, to jest przez zrównanie z nią w prawach zdobnictwa i przemysłów artystycznych. W duchu dążeń tych rozszerzył się też znacznie zakres wykształcenia zawodowego, niemniej przecież odnośnie do naszych specjalnie potrzeb kulturalnych pozostaje jeszcze do opracowania szczegółowy program nauczania artystycznego.

Co do metody, jako postulat, stawiam najogólniej, że w nauczaniu zachować należy największą obiektywność, ażeby pozostawić człowiekowi możność najbardziej subiektywnego wypowiedania się w twórczości samodzielnej.

Szkoła nauczyć może rzemiosła sztuki, natchnienie zjawi się samorzutnie pomimo szkoły, a często wbrew szkole.

Jedną z najpierwszych zasad, jakie wyrobić w sobie winni wszyscy ci, którzy chcą sądzić o sztuce, a zwłaszcza ci, co sztuki mają nauczać, powinno być przeświadczenie, że różni ludzie, patrząc na jedne i te same rzeczy, mogą bardzo różnych wrażeń doznawać. Pominąwszy czynniki natury psychologicznej, już w samych narządach naszych zmysłowych tkwią kolosalne różnice w sposobie odczuwania barwy światła i kształtu, i zmysły przede wszystkim dokonywują wyboru indywidualnego w szeregu zjawisk zewnętrznych. Że następnie przerobione w uświadomieniu ulegają one powtórnemu wyborowi, zgodnie z naszym wewnętrznym nastrojem, temperamentem, upodobaniami, sympatjami i antypatjami. Że wreszcie odrodzone we wspomnieniu odżywają przez czynność wyborczą w szeregu najbardziej subiektywnych połączeń i kombinacji, zależnych najzupełniej od naszego usposobienia uczuciowego w danej chwili.

Dla tego też nauczanie malarstwa i rzeźby nie może się odbywać przez aplikowanie uczniom swoich sposobów, smaczków, kleksów, manier, nie można mu zalecać używania tych lub innych farb, sosów gdyż celem tej nauki, że powtórzę co p. Bergman mówił odnośnie do rysunku, nie jest bynajmniej tylko wyrobienie zręczności technicznej, lecz głównem jej zadaniem jest przygotowanie człowieka „ażeby dobrze widział, umiał pochwycić właściwą treść przedmiotu i zdawał sobie z tego jasno sprawę.“

To mu wystarczy, ażeby przystąpił do samodzielnej pracy twórczej.

Kwiat paproci.

(Legenda o szczęściu).

P R O L O G.

Słońce już stało wysoko na niebie, lecz królewicz Sakya-Muni spał jeszcze. Pełne snopy promieni wpadały przez okna pałacu królewskiego do komnaty, w której spoczywał śpiący młodzieniec, i igrały ze zwojami złotych jego włosów.

Królewicz uśmiechał się przez sen, a pieściwe sny kołysały jego duszą. Anioł snu bowiem stał przy nim i, położywszy dłoń na jego czole, przesuwając przed jego oczyma najpiękniejsze obrazy.

I spał Sakya-Muni spokojnie, jak dziecię przy piersi matczynej, a anioł snu czuwał nad tem, aby żaden przykry obraz nie zamącił jego duszy, i aby się zawczasie nie podniosły jego powieki. Bo piękny sen jest zawsze piękniejszy od najpiękniejszej rzeczywistości.

Nagle anioł snu uczuł czyjeś dotknięcie na swem ramieniu, a obróciwszy się, ujrzał przy sobie jednego z braci swych, anioła prawdy, który chciał właśnie mówić.

Lecz anioł snu położył palec na swych ustach na znak milczenia.

Rzekł wtedy anioł prawdy z wyrzutem: „Gdy się obudzi, otoczą go dworzanie i kadzidłem pochlebstw otumanią na nowo, nie pozwalając jego duszy rozmawiać ze mną i myśleć o tem, co jest treścią życia ludzkiego. Czemuż wzbranasz mi drogi? Czy sądzisz, że prawda mniej jest potrzebna sercu ludzkiemu, niż sen—
ciału?”

Zawstydył się anioł snu i rzekł: „Weź mnie za rękę, bracie, i rozmawiaj z duszą jego, a on będzie myślał, że to sen.“

I zapytał królewicza anioł prawdy: „Czy jesteś szczęśliwy, Sakya-Muni?“

W tej chwili anioł snu dał znak aniołowi prawdy, że obaj muszą opuścić komnatę. Zbliżali się bowiem dworzanie królewicza z pozdrowieniem porannem. Obaj więc aniołowie znikli, — sen pierzchnął, a królewicz ocknął się z zapytaniem na ustach: *Czy ja jestem szczęśliwy?*

Po raz pierwszy w jego duszy odezwało się podobne pytanie. Dziwnem mu się ono wydawało. Nikt mu dotąd podobnego nie zadał. Sakya-Muni czuł, że za każdym razem, gdy powtarzał to pytanie, odzywało mu się z głębin nieświadomości jakby tłumione echo jakiegoś niepochwytne pragnienia.

Co kryje się na dnie mej duszy? czego pragnie moja dusza, a ja nie wiem o tem? — tak pytał siebie królewicz, po raz pierwszy w życiu nie zwracając żadnej uwagi na żadne słowa dworzan.

I nagle zapytał ich: „Powiedzcie mi, czy ja jestem szczęśliwy?“
Od tej chwili zmienił się królewicz zupełnie.

Zatopiony w myślach, samotny, całemi godzinami chodził po wspaniałych ogrodach królewskich, nie widząc ich wspaniałości, nie spostrzegając kwiatów, które mu się słały pod nogi — szukając jedynie: Uświadomienia. „Czem jest człowiek? Co jest szczęście? Jakaż jest droga ku niemu?“ tak pytał siebie wciąż Sakya-Muni.

„Czy kto niebacznie nie zakrwawił jego serca widokiem nie-szczęścia jakiego?“ — tak z trwogą zapytywali rodzice. Lecz usta królewicza zamknięte były na siedem zamków, do których nikt nie miał klucza.

Zamknął się w swoich komnatach i nie chciał się wcale ukazywać przez czas długi. Drzwi jego zamknięte były dla wszystkich, nawet dla króla. Aż wreszcie matka stanęła przed drzwiami jego komnaty i płakać gorzko poczęła, że nie chciał jej wpuścić do siebie. Wtedy dopiero Sakya-Muni pozwolił po raz pierwszy ludzkiemu oku nanowo spojrzeć na swą twarz, przedwczesnie poraną zmarszczkami.

Uściskawszy go, matka spostrzegła w jego oczach łzy takie, jakich nigdy dotąd jeszcze nie widziała. Inne były od wszelkiej zwykłej łzy ludzkiej.

— Czemuż płaczesz, synu? — zapytała, — przecież otarłeś łzy wszystkim cierpiącym, jakich gdziekolwiek spotkałeś.

— Nad sobą płaczę, matko, żem człowiekiem.

Wtedy królowa, zacisnąwszy z bólu usta, rzekła tylko: „Mów!“
A jemu wezbrało bólem i goryczą serce i skarżyć się począł:
„Nad największym nieszczęściem człowieka płacząc, matko!

Czemże innym jest bowiem człowiek, jeśli nie tworem, skazanym zgóry na ból?

Od urodzenia jest człowiek, jak ptak z obciętemi skrzydłami, którego żrenica ogarnia dal niezmierną, lecz skrzydła o pół kroku nawet nie zdołają go unieść w górę. Bo klątwą natury ludzkiej jest, że myśl ludzka sięga dalej, niżli czyn,—a wola ludzka jeszcze dalej, niżli myśl.“

I płakał Sakya-Muni nad największym nieszczęściem człowieka, a królowa powróciła od niego smutna.

Po paru dniach król i królowa stanęli przed królem i królową. Na jego twarzy smutek bezbrzeżny wycisnął piętno, tak że słowo powitania zamarło na ustach jego rodziców w chwili, gdy spojrzeli w oczy swego syna.

Sakya-Muni zaś rzekł: „Przyszedłem się pożegnać z wami, mój ojciec i matko moja! Im więcej zastanawiam się nad życiem, tem więcej bólu i nieszczęść odnajduje w niem dusza moja i łzawią się oczy moje. Lecz im głębiej wnikam w tajniki nieszczęścia, tem silniej się odzywa we mnie głos, że niepodobną jest rzeczą, aby nie miało być odpowiedzi na zagadkę bytu ludzkiego, i aby nie istniało wcale wyzwolenie od bólu istnienia. Idę więc szukać tego kwiatu paproci, o którym serce mi mówi, że on istnieje gdzieś musi...“

Król rzekł na to: „Dobrze, mój synu. Kto szczerze szuka, znaleźć musi. A ten tylko ginie od smutku, kto się smutkowi opanovać pozwoli bez oporu. Dodam ci orszak złożony z największych i najślawniejszych mędrców w mojem państwie, aby nie było pytania, na które nie znalazłbyś odpowiedzi;— a w orszaku twym będzie mój skarbnik z dwoma wielbłądami, które będą niosły złoto, aby nigdzie łza ludzka nie popłynęła, gdzie tylko twoja stopa dotknie ziemi rodzącej. Twoje kroki niechaj poprzedza powszechna nadzieja, że obetrzesz wszelką łzę bólu i cierpienia ludzkiego na twej drodze, a w ślad za tobą niechaj biegną błogosławieństwa ludu.“

Uśmiechnął się smutnie na to Sakya-Muni i odrzekł: „Nie, mój ojciec. Podróż, w którą ja się wybieram, każdy z nas sam, bez orszaku, odbyć musi; syn królewski nie jest pod tym względem wcale lepszy od ostatniego żebraka, gdy chodzi o odnalezienie odpowiedzi na zagadkę bytu.“ To rzekłszy, wyjął z kieszeni kie-

sę złota i podał ją jednemu z dworzan: „Idź — mówił do dworzana Saky-Muni, — idź na ulicę i pierwszemu pielgrzymowi, którego spotkasz, daj to złoto wzamian za kij pielgrzymi, torbę i płaszcz, czas mój bowiem już nadszedł i chcę wyruszyć w drogę.“

Dworzanin wyszedł, a po chwili powrócił, niosąc płaszcz, torbę i kij pielgrzyma. Saky-Muni zrzucił z siebie szaty królewskie a przyodział się w ubranie pielgrzyma.

A potem rzekł do króla i królowej: „Żegnajcie mi, ojcze, — żegnajcie mi, matko! Idę w podróż daleką, więc módlcie się za mnie, abym powrócił, niosąc kwiat paproci.“

I wyszedł Saky-Muni, jako pielgrzym udając się w drogę.

A skoro już milkł odgłos jego kroków w przysionku pałacu, królowa zawołała z rozpaczą: „Już cię, mój synu, nie ujrzą moje biedne oczy! Wielu już bowiem wyruszało w tę podróż — ale nikt z niej dotychczas nie wrócił!“

I padła zemdlona, uderzając czołem o marmurową posadzkę. A Saky-Muni w tej chwili szeptał do siebie: „O, wielki Bráma, wlej pociechy zdrój w serca moich najdroższych, a mnie daj odnaleźć drogę do celu.“

*

*

*

Po wielkiej drodze Pielgrzymów Saky-Muni szedł, utkwivszy oczy w ziemię, jakgdyby poszukując jakiegoś zgubionego klejnotu w kurzu i w pyle drogi.

Szukał — kwiatu paproci.

Gdzie go zmierzch zastał, tam rozścielał sobie na noc skórę antylopy. Czasem nocował w przydrożnym przytułku żebraków, lub sypiał gdzieś na skraju ubogiej wioseczki, a dzieci, skradając się ostrożnie, przynosiły mu pożywienie, przygotowane dla przechodnia przez rodziców; zdarzało się też, że sypiał koło źródła, na łące, a mdłe światło jego ogniska budziło senne wielbłądy.

W pierwszych czasach tej wędrówki dźwięczał mu w uszach jeszcze gwar wielkiego świata, lecz powoli dusza jego zaczynała znajdować spokój — spokój cierpienia.

Ale że serce ludzkie słabe jest i z gliny kruchej ulepione, więc Saky-Muni wątpić począł. I wątpienie wdzierало mu się

w serce, czepiając się ostrymi szponami tych miejsc, które były z najkruchszej ulepione gliny.

I Sakya-Muni śpiewał, krocząc po drodze Pielgrzymów:

„Kto jesteś, ty, z płomienną twarzą, co tak często stajesz teraz przy mnie, nadając myślom moim drogi?”

Czyś jest ten duch nieznany, co żyje w nas i z nami umiera, a towarzysząc nam w ziemskiej wędrówce, nigdy nie ukazuje się nam cały?

Kto jesteś? pytam!

Słyszę słowa, które szepcesz, a powtórzyć ich nie mogę. Mówisz o bólu, o cierpieniach, o błędzeniu...

Czy ten, co na słońce spojrział i ośleplł z tego, żałuje, że spojrział? Nie, bo słońce widział, jak nikt z żyjących nie oglądał słońca.

Ja chcę słońce oglądać! Czy słyszysz?

Na wiotkiej fali wyobraźni kołysze się łódź chybka: bądź mi sternikiem! Przez krew? Droga nasza przez krew prowadzi, szlakiem usłanym trupami niewinnych, powiadasz?—Czyż ludzkość kroczy od wieków w wieki, brodząc w kałużach krwi, a trupy najlepszych jej synów są drogowskazami punktów zwrotnych?

Powoli zdejmujesz z siebie maskę: śladów łez dużo widzę na twej twarzy. Cierpiałeś?—o bądź mi bratem! Te bruzdy, które swym ostrym ryłcem kreśli na naszych twarzach ból: ileż ducha, ileż myśli śladów kryją one w sobie!

Wątpiłeś? widzę w twych rysach szeroką drogę, po której przechadza się cień bólu: — wątpienie.

Bratem mi więc bądź, starszym bratem! Zajrzyj mi w oczy i przekonaj się, że tam znajdziesz dowody naszego pokrewieństwa — bojowe hasło wszystkich błędzących, które brzmi: „jedynem prawem, którego nikt mi nie odbierze, jest prawo—wątpienia.“

W cichej godzinie samotnych rozmyślań otwierają się wrota duszy i na tle ciszy nocnej wychodzą z niej dziwne, dziwne postacie, które za dnia białego śpią gdzieś w nieznanych czeluściach... I dusza poczyna rozmawiać sama ze sobą tysiącem głosów. Budzi się bowiem w duszy cały tłum obcych ludzi, — hydra stugłowa, której nigdy nienasycone paszczęki wpijają się we własne jej ciało.

Ona pożera sama siebie — i powoli znika z serca wszystko, co w niem było znikome: ale ostre zęby hydry nie imają się jednego tylko obelisku z granitu — i gdy już wszystko w sercach ludzkich pożarte i poszarpane, pozostaje jeden tylko nienaruszony ten obelisk z granitu, wznosząc się samotnie wśród pola łez i krwi: — *Wątpienie!*

Ty jesteś obelisk z granitu, mój towarzyszu! Widnieje na twej piersi kamiennej napis, — jedno słowo straszliwe, nieogarnione: SKEPSIS.

Stajesz przy mnie i mówisz wymownym swym wzrokiem: jam duch ów, który był w tobie, zanim zacząłeś myśleć.

O, jak wymownem jest twoje straszliwe spojrzenie! Uciec chciałbym, lecz wzrok twój mnie przykuwa.

Obelisk granitowy rośnie i rośnie wciąż. Oto już nieba dosięga. A u stóp twoich płaszczyzna bez kresu, pustynia, step spalony, po którym wzrok biegnie w dal, napróżno szukając oparcia.

Stoisz imponujący, a milczący. Z wyżyny wieków spoglądasz swem spojrzeniem sfinksa na mękę biednego ludzkiego serca...

Jako kłęby dymu przed burzą, tak tłuką się w nizinach moje myśli, nie mogąc ulecieć w górę, ku słońcu.

Patrzysz na mnie, zatapiasz stalowe spojrzenia w mych oczach: weź mnie ze sobą, prowadź! przez krew, przez łzy, przez nędzę ludzkiego życia pozwól mi dojść do celu!“

Tak śpiewał Sakya-Muni.

*

*

*

I nadszedł wreszcie czas, gdy z Sakya-Munim miała się stać rzecz wielka.

Był on podówczas już dziesiąty miesiąc w podróży (co trzeci dzień idąc na kłęzkach, a co czwarty dzień wracając z drogi, ile ująć zdołał), gdy spotkał na swej drodze porzucone przez pielgrzymów dziecię.

Dziecię było małe, splakane i pokrwawione. Sakya-Muni wziął je na plecy i szedł aż do zachodu słońca. I szedł tak z niem—dzień za dniem niosąc je w pocie czoła i dzieląc się z niem skąpą strawę swoją. Lecz dziecię zaczęło mu stawać się na plecach coraz cięższe, przygniatało go codzień coraz bardziej, aż Sakya-Muni idąc, w kolanach uginać się począł, a struga potu, ściekającego od czoła aż do stóp, znaczyła ślad jego. A dziecię stawało się nieludzkim ciężarem.

Gdy wreszcie Sakya-Muni już ani kroku naprzód postąpić nie mógł z tak niesłychanym ciężarem, zdjął dziecię z bark swoich i padł, kryjąc w prochu twarz zalaną łzami. A serce jego łkać

poczęło modlitwą: „O Bráma, dodaj mi sił, abym mógł nieść to dziecie, bo za słaby jestem!“

A wtedy uczuł dotknięcie czyjejs dłoni. Obróciwszy się, ujrzał, iż dziecięcia nie było, a ten, kogo mniemał dziecieniem, był to sam Bráma. I rzekł Bráma do królewicza Sakya-Muni:

„Oto już lat kilka spędzam na tej drodze Pielgrzymów, jako dziecie porzucone przez matkę. Ten przeszedł obok mnie obojętnie, nie chcąc przerywać modlitwy; ów nakarmił mnie, ale zostawił na miejscu; inny polecił opiece dobrych duchów; a z tych, co mnie, jak ty, wzięli na plecy i nieśli, niektórzy porzucili mnie, gdym był im za ciężki; niektórzy przeklinać poczęli nieznośny mój ciężar; niektórzy prosili, aby Bráma, Wisznu i Siwah ujęli ciężaru dziecieniu. Lecz ty jeden, Sakya-Muni, powiedziałaś: *Sił mi dodaj!*

A za to nagroda cię nie minie. O ile człowiek najszczęśliwszym być może, tak ja cię chcę uczynić szczęśliwym. Mów!“

A Sakya-Muni rzekł: „O wielki Bráma, wszak czytasz w sercach ludzkich i wiesz wszystko, co człowiek myśli, choćby człowiek sam o tem nie wiedział, co się w jego myślach kryje. Więc wiesz, że szukam kwiatu paproci. A tym kwiatem jest droga do szczęścia. I sądzę, o Bráma, że nieszczęść trosk i bólu wiele jest wśród ludzi dlatego, że ludzie sami rządzić się nie potrafią i praw dobrych ani stanowić, ani zachowywać nie umieją. Szczęście jednostki spoczywać musi w szczęściu ogółu. Pozwól przeto, o Bráma, abym stał się królem licznego narodu, królem potężnym przez myśl swą, przez mądrość swą, przez nieomyłne poczucie prawa i sprawiedliwości! Chcę być najpotężniejszym, ale chcę być i najsprawiedliwszym! Serce litościwe daj mi i sprawiedliwość w każdym czynie, aby czyny moje prowadziły społeczność ludzką ku szczęściu. A wtedy będę szczęśliwy.“

Spojrzał na niego z politowaniem Bráma i rzekł: „Dobrze. Niechaj się stanie, jak sam chcesz.“

I zniknął.

A od tej chwili zaczęła się w życiu królewicza Sakya-Muni tragedia potęgi.

Tragedya potęgi.

Skoro Bráma zniknął, Sakya-Muni począł iść przed siebie. Szedł, wiedząc, że skoro godzina wybije, wszystko się spełni, co się ma spełnić.

I oto zaledwie słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, na drodze Pielgrzymów pojawił się w oddali tuman kurzu, który szybko się zbliżał. A z tumanu tego wyłoniła się garstka jeźdźców.

Gdy jeźdźcy spostrzegli samotnego pielgrzyma na wielkiej drodze, zatrzymali się nagle. A gdy on zbliżył się do nich, najstarszy z nich zapytał:

— Pielgrzymie samotny, czy inię tve jest Sakya-Muni?

— Jakoś rzekł — odpowiedział Sakya-Muni.

Na to słowo wszyscy padli przed nim na kolana i ujawszy skraj jego szaty, z poszanowaniem przycisnęli do ust; a potem zawołali: „Niechaj żyje nasz król, wielki Sakya-Muni!“

Podprowadzili przed niego rumaka, rozesłali pod jego stopy płaszcz szkarłatny, gdy wsiadał, i w tryumfie wołali do swych towarzyszków: „Oto jest król nasz, Sakya-Muni! Niechaj nam żyje i króluje!“

A wtedy Sakya-Muni pytał:

— Dlaczegóż samotnego pielgrzyma obwołujecie królem?

Odpowiedź zaś ich brzmiała:

— Rozdzielony jest nasz kraj oddawna, i oddawna już przestał znać, co pokój, zgoda i szczęście. Bráma przeto rzekł nam: „Idźcie na drogę Pielgrzymów, a zanim słońce zagaśnie, spotkacie samotnego pielgrzyma, którego inię jest Sakya-Muni. Ten będzie waszym królem.“

Ujrzał Sakya-Muni w tem dłoń samego Brámy i rzekł do swych towarzyszków:

— Będę królem waszym, bo taką jest wola Brámy. Prowadźcie mię do mej stolicy.

A oni na te słowa spuścili ze smutkiem oczy i odrzekli: „O panie i królu nasz, złą wiadomością musimy zasmucić twe uszy. Stolicę twą i większą część twego państwa dierzý samozwańczy dowódcą wojsk, Sijawush.“

A Sakya-Muni zapytał ich na to poważnie: „Czyliż posłannictwo jego jest boskiego początku? Czy wielki Bráma sam mu nakreślił drogę, po której on ma kroczyć?“

A oni odrzekli: „Nie, panie i królu nasz. Sijawush czerpie siłę nie z góry, lecz jest samozwańcem i w potęgę swego miecza ufa.“

Wtedy rzekł im Sakya-Muni: „Ja zaś czerpię siły z góry. I dlatego powiadam wam, choćby Sijawush posiadał całe królestwo, a ja tylko tyle posiadał ziemi, aby obie stopy postawić, nie ja przed nim kark schylę, lecz on przedemną.“

W milczeniu postępował potem Sakya-Muni, otoczony swym orszakami. Aż wreszcie zapytał: „Czy znajdujemy się na drodze ku stolicy kraju?“

Towarzysze zaś jego odrzekli: „Tak jest, królu nasz,—o pół dnia drogi odległą jest stąd stolica twego królestwa.“

Sakya-Muni wtedy skinął na dwóch ze swego orszaku i rzekł im:

— Podążajcie szybko naprzód, co koń wyskoczy i żądajcie w mojem imieniu rozmowy z Sijawusheem. Gdy staniecie przed nim, rzeczcie mu: „Sakya-Muni, urodzony król i władca tego królestwa, mówi to do ciebie, swego sługi, przez nasze usta: gotuj się na przyjęcie twego władzcy i pana! Stolicę twą godnie przystrój na powitanie tego, w czyjem ręku spoczęło berło!“ Te słowa powiedzcie do niego.

A ci dwaj pochyliwszy głowy, puścili w cwał swe konie i po chwili zniknęli z oczu.

Sakya-Muni jechał dalej w milczeniu i zamyślony.

Wtem zbliżył się do niego ów, który pierwszy powitał go, jako króla swego, i rzekł: „Królu, jeszcze czas zawrócić ich z drogi. Koń mój ich dogoni, jeśli każesz...“

— Dlaczego zawrócić? — rzekł Sakya-Muni.

— Na pewną śmierć idą — brzmiała przyciszonym głosem odpowiedź.

— Człowieku małego serca, jeśli napisano jest, że oni śmiercią swą mają okupić to, co spełnić się musi, to czy cena ich śmierci nie jest ceną małą? Sakya-Muni się nie cofa.

W milczeniu skłonił głowę towarzysz Sakya-Muniego, nie śmiąc więcej nalegać na swego pana. Lecz myśl jego biegła w tej chwili za tymi dwoma postaciami, których ubogi pielgrzym posłał do Sijawusha. I trwożyło się bardzo jego serce.

A posłowie obaj, stanąwszy przed władcą stolicy, rzekli słowo w słowo to, co im kazał powiedzieć Sakya-Muni. I nie drgnął żaden nerw ich twarzy, gdy, mówiąc, spoglądali w jego oblicze. Obaj bowiem przez drogę w duchu pożegnali się ze wszystkim,

co świat daje człowiekowi, chcieli bowiem, aby śmierć nie zastała ich nieprzygotowanymi.

A Sijawush rzekł im na to:

— Więc wasz władca i król, ubogi pielgrzym, zbliża się ku nam w otoczeniu orszaku, złożonego aż z pięciu ludzi, i żąda człobitności od nas? Dobrze, otrzyma czego żąda! Skoro przyjdzie, każę go za uszy przygwoździć na wrotach bramy miejskiej, potem wyjąć wrota z zawias i obnosić je wraz z nim po wszystkich ulicach miasta. Wszak będzie miał dość zaszczytu, nieprawdaż? — i zaczął się śmiać Sijawush chropowatym śmiechem. — A wy — dodał, zwracając się do więźniów — oczekiwajcie władcy waszego w pałacu, który mu i wam przeznaczam: jest to najciemniejszy loch w moich piwnicach.

To rzekłszy, skinął na pachołków, którzy obu posłów wrzucili do lochu.

Wieczorem Sijawush biesiadował w gronie swych ulubieńców. I rzekł nagle, około północy, do jednego z nich: „Ten obcy, nieznany pielgrzym, Sakya-Muni, to albo waryat, albo pomazaniec boski. Tak jak on, z gołemi rękoma, nikt jeszcze nie szedł na zdobycie kraju. Radbym sam, pozostając mu nieznany, poznać tego dziwnego człowieka.“

To rzekłszy, kazał iść swemu ulubieńcowi za sobą i poszedł do zbrojowni. Tu zaś wybrał dwie najgorsze zbroje, przy których naramienniki były z zardzewiałego żelaza, przedpiersia z kolczastego drutu, pogiętego od długiego użycia, a hełmy i miecze poszczerbione.

Sijawush sam przywdział jedną taką zbroję, a towarzyszył mu drugi. I tak stali się obaj podobni do zwykłych żołnierzy.

Zmieniwszy w ten sposób swój wygląd, Sijawush wraz z towarzyszem opuścił w nocy potajemnie stolicę, podążając naprzeciw Sakya-Muniemu. Obaj posuwali się drogą rażno, dopóki im wino szumiło w głowach, gdy zaś słońce poczęło nad ranem wysyłać swe pierwsze brzaski, wschód poprzedzające, ocieężałość poczęła ich gnębić i czuli się śpiący.

Rzekł Sijawush do swego towarzysza: „Patrz, oto przy drodze są gęste zarośla. Możemy tu użyć wczasu, zdjawszy zbroje.“

Położyli się więc obaj na ziemi, wśród zarośli, opodal drogi, i niebawem zasnęli. A miecze i zbroje ich leżały przy nich.

Tymczasem Sakya-Muni wraz z orszakiem swym spał w nocy, a o wschodzie ruszył w podróż. I zaledwie słońce się ukazało, przechodził koło miejsca, gdzie w zaroślach spali jego przeciwnicy. Jeden z jego towarzyszy dostrzegł obu śpiących, a ski-

nawszy na innych, pocichu jak tygrys do nich się zbliżył. Widząc po zbrojach, że to byli żołnierze Sijawusha, towarzysze Sakya-Muniego spętali ich, zanim śpiący zdołali się otrząsnąć ze snu.

Po chwili obaj, — Sijawush i jego ulubieniec — stali przed Sakya-Munim związani, jak niewolnicy.

I spytał Sakya-Muni swych towarzyszków: „Co to są za ludzie?“

A ci mu sami odrzekli: „Żołnierze z wojska Sijawusha jesteśmy i mamy drogę oczyszczać od zbrojców. Tak nam rozkazano, abyśmy pilnowali bezpieczeństwa przechodniów.“

Zmarszczył brwi Sakya-Muni i rzekł z wyrzutem do swych towarzyszków: „Czemż związaliście tych ludzi?“

A jego towarzysze na to: „Czyż nie dobrze, abyś miał w ręku, o królu, zakładników Sijawusha na wypadek, gdyby postom naszym co złego stać się miało?“

A Sakya-Muni, nie odpowiadając na to, zapytał więźniów: „Czy nie wiecie, jaką odpowiedź dał Sijawush moim postom? Jam jest Sakya-Muni.“

A Sijawush wtedy rzekł: „Powiedział im, że ciebie każe za uszy przygwoździć na wrotach i obnosić po mieście—a ich wrzucił do lochu, aby śmiercią głodową zginęli, skoro ich usta wymówiły bluźnierstwa przeciw Sijawushowi.“

Zgrzytnęły na te harde słowa miecze w pochwach u towarzyszków Sakya-Muniego i, wzniesione do cięcia, zawisły nad głowami obu więźniów. Lecz Sakya-Muni wzrokiem i ruchem dłoni powstrzymał miecze w pół drogi.

I rzekł: „Niechaj mnie los chroni od tego, aby noga moja miała stąpać we krwi, gdy idę do stolicy mego państwa... Jako ojciec miłujący idzie do swych dzieci, tak ja idę do stolicy mego państwa, a nie jako pan w gniewie do swych niewolników. Schowajcie miecze do pochew! A was—rzekł, zwracając się do związanych przeciwników—was puszczać wolno. Wróćcie do stolicy i powiedzcie Sijawushowi, aby się gotował na moje przyjęcie...“

Pomruk niezadowolenia dał się słyszeć w orszaku, gdy Sakya-Muni własnoręcznie przecinał pęta na rękach i nogach więźniów. A pomruk ten zamienił się w słowa otwartego niezadowolenia, gdy Sakya-Muni kazał oddać więźniom i miecze.

Sakya-Muni wtedy zawołał: „Jam król—jam pan! wola moja prawem jest, a słowo moje z granitu. Rzekłem, a stanie się. I przysięgam: choćby jeden z tych więźniów miał być samym Sijawushem, puszczać go wolno i oddam mu miecz jego!...“

Wtedy rzekł Sijawush: „A gdybym ja był naprawdę Sijawushem, czy słowa twego dotrzymasz, Sakya-Muni?“

Sakya-Muni rzekł: „Nie jestem, jak żmija, która ma rozszepiony język: jedną połowę dla kłamstwa, a drugą dla prawdy.“ To rzekłszy, Sakya-Muni oddał miecz swemu więźniowi.

A wtedy Sijawush rozpiął swą odzież, wydobył ukryty na piersi swój pierścień, zawieszony na łańcuchu na szyi, i rzekł: „Chcę wiedzieć, czyś jest prorokiem prawdy, czy fałszu; więc spójrz: oto pierścień Sijawusha na mych piersiach — Sijawush jestem!“

Przy tych słowach towarzysz Sijawusha wykrzyknął w przerażeniu: „Panie mój, cóżes uczynił?“ A towarzysze Sakya-Muniego zaczęli wołać radośnie: „Oto oddany jest wróg nasz w nasze ręce. I któż jest przeciw nam? Synem śmierci jest wróg nasz, a zwycięstwo jest po naszej stronie!“

Lecz Sakya-Muni spojrział głęboko w oczy Sijawusha — miał bowiem we wzroku siłę niepomiarłą i umiał czytać w duszach — a potem rzekł: „Moje słowo jest mi więcej warte, niżli ty cały, Sijawushu. Idź więc, mówię, do stolicy, i przygotuj ją na przyjęcie władcy i pana!“

I oddał mu miecz jego.

A Sijawush patrzył przez chwilę w oczy Sakya-Muniego i poznał, że siła jego własna z tą siłą Sakya-Muniego mierzyć się wcale nie może; bo Sakya-Muni w oczach swych nosił znak swego posłannictwa. Rzekł więc Sijawush po chwili, uginając kolano przed Sakya-Munim:

— Zwyciężyłeś mnie, Sakya-Muni, bez walki. Oto ja, Sijawush, uginam przed tobą kolano, jako ostatni z twych poddanych.

A Sakya-Muni zszedł wtedy z konia, własnorecznie przypasał miecz swój własny do boku Sijawusha i rzekł, zwracając się do towarzyszków:

— Patrzcie! ten oto nosić będzie miecz mój przedemną i pierwszym będzie po mnie w mojem królestwie. Kto jego uczi, muie czcić będzie.

I w tryumfie podążał wraz z Sijawushem ku stolicy. A stolica przyjęła go, jak i kraj cały, radośnie, uznając w nim prawowitego swego władcę i króla.

Tak został królem Sakya-Muni.

Lecz chociaż Sakya-Muni zwyciężył napozór wszystkie trudności, siadłszy na tronie, niemniej przecie panowanie jego z licznych zawodów zrazu się składało.

Serce jego było tak litościwe, że ujrzeć, ani dowiedzieć się o nieszczęściu którego ze swych poddanych nie mógł, aby nie zapłakał, gdy mu pomódz nie był w stanie. I zorane cierpieniem milionów było jego oblicze.

Ale największem źródłem jego cierpień było to, że nie wszyscy poddani jego chcieli się zastosować do praw zbawiennych, które on wydał.

I poznał Sakya-Muni wyraźnie, co jest przyczyną, że jego poddani nie chcieli zachowywać najzbawienniejszych praw jego. A przyczyną było to, że każdy z poddanych mówił sobie. „Sakya-Muni jest tak samo człowiekiem, jak i każdy z nas — a jeśli nam stanowi prawa, to czyż może od nas wymagać, abyśmy je tak szanowali, jak boskie? Przecież on jest nam podobny, a zatem mylić się może i nakaz jego nie jest nakazem bezwzględny.”

Lecz rady na to nie było i Sakya-Muni czuł ból dojmujący na myśl, że tak być musi i niczem tego nie zmieni.

I oto gdy Sakya-Muni tak rozmyślał o tych sprawach, pełen smutku, stanął przed nim starzec jeden i rzekł:

— Słuchaj Sakya-Muni! Znan źródło smutku w twem sercu i przychodzę, aby ci dać lekarstwo na smutek.

A na to Sakya-Muni zapytał: „Kto jesteś starcze, że chcesz czytać, co napisane tajnem pismem w sercach królów?”

A starzec opowiadać począł, co następuje:

„Wszak wiesz, królu, że w naszym grodzie istnieje przybytek poświęcony Bogom, a w nim komnata od wieków zamknięta, w której przebywa sam Bráma. I nikt ze śmiertelnych dotąd nie zajrzał do tej komnaty. Gdym jednak ubiegłej nocy spał u jej progu, pilnując, jak zwykle, aby świętokradzka dłoń czyja nie naruszyła spokoju Brámy, ukazał mi się we śnie Bráma i rzekł: Sługo mój wierny! ja wiem, co za smutek tkwi w sercu Sakya-Muniego. I chcę mu dać radę. Ludzie nie zachowują jego dobrych praw dlatego, że mówią: „*ludzkiem* jest źródło tych praw, jakże więc mamy je szanować?” A zatem ja mówię tobie, ja, Bráma! Idź między tłumy, opowiadaj, że ja ci się objawił, oto—ja sam, mieszkający w tajemniczym przybytku, ja, którego oko ludzkie nie widziało nigdy... Opowiadaj, że prawa, które Sakya-Muni stanowi, z *mego* rozkazu stanowi, a duch ich z *mego* ducha wypłynął... *Boskim, a nie ludzkim jest początek tych praw—*

to im powiedz! A skoro oni to usłyszą, słuchać będą praw dobrych Sakya-Muniego i spokój i szczęście zapanuje w jego królestwie...

Oto co rzekł mi Bráma, przebywający w zamkniętej od wieków komnacie przybytku. Rozważ, Sakya-Muni: jak wielką korzyść mieć będziesz z tego, jeśli ja zacznę chodzić pomiędzy tłumami i przeszedłszy wszere i wzdłuż twoje królestwo, wszędzie opowiem, że Bráma, ukryty w zamkniętej komnacie przybytku, przemawia przez twoje usta i swoją potęgą okrywa wszystko, co czynisz i co nakazujesz!

Ale skoro ty tak wielkie korzyści dzięki mnie osiągniesz, powinienes mnie za to wynagrodzić. Jeśli chcesz, abym to uczynił, com rzekł, daj mi ze skarbcza twego tyle klejnotów, ile ich zdołam unieść.“

Gdy starzec skończył, Sakya-Muni spoglądał długo na niego, potem zaś klasnął w dłonie na niewolników i zawołał, obracając się do swych dostojników, którzy obecni byli podczas tej całej przemowy starca:

— Kto jest sługą Bogów, temu Bogowie dają nagrodę większą, niżli ludzię dać mogą! Odemnie wymierzcie mu—pięćdziesiąt kijów natychmiast, aby się pokazało, czy mówi prawdę, czy kłamie. Jeżeli bowiem działa z rozkazu Brámy, to uczyni to, co mu rozkazał Bráma, i pomimo pięćdziesięciu kijów, które mu dacie zamiast klejnotów: jeśli zaś kłamie, to mu się za kłamstwo słusznie należą kije.

Skinął Sakya-Muni, to rzekłszy, i niewolnicy pochycili starca, aby się stało według rozkazu królewskiego.

A gdy go puszczono, starzec stanął przed pałacem królewskim, wsparłszy się o mur, i rozmyślał, co chciał właściwie powiedzieć Sakya-Muni przez to, że mu rozkazał dać kije. Taką bowiem przewrotną jest natura ludzka, że często w słowach, nie zawierających podstępu, doszukuje się ukrytego celu.

O tem ukrytem znaczeniu słów Sakya-Muniego rozmyślał więc długo starzec, stękając, mocno bolały go bowiem krzyże.

A wreszcie zawołał:

— Mądry ty jesteś, Sakya-Muni! Nie chciałeś mi obiecać żadnej nagrody, boś nie był pewien, czy tłumy nie okrzykną mnie za oszusta—a tyś nie chciał wchodzić w spółkę z oszustem. Ale teraz, któż będzie śmiał wątpić, że działałam z rozkazu Brámy, jeśli kije dostałem, a mimo to opowiadać będę, żeś natchniony duchem bożym? Ale potem, gdy mi się powiedzie, nie odmówisz mi nagrody! O, mądryś ty, Sakya-Muni!

To rzekłszy do siebie, odszedł ów starzec od pałacu, postępując, bolały go bowiem krzyże.

A od tej chwili poczęła się szerzyć między ludem wieść, że sam Bráma jest ukryty w owej zamkniętej komnacie i że on swą boską opieką otacza króla Sakya-Muni; i wszystko, co rozkazał Sakya-Muni, poczęło uchodzić za rozkaz samego Brámy, bo starzec ów chytry, chodząc po całym kraju, opowiadał wszystkim swój sen i powoływał się przytem na świadków, którzy widzieli jak Sakya-Muni nielitościwie się z nim obszedł. I mówił do ludzi: „Patrzcie, oto jeszcze noszę sine pręgi po kijach, które otrzymałem z rozkazu króla Sakya-Muni... Ale wola jego niech się dzieje, bo sam Bráma przemawia przez jego usta: Sakya-Muni nie jest wcale, jak inny śmiertelny człowiek! Sakya-Muni jest nadziemskiego początku i sam Bráma mieszka w jego sercu, przemawia jego ustami, rządzi jego ręką, myśli jego głową, spogląda jego oczyma... Patrzcie we wzrok Sakya-Muniego, a ujrzycie tam samego Brámę.

Gdy on mnie kijami obić kazał w zamian za radosną wieść, jam spojrział Sakya-Muniemu w oczy: a w tych oczach ujrzałem samego Brámę, — takiego, jakim mi się był we śnie objawił... I oto zamiast złorzeczyć, rzekłem: „Panie, wola twoja!—jam niewolnik twój!“ Czyż myślicie, że tak bym był rzekł, gdybym nie ujrział w spojrzeniu Sakya-Muniego — Boga?“

Tak opowiadał powszechnie ów starzec, pokazując sine pręgi po kijach i powołując się na świadków. A świadkowie jednogłośnie potwierdzali prawdziwość słów jego.

I nie było wśród całego ludu już ani jednego człowieka, któryby wątpił w prawdziwość tych opowiadań. I nie było ani jednego człowieka, któryby śmiał naruszyć prawa. „Nadprzyrodzonym jest źródło praw naszych — mówili wszyscy — sam Bráma je wydał i czuwa nad niemi.“ A mówiąc to, wielką bojaźnią przejęci byli, aby z rozmysłem nie przestąpić któregoś z praw, jakie wydał Sakya-Muni.

I oto wielka pomyślność zakwitła w państwie Sakya-Muniego. Nie było już zbrodni, nie było krzywdzicieli, miłość wzajemna i zgoda panowała niepodzielnie, każdy bowiem czuł na sobie spojrzenie samego Brámy, w chwili gdy wzrok Sakya-Muniego padł na niego.

Sakya-Muni, widząc ten zwrot niespodziany, czynił Brámie dziękczynienia, modląc się z głębi duszy słowami: „Dzięki Ci, Bráma, żeś wyczytał w duszy mej treść mego smutku i lekarstwo mi zesłał skuteczne!“

I aby swej wdzięczności dać wyraz najgłębszy, wprowadził Sakya-Muni w zwyczaj pielgrzinki powszechne do przybytku, w którego komnacie zamknięty miał przebywać Bráma. Co miesiąc Sakya-Muni na czele pielgrzymów na kolana padał przed zamkniętymi drzwiami, zasyłając dziękczynienia i modły.

A lud jego przywiązał się do tych pielgrzymek i bił czołem przed zamkniętymi drzwiami.

A gdy po latach paru kraj wzmagać się począł w szczęśliwość i porządek, starzec ów, który przez te lata wpajał ludowi wytrwale wiarę w nadprzyrodzone źródło praw, uznał, że czas żniwa nadszedł już i dla niego.

Staął więc przed Sakya-Munim i rzekł: „Sakya-Muni, żniwo obfite zebrałeś z mego posiewu, a jam dotąd zbierał same ciernie. Twoją mądrość, jak widzisz, potrafiłem ocenić i odgadłem, że w pierw chcesz ujrzeć owoce, zanim ogrodnika wynagrodzisz, co drzewo zasadził i wyhodował dla ciebie... Owoce jego są słodkie i dają nieśmiertelność temu, kto z nich używa. Mnie zawdzięczasz, Sakya-Muni, że lud cię słucha i obwołuje nieśmiertelnym. Daj mi przeto połowę skarbcza twego!”

A Sakya-Muni rzekł: „Jeśliś szedł za rozkazem Brámy, to jakim prawem odemnie domagasz się nagrody, człowieku sprzedajny? Co komu bogowie rozkażą, ten czyni, nie oglądając się na ludzi!”

A starzec odrzekł:

„Mądryś ty, Sakya-Muni! Sądziłeś, że teraz, skoro silną jest twa powaga w sercach twoich poddanych, nie potrzebujesz już moich usług i wyprzeć się możesz ze mną współnictwa, odprawiając ze wstydem tego, kto ci tron twój osadził na słupach z granitu... Ale przeliczyłeś się, Sakya-Muni! Bo com zdołał zbudować, to zdołam też zburzyć. A te duchy, które wywołałem mojem zaklęciem, aby tobie służyły, zwrócę przeciwko Tobie, Sakya-Muni, gdy zechcę... Bo ja jestem ich panem i twórcą, — a tron twój zacznie się chwiać i runie!...

Wiedz bowiem — tu głos starca zabrzmiał złowrogo — że fałszem jest wszystko, com opowiadał i tobie i twemu ludowi o zjawieniu się Brámy. Nie Bráma, ale czarny kudłaty pies śnił mi się owej nocy. Ale jam poznał duszę ludu i wiem, że potrzebuje bożków, a jeśli ich niema, sam gotów je sobie stwarzać i klękać przed nimi...

W zamkniętej komnacie nie ma, Sakya-Muni! pusta jest i ciemna! Gdy drzwi otworzysz, zgnilizna grobu wionie ku tobie z za drzwi zawartych! Jam umyślnie to kłamstwo szerzył, aby

od ciebie zyskać nagrodę, i ja sam teraz kłamstwo wykryję, skoro mnie ze wstydem odpędzasz! Biada ci, Sakya-Muni! Twój tron się chwieje i runie wraz z tobą!”

To rzekłszy, starzec umilkł, piniąc się ze złości i wygrażając pięścią.

A Sakya-Muni pomyślał:

„Lepiej, aby tron mój runął i ja z nim, niż aby się opierał na fałszu. Wszak błogosławione owoce się zrodziły z opowieści o ukazaniu się Bramy i jego pobycie w przybytku. A czyliż drzewo kłamstwa może zrodzić owoc dobry? Prawdą więc być musi to, co pierwszym razem mówił o Bránie starzec...”

Lecz trwożył się Sakya-Muni z innego powodu. Wątpił bowiem, czy jego poddani nie przestaną być posłuszni prawom, gdy starzec pocznie im opowiadać, że fałszem było wszystko, co mówił poprzednio.

Lecz stała się rzecz niespodziewana.

Mściwy starzec począł chodzić po całym kraju, wszędzie opowiadając, że poprzednie jego twierdzenia były kłamstwem i fałszem. „Nieprawdą jest — wołał — że za zamkniętymi drzwiami komnaty w przybytku, przebywa odwieczny Brána... Pusto tam jest, a na czynach Sakya-Muniego nie spoczął żaden promień z nieba! Na obłudzie i fałszu opiera się jego panowanie.”

Lecz te słowa wzbudziły jedynie oburzenie przeciwko starcowi. Tu i owdzie ze wstydem wypędzano go po za granice miasta, a w niektórych miejscach i pobito nawet.

Ale on, zamiast wziąć do serca tę naukę, z tem większą zapamiętałością zaczął ludowi głosić, że za zamkniętymi drzwiami nie kryje się nic...

I oto w jednym mieście, gdy zaczął głosić, że lud jest haniebnie oszukany, posypał się na niego grad kamieni i rozległy się wołania: „Błudnierca! błudnierca!”

Po chwili, skrwawionego i pobitego porwał go tłum za miasto wśród niemilkających okrzyków: „Ukamienować błudniercę!” I tu go chciano zmusić do tego, aby odwołał swe błudnierstwa i oddał hołd Bránie, ukrytemu za zamkniętymi drzwiami.

A gdy on tego uczynić nie chciał, tłum rozjuszony ukamienował go na śmierć.

I ciało jego stało się żerem dla sępów i psów dzikich.

Zdarzyło się, że Sakya-Muni przejeżdżał wraz ze swym dworem opodal miejsca, gdzie leżało ciało ukamienowanego błudniercy. I zapytał swych towarzyszków, ujrawszy stado sępów, krążących nad padliną: „Co za trup tam leży?”

Odrzekli mu na to: „Sprawiedliwym jest Bráma i wyrok swój ogłosił przez usta ludu! Błuźniercy to trup, — tego, który Brámie i tobie bluźnił, o Sakya-Muni! a lud go ukamienował, bo on śmiał twierdzić, że za zamkniętymi drzwiami w przybytku nie kryje się nic...”

Oczekiwali towarzysze Sakya-Muniego, że król na to się odezwie, chwając mądrość opiekuńczą Brámy. Lecz Sakya-Muni nic się nie odezwał, a i na dalsze ich rozmowy nie zwracał w roztrągnięciu żadnej uwagi.

A wieczorem przybywszy z objazdu swego królestwa do stolicy, rzekł krótko: „Pochowajcie resztki ciała owego starca, aby dzikie ptactwo nie żywiło się niem.”

I od dnia owego zapuściła w sercu Sakya-Muniego swe korzenie zjadliwa pasożytna roślina, która wbrew jego woli zaczęła wzrastać i krzewić się, żywiąc się najlepszymi sokami jego serca. A rośliną tą była wątpliwość, czy starzec, ukamienowany jako bluźnierca, nie mówił w istocie prawdy, twierdząc, że wszystko jest kłamstwem i że w zamkniętej komnacie niema nikogo.

Przechodził tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, a wątpliwości cień nie chciał wyjść z jego serca...

Wreszcie nadeszła chwila, gdy Sakya-Muni rzekł do siebie: „Przekonam się! Lepiej zginąć, niż budować na fałszu i obłudzie.”

I zebrawszy swój dwór, oznajmił, jakie wątpliwości zagnieździły się w jego sercu i że jedyne wyjście z tego położenia upatruje w otworzeniu tajemniczycy drzwi i przekonaniu się, czy Bráma istotnie przebywa w komnacie.

Na te słowa padli przed nim na kolana jego doradcy, błagając go, aby zaniechał tego zamiaru, gdyż samo przypuszczenie, które on wypowiedział, zbrodnią się wydać musi każdemu.

„Nie odbieraj wiary twemu ludowi“ wołał kanclerz, jako najstarszy i najdoświadczeńszy z jego doradców „cóż bowiem dasz mu wzamian, gdy mu wiarę odbierzesz? Czy może stwierdzenie faktu, że Bráma istotnie przebywa w komnacie?”

Żadne stwierdzenie, żadne przekonanie się o prawdziwości nie posiada tej słodyczy, którą posiada wiara.

Lecz Sakya-Muni na wszystko odpowiadał niewzruszenie: „Przekonam się!”

I wyznaczył dzień, gdy miał w obecności swego całego ludu wejść do komnaty bóstwa.

Sakya-Muni drżał wewnątrz, ujmując drzwi zamkniętej komnaty, aby je silnem naciśnięciem dłoni otworzyć. A na nim

spoczywały spojrzenia tysięcy i tysięcy ludzi,—spojrzenia smutne i spojrzenia oburzone,—i pełne trwogi i pełne gniewu...

Sędziwy kanclerz państwa w ostatniej chwili pochwycił go za skraj szaty i wołał, padłszy na klęczki: „Zawróć królu z swej drogi, bo nie przystoi śmiertelnym badać tajemnice Bogów!“ a tysiące wołały za przykładem kanclerza: „Zawróć, zawróć!“ on zaś rzekł: „Sakya-Muni się nie cofa!“

To rzekłszy, zdecydowanym ruchem pchnął drzwi przed sobą. Spadły z trzaskiem żelazne poprzeczne antaby, zaskrzypiały wrzeciędzie — i Sakya-Muni zniknął w komnacie bóstwa. A w ślad za nim biegł głos bolesny tłumów: „Zmiłuj się nad nami, o wielki Bráma!“

Przeszła długa, straszna chwila oczekiwania.

A potem otworzyły się znów drzwi komnaty, której progu od setek lat nie przestąpił żaden śmiertelny człowiek. A we drzwiach stanął Sakya-Muni, twarzą w twarz do tłumów ludu. I znów tysiące spojrzeń zawisło na jego ustach...

On był bardzo blady i blaski dziwne świeciły mu w oczach. Szukał słów, aby przemówić do ludu, lecz nie mógł tchu złapać i słów dobrać.

Wszczął się tedy szmer i wzrastał, jak szum nadchodzącej burzy...

Wtedy on skinął ręką — i nastąpiła cisza. A on szybkoim ruchem rozwarł na rozcież obie połowy drzwi, tak, aby każdy mógł zobaczyć, że komnata jest pusta.

I jedno słowo rzekł Sakya-Muni do ludu: „Pusta!“

A po tem słowie strasznie budził się szmer i zgiełk i umilkł, aby po chwili znów się wzniagać i znów milknąć: tak, jak wichry, złapany w wąwozach górskich, ryczy i wyje, a potem nagle milknie, aby znów zacząć huczeć, szukając wyjścia.

Bo duch ludu przeraził się, a wybuch smutku, przerażenia, gniewu i oburzenia szukał wyjścia i nie wiedział, w którą stronę się zwrócić...

A Sakya-Muni stał przed nim odważny, o całą głowę wyższy... W oku miał błyskawice, a w głosie grznoty. Pierś jego podnosiła się i opadała, jak fale wzburzonego oceanu, a w jego myślach było jasno. Mówił do siebie: „Czuję się silny, bo stoję o własnych siłach!“ I czuł się istotnie silny, bo zajrzał prawdzie w oczy i oczów przed prawdą nie zmrużył.

Sakya-Muni rzekł: „Ujrzeście, że komnata była pusta i trwożcie się. Ale powinniście się raczej weselić. Bo macie dowód, że nie boskiego, ale ludzkiego początku były te wszystkie prawa,

które doprowadziły lud do szczęśliwości! Bądźcie lepsi, szanujcie prawa, a ludzkość posuwać się będzie nieustannie po drodze doskonałości! Nie rozczarowaniem, ale poczuciem własnej siły przejąć was winien widok pustej komnaty Bóstwa! Któż bowiem podźwignie człowieka z upadku, jeśli człowiek sam siebie nie podniesie?... Te ubiegłe lata błęgiego porządku niechaj wam będą dowodem, że *w waszem ręku* jest los wasz: szanujcie prawa dobre tak jak dotychczas, a coraz lepiej będzie wśród was! Tajemnicę szczęścia Bráma w wasze własne ręce złożył! winniście mu za to dziękczynienie! Pokrzepieni na duchu winniście opuścić progi tej świątyni, boście zyskali dowód na sobie samych, jak silnym być może człowiek, gdy chce!”

Sakya-Muni skończył i słuchał, czy nie odezwie się wśród tłumu zwykły okrzyk, którym go lud witał, jako króla: „Niech żyje Sakya-Muni!”

Lecz nikt się nie odezwał. Nikt nie zawołał mu radośnie: niech żyje! Usta rzesz były zawarte dla Sakya-Muniego tak samo, jak zawarte dla niego było ich serce.

Poznał Sakya-Muni, że stracił rząd nad duszami,— i milczący powrócił w progi swego pałacu. A po drodze spotykał grupy ludzi, rozprawiających szeroko, którzy na widok Sakya-Muniego milkli. I z żadnej grupy nie wyrwał się ku niemu powitalny okrzyk, a on przechodził obok nich, spuściwszy głowę.

I czuł, że mu zginęła cała jego siła.

*

*

*

Smutne wieści zaczęły od tego dnia nadchodzić do pałacu królewskiego. Złowrogie wieści o przestępstwach i zbrodniach wszelkiego rodzaju. Jakby nagle tłum rozkiełzanych furij obudził się w sercu każdego z poddanych królewskiemu berłu, tak się mnożyły kradzieże, rabunki, gwałty, morderstwa...

Nikt nie był już pewien swego mienia, swego życia, swej dobrej sławy.

„O wielki Bráma,—wołał z głębi duszy Sakya-Muni—powiedz, kto mi przemienił moich potulnych baranków w stado nienasyconych dzikich wilków?”

Lecz Bráma nie dawał żadnej odpowiedzi.

„O Bráma — mówił Sakya-Muni z głębi duszy — jeśli takim jest działanie prawdy na duch ludzki, to niechaj prawda przeklątą będzie na wieki!“

Lecz Bráma milczał i nie dawał odpowiedzi Sakya-Muniemu. Odpowiedź bowiem z innej wyjąć miała strony.

Oto gdy do zenitu doszły przestępstwa i zbrodnie, a Sakya-Muni codziennie bardziej czuł swą bezsilność, — zebrał się pewnego dnia tłum wielki przed pałacem królewskim, wołając, aby Sakya-Muni ukazał się przed nim na balkonie pałacowym.

Sakya-Muni spełnił to żądanie i wyszedł na balkon. Lecz zaledwie go lud ujrzał, posypały się na niego złowrogie słowa: „Oto winowajca! Oto sprawca złego! Oto burzyciel naszego szczęścia!“

Ale że on tych wszystkich zmieszanych głosów nie mógł ogarnąć, zawołał do tłumu: „Czego chcecie odemnie?“

A oni wtedy jednym wielkim głosem zaczęli wołać jednomyślnie: „Oddaj nam naszego Boga, Sakya-Muni! Oddaj nam naszego Boga!“

A Sakya-Muni stał przed tem wzburzonym morzem ludzkiego nieszczęścia i nie miał słów, aby wzburzenie opanować. I tylko łza zabłysła w jego oku, a w jego sercu znalazł się przebłysk przeczucia, jaką wartość w życiu człowieka mają złudzenia.

A tłum, widząc jego bezsilność, srożyć się począł i wołać: „Śmierć mu! Śmierć mu! on sprawcą jest tego, że cały porządek społeczny runął!“ Zaczęły połyskiwać już noże w powietrzu i kamienie pojawiły się w rękach ludzi, których bożyszczem był jeszcze do niedawna Sakya-Muni. Niema bowiem nielitościwszego stworzenia na ziemi, jak człowiek, co się mści za swe rozwiane złudzenia...

Stary kanclerz przypadł do nóg Sakya-Muniego i wyrzekł jedno słowo tylko: „Ratuj się!“ Potem zaś chwycił go za rękę, chcąc prowadzić za sobą...

Rzekł wtedy do starca Sakya-Muni: „Słuchaj starcze! Jeśli mi ułatwisz ucieczkę, tłum rzuci się na ciebie i na tobie wyrze swą zemstę. Niebezpiecznie jest igrać z żądaniami tłumu. Narazasz swoje życie, a może i sławę dobrą swoją na pohaanbienie.“

Na to zaś odrzekł stary kanclerz: „Bóg jeden może mi odebrać życie i bez Jego woli nie dotknie ani jeden pocisk mego ciała, tak jak nie dotknie żadne złe słowo czci mego imienia. A jeśli jednak Bóg postanowił inaczej, to dłoń jego mnie odnajdzie, choćbym się skrył na dno morskie, kryjąc się przed śmiercią lub cierpieniem... A przytem, Panie,—tu w głosie starca łyż za-

dźwięczą — mali ludzie nie cierpią... A jeżeli cierpią, to nic to nie znaczy. Tylko wielkich ludzi cierpienia są warte, aby na nie zwracano uwagę. Twoje cierpienie, Sakya-Muni, jest cierpieniem wielkiego serca — i nie każde serce zdolne jest do tak wielkiego cierpienia.

Pójdź za mną...“

Starzec wziął Sakya-Muniego na nowo za rękę i poprowadził krytym krążankiem za sobą... A Sakya-Muni dał się prowadzić za rękę, jak dziecko.

Gdy niepoznany przecisnął się przez tłum, otaczający pałac, musiał Sakya-Muni zdjąć swe szaty królewskie. I chciał trafić, że do przebrania nie było pod ręką innego ubrania, jak tylko ów stary płaszcz pielgrzymi, w którym wyruszał Sakya-Muni z domu rodzicielskiego. Przywdział go zatem na siebie z westchnieniem i po chwili, jako nieznany pielgrzym, przeciskał się przez tłumy, otaczające pałac królewski. Było to właśnie w chwili, gdy tłumy nanowo wołać poczęły: „Śmierć Sakya-Muniemu!“ — i gotowały się do uderzenia na pałac królewski...

Jeden z tłumu, zauważywszy, że pielgrzym oddalić się chce od pałacu i nie woła wraz z tłumem: „Śmierć Sakya-Muniemu!“ zatrzymał go mówiąc:

— Dlaczego nie wołasz wraz z nami?

Ten zaś odrzekł:

— Przyjacielu, powiedz, co wam uczynił Sakya-Muni, że go przeklinacie?

— Ukradł nam naszego Boga! — odrzekł zapytany. A na te słowa Sakya-Muni zakrył sobie głowę płaszczem na znak smutku i padłszy na kolana, zlewał ziemię gorzkimi łzami.

A potem powstał, otarł kurz i łzy i podążył — na wielką Drogę Pielgrzymów...

*

*

*

A krocząc po drodze Pielgrzymów nanowo, jako samotny pielgrzym, Sakya-Muni rozmyślał o rozczarowaniu, którego padł ofiarą.

I mówił do siebie w duchu: „Dziwną jest natura ludzka! Oporną jest przeciw szczęściu własnemu! O, wielki Bráma, wy-

bacz mi, żem zblądził! Alem tak zblądził, jako i ty sam blądziysz, gdy człowieka chcesz uszlachetnić i zrobić zeń Anioła... Albowiem nietylko z gruntu złą, ale niepoprawną jest natura człowieka. I jakże znaleźć drogę do szczęścia, jeśli gwałtu i podstępny trzeba, aby ludzi uczynić szczęśliwymi? Biada rodzajowi ludzkiemu! W jego sercu żyje i nieprzepracie odzywa się dążenie do szczytów, ale serce jest jak ptak, któremu przywiązano do skrzydeł ciężary: bo choć tęskni za górnymi sferami, tkwi w poziomości. Biada! Biada! Czyż nie lepiej zrzec się dążenia, aniżeli dążyć do prawdy — przez fałsz?!”

Zaszedł mu tedy drogę Bráma i rzekł: „Spoglądałem na wszystko, coś sobie poczynił Sakya-Muni i to ci powiem na twe złorzeczenie: nie o to chodzi, *na co* spoglądasz, ale *jak* spoglądasz. Brak ci jeszcze we wzroku *miary*, Sakya-Muni, więc szukałeś kwiatu paproci tam, gdzie go nie było.“

Sakya-Muni milczał i smucił się. Taką jest bowiem natura ducha ludzkiego, spojonego z różnorodnych pierwiastków, że rzeczywistości nie chce uznać, nawet gdy ją widzi, a z nadziei się nie wyzuwa zupełnie, nawet wtedy, gdy złorzeczy i rozpacza. I nigdy cały być sobą nie może, lecz z głębi rozpaczy zawiesza na wiotkiej pajęczynie swój pomost nadziei. A gdy wreszcie twarda rzeczywistość legnie ciężarem swym na jego piersiach, w nim protest przeradza się w echo nadziei zgasłej — ból i smutek...

Ta jednak jest natura ducha ludzkiego, spojonego z różnorodnych pierwiastków, że z pod rozczarowania powstaje znowu żyw i pełen życia: a im rozczarowania cieżń ugrzązł głębiej, z tem większą siłą duch się wyrzywa do ideału, mówiąc: jam się omylił co do drogi, a nie co do celu.

Sakya-Muni rzekł: „O Bráma! Jeślim się pomylił, tom się pomylił co do drogi, lecz nie co do celu. Cel mój istnieje, bo świadectwem jego jest moja tęsknota za nim. Lecz jam drogi rozpoznąć nie umiał. Widzę teraz, że dopiero *poznanie* może człowiekowi wskazać drogę do celu. I staję przed tobą oto, Wielki Bráma, prosząc: uczyni ze mnie mędrca, pozwól, aby mój umysł nasiąkł mądrością wszystkich pokoleń, które kiedykolwiek żyły na ziemi i z drzewa poznania zbierały owoce. Gdzież bowiem indziej może być szczęście, jeśli nie w wiedzy?“

Spojrzzał nań ze smutkiem Bráma i rzekł: „Bądź!“

A od tej chwili zaczęła się dla niego nowa tragedia: — tragedia wiedzy.

Tragedya wiedzy.

Minąwszy ostatnie straże na granicy dawnego swego państwa, Sakya-Muni zagłębił się w kraj obcy, nie spotykając nikogo na swej drodze, prócz stad dzikich koni, które szły uporczywie za nim. Sakya-Muni musiał je kamieniami odpędzać, gdyż są to niezmiernie zdradliwe i chytre zwierzęta; są jak grzech: zbliżają się do człowieka potulnie, a potem naraz chwytają pomiędzy potężne swe zęby...

Sakya-Muni szedł przed siebie i rozmyślał, że zmierza teraz ku nowej nieznannej przyszłości. A wierząc, że niesie mu ona w zanadrzu swem kwiat paproci, w duchu miłosną myślą ją obejmował, tę przyszłość nieznaną, a przeczytą...

Tak kochanek miłosną myślą ogarnia pierwsze pieszczoty kochanki, z której ust nie zakosztował jeszcze słodczy, ale o której wie, że serce jej dla niego tylko uderza...

W rozmyślaniu tem szybko mu zbiegały godziny, a z godzin tworzyły się dni.

I dążył Sakya-Muni przed siebie, wierząc, że gdy godzina dlań wybije, przeznaczenie się spełni. I oto pielgrzym samotny napotkał wreszcie swój los. Było to poselstwo z dalekiej krainy, od króla, który szukał mędrca.

Skinąwszy na Sakya-Muniego, aby się zbliżył, rzekł dowódca poselstwa: „Jak z naszych szat zapewne już poznał, pielgrzymie, pochodzimy z odległych krajów, a spełniamy rozkaz naszego wielkiego króla, który nam rzekł, skoro mu zmarł niedawno jego mędrzec: Idźcie przed siebie wciąż w prostym kierunku, nie wracajcie, dopóki nie znajdziecie mi prawdziwego mędrca! A że już długo trwa podróż nasza i radzibyśmy wracać do domu, pytamy zatem każdego po drodze, jak i ciebie pytamy: Czy jesteś może mędrcem, którego szukamy?”

Rzekł na to Sakya-Muni, wzruszając ramionami: „Powiedz mi pierwszej sam, co to jest mądrość?”

Śmiać się poczęli na to wszyscy obecni, lecz dowódcę rzekł: „Ta odpowiedź nie jest wcale taką, jak wam się z pozoru zdaje.”

I wziąć kazał ze sobą Sakya-Muniego i po dniach wielu i tygodniach wielu podróży stawił go przed tronem króla swego, opowiedziawszy mu przedtem, co pielgrzym odpowiedział mu na jego pytanie.

I pytał król, którego imię było Daryusz: „Powiedz, czemu ludziom moim zadałeś pytanie: co jest mądrość?”

Sakya-Muni odrzekł: „Bo ja jej szukam.“

A Daryusz na to: „I ja jej szukam. Szukajmy tedy razem.“

Zaś Sakya-Muni odpowiedział: „Mylisz się, królu! Ty bowiem kazałeś szukać mędrca, a nie mądrości.“

Zamyślił się Daryusz i rzekł: „Czy ten, kto szuka zaginionej srebrnej drachmy, smuci się, gdy znajdzie złotego darejka? Tak i ja tobie mówię: Jeśli chcesz, pozostan przy mnie i bądź moim mędrce.“

A Sakya-Muni rzekł: „Chcę“ i pozostał mędrceem na dworze Wielkiego króla Daryusza.

I rozmawiał raz u jednego z Daryuszem o tem, że mądrość ludzka podobna jest do ula, w którym od wieków pracowite pszczoły składają wyssany ze wszystkich przejawów bytu miód: — mądrość. A ulem tym są księgi, w których przechowuje się mądrość wszystkich pokoleń i wszystkich narodów.

Daryusz rzekł na to:

„Weź od mego podskarbiego tyle złota, ile dwa wielbłądy unieść zdołają, a choćbyś od niego wziął darejków tyle, że dwa wielbłądyby się ugiwały pod ciężarem, weź, a zrób, co każę. Zakup wszystkie księgi uczone i zgromadź je w jednej księżnicy, najobfitszej na całym świecie.“

Z radością zabrał się Sakya-Muni do tej pracy. Lecz dwa razy już wielbłąd czerpał wory złota ze skarbcza, a ksiąg nawet połowa nie była zgromadzona.

I rzekł Daryusz do Sakya-Muniego: „Czy nie prędko koniec tej mądrości?“

„Królu królów! — odrzekł Sakya-Muni — W każdej księdze osiem części jest powtórzeniem tego co już wiadomo z ksiąg innych, a zaledwie dziewięta zawiera rzecz nową.“

Daryusz nic na to nie odrzekł, ale się bardzo zamyślił. I znów czerpał wielbłąd złoto ze skarbcza Daryuszowego na zakup ksiąg.

Ale zanim zgromadzone zostały wszystkie księgi, przyszedł ogień i pożarł całą księżnicę wraz ze wszystkimi skarbami wiedzy, zgromadzonymi przez Sakya-Muniego. Część tylko ksiąg zdołał Sakya-Muni uratować z narażeniem swego życia.

I smucił się Sakya-Muni, skoro spojrzął na Daryusza, a Daryusz się smucił, spojrzawszy na Sakya-Muniego. Bo obaj nosili w spojrzeniu żalobę po takiej stracie.

Sakya-Muni mówił: „Niema nic trwałego na ziemi królu! nawet pomniki wiedzy ludzkiej nie są trwałe!“

Aż Daryusz weszcze rzekł: „Czyż niema sposobu utrwalenia mądrości ludzkiej tak, aby jej żaden ogień nie pożarł? I proszę cię, myśl o tem, Sakya-Muni, abyśmy potomności mogli przekazać na wieki tę dziewiątą część treści ksiąg, która jest istotną mądrością pokoleń.“

Sakya-Muni długo rozmyślał, aż wreszcie dnia jednego rzekł: „W pobliżu Kirmanszah jest skała Behistun, ścięta ręką Stwórcy tak ostro, jakby to był bochen chleba, przecięty nożem na pół. A skała Behistun jest z granitu i pionową płaszczyzną wznosi się na 1700 stóp ku niebiosom. Wyryj na ścianie Behistunu, jak na kamiennej tablicy, najważniejszą część ksiąg świata, o królu! Na tysiąc długich wierszy jest miejsca, jeśli dasz wyryć w kamieniu znaki na stopę wielkie a ćwierć stopy głębokie i szerokie. Zamknij w tych wierszach plon zebrany z ksiąg, jak najśłodszy miód z kwiatów, a ani ogień, ani woda, ani złość ludzka, ani czas wszechmocny tego napisu nie zmaże.“

Daryusz niezmiernie się ucieszył tą wieścią. I zgromadziwszy wielu uczonych, kazał im pod wskazówkami Sakya-Muniego pracować, aby w tysiącu wierszy zamknąć treść mądrości święta. Nie dłuższym bowiem miał być ów napis.

A dnia pewnego wybrał się Daryusz w otoczeniu dworzaków swych do skały Behistunu. Skoro zaś powrócił, wysłał Sakya-Muniego niezwłocznie w podróż do Egiptu, na dwa lata, aby w 150 wierszach zebrał mądrość Egiptu. „Nikt bowiem—tak mówił do niego — nie potrafi tego tak dobrze uczynić, jak ty, Sakya-Muni.“

I Sakya-Muni wyjechał do Egiptu.

A skoro upłynęły dwa lata, wracał do stolicy Daryuszowej, wioząc ze sobą plon, po który wyruszył.

Cieszył się z głębi serca, że oto zbliża się już teraz wykonanie dzieła, za które wdzięczne mu będą późne pokolenia, i umyślnie kazał zboczyć z drogi, aby ujrzeć skałę Behistunu, która za jego sprawą miała niebawem się pokryć wiekopomnymi zgłoskami.

Słońce już zachodziło, gdy Sakya-Muni zbliżał się do skały. Przyłożył do oczów rękę, wzrokiem witając skałę z granitu, w którą chciał tchnąć życie...

Lecz nagle zdrętwiał... Przez chwilę sądził, że podlega złudzeniu. Bo oto ujrzał, że skała już pokryta była napisem niezniszczalnym, począwszy od 300 stóp nad ziemią w górę. A napis, dłuższy, niżli cała mądrość ksiąg byłoby mogła, wylicza szereg zwycięstw Daryusza i głosi jego bogactwa i chwałę.

Długo spoglądał na ten napis Sakya-Muni i łzą zachodziły jego oczy. Bo pełne bólu było jego serce. Zrozumiał, czemu go Daryusz wysłał do Egiptu: wstydził się pod jego okiem pójść za głosem próżności...

Wreszcie Sakya-Muni rzekł: „Dzięki ci, wielki Bráma, żeś świat tak urządził, jak jest urządzony!...

Dzięki ci, Bráma, żeś nie dał ludziom sposobu uwiecznienia swych myśli! Cóż by oni bowiem uwiecznili, gdyby im dać do ręki sposób przemawiania do wieków?!“

To rzekłszy, Sakya-Muni zawrócił konia i pojechał do stolicy Daryuszowej...

*

*

*

Sakya-Muni zmienił się bardzo od czasu rozczarowania, które go spotkało po jego powrocie z Egiptu.

Mówił bowiem: „Czyliż warto gromadzić księgi? A choćbyśmy zdołali wszystkie zgromadzić, to jednak któż nas zapewni, że nasi następcy nie roztrwonią naszych skarbów? O, nie: lepiej jest mądrość, którą chcemy wiekom przekazać w spuściznie, zapisywać *w żywą księgę*, w umysłach ludzkich!“

I od tego czasu począł Sakya-Muni otaczać się uczniami i w ich głowach starał się zapisywać wszystko, co wyczytał w księgach. A dobył sobie sławę niezmierną i pierwsi dostojnicy państwa za zaszczyt sobie uważali, gdy Sakya-Muni zechciał nauczać ich synów.

On sam zaś dnie i noce trawił na czytaniu ksiąg, mówiąc, że tylko tego mu ani ogień, ani woda, ani królewska niełaska zabrać nie jest zdolna, co w głowie swej posiadał. I nie było dnia, aby on, kładąc się do snu, nie mówił sobie:

„Jutro wcześniej wstanę do mych zajęć, jutro będę jadł krócej i później się położę spać, aby czasu więcej mi starczyło na przeczytanie ksiąg.“

A w ten sposób Sakya-Muni zmienił się niejako cały tylko w myśl i w oko: oko, którem chwycił wyrazy z ksiąg,—i w myśl, która je przyjmowała; ze wszystkiego zaś innego ze swej istoty wyzuł się prawie zupełnie i wycieleśnił...

Zaden mędrzec przed nim i żaden po nim nie był, jak on, oddany czytaniu ksiąg. I sława jego rosła, nikt bowiem nie miał powodów zazdrościć mu tego zatopienia się w księgach: a człowiek wtedy tylko może znosić bez zazdrości sławę drugiego człowieka, jeśliby sam nigdy w ten sam sposób sławnym zostać nie chciał, choćby mógł. Unosili się więc wszyscy nad niestychaną pracą Sakya-Muniego, bo każdy, sławiąc go, mówił sobie w duchu: „szalony to człowiek, że rzeka się życia prawdziwego, aby żyć z księgami...”

Zdarzyło się, że król Daryusz, który miał za małżonkę kobietę tak piękną, jakiej nigdy oko ludzkie nie widziało i ku jakiej nigdy serce ludzkie nie płonoło, — niespodzianie przestał ją kochać.

I wyrzucała mu ona brak jego miłości, mówiąc: „Czyż jest kto na świecie, kto oparłby się mojej piękności?”

A Daryusz na to nie mógł jej nic odpowiedzieć, lecz tylko wdychał pokryjomu, aby mogła nadejść ta chwila, w której królowa oddałaby mu jego pierścień z powrotem, uwalniając serce jego z więzów obowiązku.

Zauważyli dworzanie ten smutek Daryusza i jego tajne pożądanie zmiany. Rzekli mu więc: „Królu! zgódź się na to, co rzekła królowa. Powiedz, że powrócisz jej łaskę swą, skoro istotnie nie znajdzie się ani jeden człowiek, któryby pogardził jej pięknością.”

„Ale czy się taki człowiek znajdzie, któryby się oprzeć mógł jej wdziękom?” rzekł król stroskany.

Oni zaś milczeli chwilę w zakłopotaniu, kręcili głowami i mówili spoglądając na siebie: „piękna jest.” Aż wreszcie jeden rzekł: „Silniejsze od człowieka jest złoto. A silniejszy od złota jest strach śmierci. Ogłoś, królu, że kto oprze się wdziękom królowej, temu dasz tyle złota, ile sam unieść zdoła. Kto zaś, podjąwszy się próby, dałby się pokonać jej wdziękom, ten haniebną niech zginie śmiercią. A zapewne się znajdzie takich dużo, którzy pogardzą pięknością królowej — i będziesz wolny, królu. Królowa, której piękność nie przewycięży potęgi złota i potęgi śmierci, nie jest godna, aby być twoją małżonką — to jej każesz powiedzieć, królu, wtedy.”

Daryusz zrobił tak, jak mu doradcy rzekli. I królowa przyrzekła, że wróci pierścień Daryuszowi, gdy piękność jej bezsilną się okaże. Ufną bowiem była w potęgę swej piękności.

I nie omyliła się. Nikt bowiem z mężów państwa Daryuszowego nie znalazł w sobie dość siły, aby oprzeć się pokusie, cho-

ciaż każdy wiedział, że głową przypłacić musi zwycięstwo królowej. Bo rodzaj ludzki wogóle jest słaby, a już najslabszym z rodzaju jest męska jego połowa, skoro dojdzie do pełni swych sił.

Więc co dni parę pojawiała się na flankach murów miejskich nowa głowa ścięta, świadcząc o tem, że piękność pogardzonej przez Daryusza królowej jest silniejsza od strachu przed śmiercią...

A z dniem każdym twarz Daryusza stawała się posepniejsza.

„Czyż niema na świecie nic silniejszego od piękności kobiecej?“ rzekł razu pewnego z wyrzutem do swych dworzan.

A królowa, która przy tem była obecna, powiedziała z uśmiechem zwycięskim: „Szukaj, królu!“

Tupał z gniewem Daryusz, aż pobladły twarze dworzan i wybuchnął: „Czyż w istocie niema nikogo, ktoby potrafił odepchnąć czarę rozkoszy z rąk tej czarodziejki?“

A ona rzekła, spoglądając wokoło spojrzeniem, pod którem dreszcz wszystkich przeszedł: „Spróbujcie!“ i miarowym krokiem wstąpiła na stopnie swego tronu. A potem, powoli, ruchem kapłanki, odpięła klanrę i pas rozwiązała... Powoli zaczęła się zesuwać szata z jej ramion, aż u jej stóp opadła. I stanęła tak królowa—jak posąg, za całe okrycie mając bujne zwoje włosów,— i wieniec na skroniach...

Zachwytu krzyk wydarł się z piersi wszystkich. Lecz ona położyła palec na ustach na znak milczenia. „Czy znacie człowieka—rzekła—który by oparł się potędze mej piękności? Mówcie!“ „Niema! niema!“ wołali ze wszystkich stron dworzanie, zapominając o obecności Daryusza.

„Szukajcie, myślcie, bo za dni parę termin, wyznaczony przez króla upływa“ rzekła królowa.

Był wśród grona dworzan jeden młody dworzaniec, który był uczniem Sakya-Muniego. Ten rzekł, zginając kolano: „Jedną znam tylko potęgę, która mogłaby się tu okazać silniejszą: *wiedzę*, i jednego tylko człowieka, któryby był zdolny stawić opór potędze piękności królowej.“

Daryusz, żywo podniósłszy wzrok na mówiącego, pytał: „Kto to?“

„Mędrzec to twój: Sakya-Muni,“ brzmiała odpowiedź.

Ona, usłyszawszy to imię, klasnęła w dłonie i służba wnet się zjawiała.

„Zastawcie stoły do uczyty, idźcie powiedzieć Sakya-Muniemu, że królowa czeka na niego, ofiarując mu z rąk swych czarę wina.“

Zaledwie zajęła królowa swe dawne miejsce, gdy powrócili służdy z odpowiedzią: „Sakya-Muni życzy królowej zdrowia i spo-

kojnego snu i każe powiedzieć, że niema czasu, czyta bowiem w tej chwili traktat o nieśmiertelności duszy!...”

Zapanowała cisza. Lecz ona skinęła ręką pogardliwie i rzekła: „Idźcie do Sakya-Muniego i powtórzcie mu moje słowa: Jeżeli Sakya-Muni jest mędrce, to mu powinno być przecież obojętne, czy czyta traktat o nieśmiertelności duszy w samotności, czy w mojem towarzystwie.“

Po niedługiej chwili Sakya-Muni stanął na progu:

„Pozdrowienie Ci! piękna królowo — rzekł. — Przychodzę, aby ci dać dowód, że dla prawdziwego mędrca — kamień pod głową, czy pierś najpiękniejszej kobiety — to wszystko jedno!“

„Słusznie cię zowią mędrce — odrzekła królowa. — A więc powiedz mi, proszę, prawdę: czyliż twe oko nie widzi w mej piękności żadnej cząstki nieśmiertelnego Piękna, przed którym się korzy mędrzec? Odpowiedz mi na to pytanie...?“

To rzekłszy, objęła go miłosnem ramieniem, zrobiła miejsce obok siebie na tronie i z kunsztem azyatyckich miłośnic odśloniła mu się bardziej, niżby człowiek śmiertelny nie miał żądać więcej, a zamało, aby się mógł zadowolnić tem, co widzi.

Sakya-Muni pozostał nieczuły. Spoglądał tylko na nią spojrzeniem tak głębokiem, że przeszywało ono ją na wylot, tak jak promień słoneczny przeszywa tafłę szklaną, nie zatrzymując się na świecącej powierzchni. I odrzekł na jej pytanie:

„Spojrzyj na kwiat! Jego piękność nosi to samo piętno nieśmiertelności, co i twoja, — ale obie jednakowo przemijają. *Piękno* jest wiecznem, — ale *ciato* więdnie i gnije.“

A jej rumieniec upokorzenia wypłynął z falą krwi na policzki.

„Idźcie!“ rzekła do obecnych: „chcę zostać sama z Sakya-Munim.“

I wyszli — a ona pozostała sama z filozofem. I nikt nie był świadkiem jej upokorzenia, gdy Sakya-Muni wczesnym rankiem powstał z łoża, owinał się w szatę i poszedł, jak przyszedł: — obojętny i niewzruszony.

Podczas, gdy Sakya-Muni powracał do domu w niewzruszonym spokoju, królowa pozostała w najgłębszem upokorzeniu. I zanim zdołał Sakya-Muni dojść do swego domu, dwóch gońców wybiegło z pałacu królowej. Pierwszy wysłany był do Daryusza, a drugi do Sakya-Muniego, mędrca o niewzruszonym sercu. Pierwszy niósł Daryuszowi pierścień jego, dany niegdyś na znak wierności jego małżonce, — a drugi: niósł Sakya-Muniemu skrwa-wiony sztylet.

Królowa nie chciała przeżyć swego upokorzenia.

*

*

*

Od czasu tego wypadku sława Sakya-Muniego wzrosła niepomieranie. Nazywano go największym mędrcem, człowiekiem o kamiennem sercu. On zaś pozostał nieczuły na pochlebstwa i zmianę w nim zauważyć można było jedynie o tyle, że coraz trudniej przyjmował młodzieńców na uczniów i zanim którego przyjął, badał zawsze zalety serca i umysłu każdego.

Stanął otóż przed nim dwóch młodzieńców, którzy chcieli wejść do grona jego uczniów. A każdego wziął Sakya-Muni osobno na badanie i pytać począł młodzieńca pierwszego.

„Czy czytałeś, młodzieńcze, księgi Pieśni?“

Ten zaś odrzekł śmiało: „Czytałem je, o uczony Sakya-Muni!“

„A czyś czytał księgę Obyczajów?“

„Czytałem!“

„A księgę świętych obrzędów?“

„I tę również czytałem.“

„A to, co piszą starożytni uczeni o sławnym Laotse, czyś też czytał?“

„Czytałem i to,“ odrzekł śmiało młodzieniec, który dnie spędzał na czytaniu książek.

Sakya-Muni skinął z zadowoleniem głową i zapytał: „Czyś czytał też i księgi Dalai-Lamów,—od pierwszej do ostatniej?“

„Czytałem,“ rzecze uczeń.

„Wszystko to uważnie i dokładnie przeczytałeś, nic nie zamiedbując?“

„Wszystko!“

„Jeśliś tedy wszystko przeczytał—rzekł Sakya-Muni—to nie ty do mnie, ale ja do ciebie powinienem iść na naukę; bo ja tego wszystkiego, co mówisz, nie przeczytałem. Odejdź odemnie w pokoju.

Boję się bowiem człowieka, który mówi, że każdą z ksiąg, czytania godnych, przeczytał; zaś głupim zowie człowieka, który o każdej z tych ksiąg, czytania godnych, mi mówi: przeczytałem ją.“ To rzekłszy, Sakya-Muni potem pytał drugiego młodzieńca:

„Czy czytałeś księgę Pieśni?“

„Nie czytałem.“

„Idź, przeczytaj i powróć.“

Ów poszedł, a przeczytawszy, wraca.

Pyta go Sakya-Muni: „Czyś czytał księgę mądrości?“

„Nie czytałem.“

— „I chcesz zabierać głos w towarzystwie ludzi uczonych?“

Ów nic nie odpowiedział, lecz poszedł, przeczytał i wraca. A mistrz go pytał znów o nową księgę, której on nie czytał. I trwało to nie raz, nie dwa, lecz kilkakroć. Wreszcie rzekł młodzieniec: „Zanim mnie pošlesz, abym czytał nowe księgi, pozwól na jedno pytanie.“

— „Mów!“

„Czyś czytał, uczony Sakya-Muni, trzecią kartę „Gazety Babilonu“ z przed ośmiuset lat?“

Odrzekł na to Sakya-Muni: „Nie.“

„Pozwól, abym ci powiedział, że są tam rzeczy nader ważne.“

Sakya-Muni potwierdzająco skinął głową i rzekł:

„Dla mędrca niema rzeczy błahych — bo każdy pyłek przemawia do niego tak samo głośno, jak tygrys ryczący w zaroślach.“

„Czy zaczniesz czytać „Gazetę Babilonu“ z przed ośmiuset lat, karta po karcie, o mądry Sakya-Muni?“

— „Wyrzekłem się tej myśli, rzecze Sakya-Muni, bo życie za krótkie na to.“

„Ja też wyrzekłem się myśli przeczytania tych wszystkich ksiąg, które mi słusznie zalecasz, jako przeczytania godne,“ rzekł na to młodzieniec.

Sakya-Muni zamyślił się głęboko i rzekł po chwili ze smutkiem:

„Masz słuszność, młodzieńcze. Bo uczony jest — jak pszczoła, która wyleciała z ula, aby miód zbierać: i zaledwie zebrała miód z paruset kwiatów, a już czas wracać do ula. Alboż jest pszczoła, któraby ze wszystkich kwiatów miód zebrała, które się do niej uśmiechają na łące?“

To tylko dziecko wyciąga rączki do *wszystkich* kwiatów: człowiek dorosły bierze kwiat *jeden*. A gdy się jego wonią nasyć, — drugi.

Ja byłem dotychczas owem dziecięciem, — zakończył Sakya-Muni — i teraz to dopiero spostrzegam.

I teraz dopiero spostrzegam, na czem polega mądrość: nie na mnogości przedmiotów, które badasz, nie na odczytywaniu tego, co napisali nasi poprzednicy... Nie! Kto chce być mędrcem, ten powinien umieć czytać w żywej życia księdze!...“

*

*

*

Od tej chwili dokonał się zwrot w pojęciach Sakya-Muniego. Księgi zapyłone porzucił, nazywając je grobowcami zmarłych myśli: — i starał się czytać w żywej życia księdze.

Sakya-Muni badać począł rośliny i twory różne żyjące: lecz spostrzegł wkrótce, że oko ludzkie jest bardzo niedoskonałym narzędziem badania, obejmuje bowiem tylko pewną ograniczoną skalę wielkości: istnieją zaś takie przejawy wszechbytu, że oko ludzkie z wahaniem się przed nimi cofa, nie mogąc ich objąć spojrzeniem i cofa się przed nimi dopokąd rozmiar dzielącej je od nich przestrzeni nie zmniejszy ich w perspektywie. A są też rzeczy tak małe, że oko ich nie dostrzega.

Sakya-Muni uzbroidł się w soczewkę i badać począł twory świata aż do najmniejszych.

Lecz im głębiej wnikał Sakya-Muni swym wzrokiem w tajniki wszechbytu, tem jawniej odkrywały się przed jego wzrokiem nowe światy.

I rzekł raz do ucznia swego ulubionego, Sakya-Muni:

„Patrz, oto schwytałem lotny pyłek, który zaledwo dostrzegalny jest dla oka ludzkiego, gdy na fali powietrznej płynie, jakgdyby popędzany promieniami słonecznymi. Wziąłem go pod szkło powiększające i stał się wielki, jak góra! Widzę, że aby go zbadać wszechstronnie, trzeba ograniczyć badanie do jednej jego części: biorę więc pyłek z tego pyłka i kładę pod jeszcze większą soczewkę — i cóż widzę? Ze ten pyłek pyłka jest całym światem dla siebie, — a gdybyśmy mieli dostatecznie silne szkła, zapewnebyśmy ujrzeli, że daje u siebie przytułek tysiącom żywych stworzeń, z których każde dla siebie samo jest całym światem... A w ten sposób łańcuch idzie z nieskończoności w nieskończoność, a my biednym rozumem naszym tylko parę ogniw środkowych tego łańcucha ogarnąć możemy.“

Sakya-Muni się zamyślił, to rzekłszy. Bo widział, że daremnieby się wysilał, chcąc coraz większe szkła zastosować w miarę powiększania się przedmiotów. Wreszcie nagłym ruchem cisnął o ziemię szkło powiększające i podeptał je nogami.

A jego uczeń rzekł zdumiony: „Co czynisz, mistrzu?“

Sakya-Muni zaś odpowiedział:

— Chcemy nieskończoność dzielić, głupi, i dziwimy się, że ona się nam w rękach dwoi!

Wszystko, co z ręki Boga wyszło, jest nieskończonością w miniaturze!... Wiem teraz, wołał Sakya-Muni dalej, na czym polega prawdziwa mądrość! Nie na badaniu pojedynczych przejawów życia, bo każdy z nich jest nieskończonością sam w sobie,—

ale na uchwyceniu *myśli* życia, na zrozumieniu związku, co łączy te wszystkie przejawy w jedną całość. Zaś, aby ten sens życia pochwycić, nie trzeba szkieł powiększających: dość oczy szeroko otworzyć! Nie chodzi o to *co* widzisz i na *co* spoglądasz, ale o to chodzi, *jak* spoglądasz!

Bo jakim okiem spoglądasz na świat, takim też jest świat dla ciebie!

I od tej chwili Sakya-Muni począł na świat spoglądać okiem, szukającym wyłómczenia wielkiej tajemnicy życia.

Lecz coraz chmurniejszem było spojrzenie jego, bo spostrzegł coraz to jawniej, że treścią życia jest — ból...

Przed oknami jego mieszkania rosły krzewy, splatając swe gałęzie tak, że tworzyły, jakby szpaler okryty zielonością.

I ujrzał pewnego razu Sakya-Muni z okna swego, że w gęstwinie para ptasząt uwiła sobie gniazdko. Pilnie więc patrzył na życie tych dwojga istot, aby się uczyć mądrości życia.

I widział, że wylęgło się sześć piskląt. Ale zanim się opierzły, jedno z nich wypadło z gniazdka na ziemię. Sakya-Muni widział usiłowania nieszczęśliwej matki, chcącej swe dziecię napowrót wciągnąć do gniazdka, lecz usiłowania te były bezowocne. Widział potem, jak co chwila przylatywała z gniazdka na ziemię, aby swe nieszczęsne dziecię nakarmić i ogrzać, lecz skoro nadszedł wieczór, musiała biedna podążyć do swych pięciu piskląt, aby te nie zmarły, a pozostawić szóste na łup zimna.

Wczesnym rankiem widział Sakya-Muni, jak całe procesye mrówek obsiadły nieszczęsne opuszczone pisklę, które jeszcze było żywe, choć nawpół obumarłe z zimna. A mrówki zaczęły pisklęciu najpierw wyżerać oczy, potem zaś weszły do dzióbka i pożarły język — a ono jeszcze żyło.

Widział potem Sakya-Muni, jak z pozostałych pięciu jedno w locie schwytał jastrząb, gdy się uczyły fruwać pod okiem matki. Pozostało ich więc tylko cztery. Lecz i z tych czterech jedno padło w oczach Sakya-Muniego ofiarą, zanim zaczęło żyć naprawdę bo je schwytał wielki kot angorski i pożarł, pomrukując.

„I w czemże innym tkwi myśl życia — jeśli nie w bólu?“ — pytał Sakya-Muni — „I co jest warte wobec tego życie, jeśli wszystko, co się rodzi, rodzi się poto, aby cierpieć? Za co? Dlaczego? Dlaczego życie nie toruje sobie innej drogi, lecz kroczy drogą nieśmiertelnego bólu?“

I poszedł Sakya-Muni do skrzyni, w której przechowywał swą odzież, i wydobyl swój stary płaszcz pielgrzyma. A wydo-

bywszy go, spojrzął nań, jak się na dobrego przyjaciela spogląda, który w żadnej złej chwili nas nie zawodzi... A łza błysnęła w oku Sakya-Muniego, gdy zrzuciwszy swą szatę, przyodział się w ten płaszcz i poszedł na wielką Drogę Pielgrzymów...

*

*

*

I oto znalazł się Sakya-Muni znowu na drodze Pielgrzymów, — o jedno bolesne rozczarowanie bogatszy.

A idąc, złorzeczył naturze temi słowy: „Naturo, wyrodna matko, nie matką, ale macochą raczej jesteś dla wszystkich żyjących! Nie szczodrobliva, ale rozrzutna szafarko życia, czemuż z pełnej dłoni siejesz posiew życia, jeśli się karmisz trupami? — Ty jesteś, jak ów handlarz niewolników, który dla pewnego króla miał dostarczyć ich stu; lecz zamiast stu zabrać na swój okręt z cudzoziemskiego wybrzeża, zabrał ich trzystu, mówiąc, że część ich nieuchronnie w drodze umrzeć musi. Rozdzielił więc jedzenie pomiędzy trzystu, które zaledwie dla stu wystarczało; i pomieszczenie, przygotowane dla stu, przeznaczył na trzystu. Dowiózł na miejsce istotnie tylko stu, bo reszta poumieraała z głodu i z braku powietrza; ale i ci, których dowiózł, w złym byli stanie... Czyż nie mądrzej i przezorniej byłby uczynił, gdyby odrazu tylko stu był wziął ze sobą i zaopatrzył ich we wszystko? Cel byłby lepiej osiągnięty, a żniwo śmierci nie tak obfite! Tym handlarzem niewolników jesteś ty, bezlitosna Naturo!“

Tak mówił Sakya-Muni, idąc przed siebie z wielkim łolem w sercu, a w spojrzeniu mając niewymowną gorycz.

A słyszał słowa i myśli te Bráma. I zjawił się nagle obok niego, aby mu rzec: „Czemu złorzeczysz nadaremnie temu, czego twój rozum wcale ogarnąć nie jest w stanie?“

A Sakya-Muni skarżył mu się na nędzę życia słowami, od których pobladłby każdy ze śmiertelnych, gdyby je usłyszał: zbyt wiele bowiem goryczy zawodów nagromadziło się w jego sercu.

Lecz Bráma rzekł tylko:

„Wobec mądrości wiekuistej, mądrość ludzka i ludzka głupota — jedno jest.“

Milczał długo Sakya-Muni, zanim się odezwał w te słowa:

„A jednak szczęście nie jest chimera, wielki Bráma. Bo serce tęskni za szczęściem, jak za utraconym rajem. Więc raj ten istnieć musi. Człowiek się myli jedynie co do drogi, ale nie co do celu. I jeśli mnie zapytasz, wielki Bráma, gdziebym go teraz szukał, to ci odpowiem: Nie w mądrości, bo mądrość ludzka błahą jest, jakoś rzekł.“

„Więc gdzież?“ — zapytał Bráma.

A Sakya-Muni, rumieniąc się, odrzekł: — „Wszak ci wiadomo, o wielki Bráma, że żona Daryusza odebrała sobie życie, skorom pogardził jej pięknością; jako mędrzec obojętnie przeszedłem wobec piękności, bo moja dusza w inną stronę dążyła. W tej chwili jednak żal mi tego, czem pogardziłem niegdys; i pytam się siebie samego, czym nie przeszedł może nieświadomy obok szczęścia, które mi samo się rzucało w objęcia? Bo człowiek często przechodzi, jak ślepy obok swego szczęścia, goniąc za niepochwytą ułudą.“

Noszę w sobie niezaspokojone pragnienie — w przeszłości. Człowiek — to niezbadane stworzenie...

I dlatego, jeśli znalazł łaskę przed Twojemi oczyma, daj mi najpiękniejszą i najgodniejszą miłości ludzkiej kobietę; zapal w mem sercu płomień najgorętszej miłości, do jakiej człowiek jest zdolny...“

Z uśmiechem spojrzął na niego Bráma i rzekł: „Stanie się, jak chcesz, Sakya-Muni.“

I zniknął.

A w tej chwili rozpoczął Sakya-Muni nową tragedję swego życia i — tragedję miłości.

Tragedya miłości.

Sakya-Muni szedł po Wielkiej Drodze Pielgrzymów, rozmyślając nad obietnicą Brány. I mówił: „Miłość jest w życiu człowieka tajemniczym kwiatem paproci, który otwiera w sercach ludzkich zamknięty skarbiec szczęścia — Bo człowiek swe szczęście nosi w sobie, a nie czerpie go z zewnątrz: i tylko trzeba mieć klucz czarodziejski do otworzenia skarba; tym kluczem jest miłość.“

Gdy rozmyślając w ten sposób Sakya-Muni szedł przed siebie, zbliżył się ku niemu niezwykły orszak. Była to ONA.

Gdy orszak ten mijał Sakya-Muniego, pielgrzym stanął przy drodze nieruchomo, spuściwszy głowę z uszanowaniem ku ziemi. Lecz w chwili, gdy księżniczka spojrzała przypadkiem na niego, z jego oczów trysnęło ku niej spojrzenie, jak nagły blask błyskawicy. A od tego blasku zapalił się w jej sercu pożar wielki. Zapłonila się, spuściwszy oczy, a potem znów podniosła wzrok ku niemu. On stał w postawie pełnej uszanowania, jak przystoi wobec królów ubogiemu pielgrzymowi, który znaczy na świecie tyle, co pyłek lotny kurzu na wielkiej Drodze Pielgrzymów.

A gdy ona spojrzała na niego, spostrzegła, że i w jego sercu zrodził się na jej widok płomień...

Oboje się zarumienili, zamieniwszy spojrzenia.

I księżniczka skinęła na swych niewolników: „Zatrzymajcie się!“ Skoro się palankin zatrzymał, ona zstąpiła na ziemię i wyciągnęła dłoń ku pielgrzymowi: „Pielgrzymie,“ rzekła „wielki duch przemówił do mnie z twej twarzy, choć lichem jest twoje odzienie. Przyjmij ten pierścień z mej ręki.“

I zesunęła z palca kosztowny sygnet. On zaś przykląkł na jedno kolano przed nią i rękę jej ująwszy w swe dłonie przyłożył do drżących swych warg.

Ona się zapłonila i cofnąć chciała dłoń swą, ale to trwało mgnienie oka: bo w następnem mgnieniu pozostawiła ją w jego rękach, przy jego ustach.

Pielgrzym podniósł po chwili ku niej spojrzenie. Ona znów spuściła przed nim oczy drżąc cała i cała płonąć.

I Sakya-Muni poznał, że nadeszła chwila, kiedy spełnić się miało dla niego przyrzeczenie Brány.

„Księżniczko! — rzekł Sakya-Muni — człowiek napróżnoby chciał zmienić to, co napisane jest o jego losach w gwiazdach.

A napisane jest w twoich i moich oczach, że należymy do siebie nawzajem. Więc choćbym był ostatnim z niewolników, a nie wolnym człowiekiem, będziesz moją skoro tak napisane...“

Ona zaś rzekła ze smutkiem: — Wiele serc łamie bezwzględny los... Nad nami los wyrzeź już wyrok... Tu siły ją opuściły i zalała się łzami.

Księżniczka była jedynaczką. Jej ojciec był już stary i chciał złożyć rządy w ręce zięcia. Lecz księżniczka nie chciała nikomu oddać rękę, nie kochając. I biegły lata, a ona odmawiała ręki każdemu. A wobec nalegań ojca, rzekła: Oddam swą rękę temu, kto mi przyniesie z zamorza wielką czarną perłę, o której legenda mówi, że nie odnajdzie jej nikt tylko ten kto najszczerzą miłością ukocha kobietę wybraną. A czyje uczucie nie będzie szczere, ten padnie ofiarą niebezpieczeństw podróży.

I od owego czasu wielu poszło w tę podróż i wielu przypłaciło życiem swą zuchwałość, inni zaś zwrócili z pół drogi. A ona wtedy przysięgła, że nie wyjdzie nigdy za mąż, chyba za tego, kto jej przyniesie czarną perłę z za morza.

— A tak więc, Sakya-Muni, pomiędzy nas oboje sama postawiłam przeszkodę nieprzepartą! — zakończyła księżniczka.

Lecz Sakya-Muni rzekł: — Żegnaj mi i bądź mi wierna. Idę szukać czarnej perły z za morza.

A ona błagalnem go objęła spojrzeniem, mówiąc: — zostań.

— Bądź więc moją — rzekł Sakya-Muni.

— A przysięga! — zawołała ona, pochylając głowę.

— Żegnaj więc. Wrócę z perłą.

I poszedł. —

Sakya-Muni czuł, że nieprzeparta siła jakaś pchać go poczyna w podróż po zdobycie czarnej perły z za morza.

Z tą siłą mu narzuconą nie wchodził w układy, czując, że ulegać jej musi. A ulegać jej, iść za jej rozkazem było mu słodko. Czuł, że musi: czy chce, czy nie chce. Musi. To jest prawdziwa miłość.

I Sakya-Muni szedł bez obejrzenia się poza siebie, wziął w rękę kij podróżny i szedł za morze. Po perłę.

Lata mijaly w podróży. Przedzierał się przez krzewy, osty, zarośla. Płaszcz mu wichry poszarpały, ciernie pokrwawiły ciało, a on szedł, pielgrzym, zacisnąwszy zęby, po zamorską perłę, skoro się tak spodobało pięknej jego królowej.

A w ciągu podróży spotykał raz po raz gońców, co mu wieści nieśli z dawnego świata:

Sakya-Muni! — tak mówił goniec jeden, zdyszany przypałośszy do stóp pielgrzyma: — Twój ojciec umiera i chce berło zdać w twe ręce! Wróć do domu!

Sakya-Muni zaś mówił, odpychając go: — Idę po czarną perłę, nie zastępuj mi drogi!

A później drugi goniec przybył i mówił: — Sakya-Muni! Twój ojciec zmarł i pozostawił królestwo bez rządów. Twoja matka leży na śmiertelnym łożu, a najeźdźca kraj twój zajął!...

Sakya-Muni zaś rzekł mu: — Precz!

...A idąc po swej drodze ciernistej i stromej, Sakya-Muni śpiewał, myśląc o pięknej królownie:

— O, zbliż się do mnie, podaj mi rękę, posłuchaj bicia serca mego: ono dla ciebie tylko uderza.

Mych marzeń wiotki kwiecie, promieniu mgieł mego życia, kłatwo wieczna mych myśli! Przyjdź do mnie!

— Otulę cię miłosnym uściskiem, czołem bić będę przed tobą, dumny będę potrząsając mojami kajdanami, — bo każdy ich brzęk głosić będzie twą potęgę nademną... Nie opieram się już, nie walczę ze sobą, nie tłumię szatu; bierz mnie!

— Pytasz, skąd ten żar, co płonie w mej piersi?

— Połóż dłoń na mojem rozpalonem czole... O, jak płonie! Nieprawdaż? Jakby mi szalał pod czaszką ów pożar, co kiedyś w przyszłości światy ma spopielić na nicłość...

— Zajrzyj mi w rozszerzone źrenice... — O, ile tam febrycznego ognia! — Spoglądając na nie, czujesz się, jak zawieszona nad krawędzią krateru wulkanu, nieprawdaż?

— Dotknij mej ręki i patrz, jak drży i dygoce każdy nerw, każda żyła. Jakby krew, co w nich krąży, nagle wstecz chciała krążyć, szukając wciąż, szukając napróżno — ciebie! Czy słyszysz, jak gwałtownymi uderzeniami serce mi kołacze? Jak gdyby w tej chwili tu we mnie uderzał puls wszystkich pokoleń, które kiedykolwiek kochały i pragnęły kochania!

— Nie żądaj, abym w tej chwili był panem siebie. Wpierw oddaj mi mój wzrok, mój słuch, — moje wszystkie zmysły, opętane w tej chwili przez ciebie. Bo ja nie widzę nic, — prócz ciebie; nie słyszę nic — prócz twego przyspieszonego oddechu, nie oczekuję niczego, prócz jednego jedyne słowa z twych ust.

— Chociaż jesteś w oddali, widzę cię przecież wciąż przed sobą.... Twa postać, jak widmo zatopionego okrętu na zaklętych falach, kołysze się wciąż na falach mej rozpalonej wyobraźni: gdy chciałbym się do ciebie zbliżyć — wtedy ty oddalasz się odemnie,

uciekasz przed dotknięciem mych dłoni — w dal i we mgle oddalenia nikniesz, bledniesz, jak miraż; a gdy strudzony, zmęczony bezsilnem szamotaniem się, zamykam oczy i mówię: — pozostaw mnie w spokoju, odejść — ty wtedy stajesz przy mnie blisko, i wyciągasz ręce do uścisku i poddajesz usta do pocałunków.

— Wszystko, na co spojrzę, uśmiecha się do mnie twoim uśmiechem; każdy kwiat mi mówi o tobie, każdy szmer nocy powiernikiem moich tajemnych myśli, które wszystkie poczęte w pożądaniu ciebie — ku tobie złączają w wiecznym dążeniu i, znaleźć cię nie mogąc, jęczą...

— Straszna, o straszna to męka w ciągu długich godzin nocy bezsennych myśleć wciąż o tobie z pożądaniem niezaspokojenem. Te pocałunki, które w półśnie twój cień ze mnie wysysa, jak wampir, palą mnie ogniem piekieł...

— Twoje imię gdy szepczę — uspokojenia, lecz zarazem i męki doznaję: klątwę mych myśli, celu mego pożądania!

— Całe moje ciało wyrwa się ku tobie, pożąda cię każda kropla krwi w mych żyłach. Każde moje spojrzenie, które ku tobie biegnie, jest miłosnym uściskiem, oplata cię długą, namiętą, gwałtowną pieczęcią: i rumienisz się pod moim spojrzeniem, bo czujesz, że ono cię opasuje uściskiem, któremu poddać się musisz, chcesz czy niechcesz: ono silniejsze jest od ciebie.

— Jestem już tylko jakby atomem, który nie istnieje życiem własnym, lecz wiecznie dąży ku tobie, jako do swego źródła, siłą nieprzewyciężonej atrakcyi.

— Zlituj się!

— Pragnę, pożadam, schnę, — jak usycha na upale kwiat więdnący, pożądając choćby nawałnicy, choćby burzy; woląc raczej, aby wicher połamał jego łodygi i postrzepił listki, niż aby trwała dłużej ta męka... I mówi do chmury gradowej: zniszcz mnie, złam mnie — ale nasyć mnie! Lepiej być złamanym w nasyceniu, niż usychać w pragnieniu.

— Z bolesnego konania mych zmysłów wyrwij mnie: przyjdź do mnie, bądź moja!

— Myśl o tobie, jak ołów płynny krąży po moich żyłach. Całe piekło się sprzysięgło, aby szaleńcem namiętności zatrueć mój oddech, moje spojrzenie, aby wszystkie moje zmysły opętać.

— Zdejmij ze mnie tę pieczęć piekielnych czarów, przyjdź do mnie, czarodziejko!

— Chcę żyć! Jedną minutę chcę żyć naprawdę, żyć zatopiwszy się tylko w teraźniejszości, zapomniawszy o przeszłości, nie dbając o przyszłość: takich chwil żądam od ciebie — i takie chwile

posiadasz w skarbcu swej piękności, — chwile, gdy znika z przed oczu przeszłość i przyszłość, a chwila teraźniejszości, krótka jak sekunda, zda się wiecznością całą...

— Błagam u stóp twych! — Litości!

— Rzuć mnie później, jak rzucasz kwiat zwiędły, ale pozwól, abym się raz jeden jedyny w życiu upił tobą do utraty zmysłów.

— A wspomnienie tej chwili na resztę życia mi wystarczy.

*

*

*

Tak śpiewał Sakya-Muni o pięknej księżniczce, dążąc po czarną perłę. Aż wreszcie wybiła dla niego godzina, gdy stanął u swego celu i perłę pochwycił w swe dłonie. Pieścił się z nią, jak z kochanką.

A wracając uskrzydłonym pędem ku Niej, swej Upragnionej, Wyśnionej, Tęskniącej, mówił:

Gdybym jej przy życiu już nie zastał, złożyłbym perłę na jej grobie, i na płaszcz pielgrzyma ułożył się u nóg jej grobu do snu — wiecznego...

Lecz ona żyła, — żyła piękniejsza jeszcze i bardziej królewska.

Wszedł do jej pałacu i rzekł: — Idę z perłą, puście mnie przed panią waszą!

A gdy przed nią stanął, ona długo wpatrywała się w jego zorane cierpieniem oblicze.

— Więc masz perłę?

— Oto jest, królowo moja i pani!

— Przychodzisz po zapłatę? — zapytała, spłoniwszy się, jak dziewczę w pierwszej wiośnie.

— Nie, królowo, — odrzekł. — Patrz, kładę perłę na stopniu twego tronu i uderzeniem młota w puch ją rozbijam! I tylko proszek się z niej został, marniejszy od prochu, co pokrywa moje obuwie pielgrzyma.

— Chcesz mnie ukarać za lata swych cierpień w podróży? — rzecze ona.

— To, co nazywasz cierpieniem, pani, było mi rozkoszą, bom twój obraz nosił w duszy. A zniszczyłem perłę — aby nie stała między nami. Ja cię požadam każdą kroplą krwi mojej, ale tak,

królowo, abys mnie wzięła dla mnie, a nie dla perły. Byłbym zazdrosny o perłę — więc ją zniszczyłem. Bądź całkowicie moja, albo wcale nie!

A ona, otworzywszy ramiona, rzekła: — Tyś mój, Sakya-Muni, tyś mój! Potem, skinąwszy na niewolnice, aby podały jej wonności, przysposobiła kąpiel dla niego, i namaściła całe jego ciało i zdjąwszy wieniec róż ze swych skroni, włożyła go na skronie Sakya-Muniego, mówiąc: — Tyś pan mój, a ja służebnicą twoją chcę być, Sakya-Muni! -

I w chwili, gdy lud wznosił okrzyki na cześć Sakya-Muniego, jako wybrańca księżniczki, ona mówiła mu wtedy, zapłoniąca: — Otom gotowa na przyjęcie twoje, panie. Racz wejrzeć na mnie łaskawie...

Jeśli wiesz, pielgrzymie ludzki, co znaczy umierać z pragnienia, które ci piersi szarpie po kawale, — a potem stanąć u źródła i zaczerpnąć wody, to wiesz, czem był dla niego ten pocałunek, w którym złączyły się ich usta, — czem był mu uścisk jeden, a długi, namiętny, — mdlejący... Mgnienie oka — i wieczność cała.

I oto już minęło.

Ona drzemie teraz, wyczerpana żarem namiętności, oparłszy głowę o jego pierś, a Sakya-Muni w przestrzeń spogląda, w próżnię. Okiem znieczulonem wpatruje się w dal, jakby szukając w dalekiej przestrzeni czegoś, co w jego duszy przed chwilą było — i odeszło....

— Sza! ona nie powinna tego dostrzedz, że się we mnie coś zmieniło, żem się stał inny, — mówił Sakya-Muni do siebie.

O, jak zupełnie inny! A ona, nieświadoma tej zmiany, przytula się do niego, jakby on był czemś dla niej jeszcze!...

I Sakya-Muni myśleć poczyna o miłości:

— Ze wstrętem uciekłyby odemnie, gdyby wiedziała, że tylko ciało moje spoczywa w jej objęciach, a duch błądzi gdzieś w zupełnie innych, górnych sferach, wyzwolony z pęt, nadludzki...

— Obojętnie spoglądam na tę głowę, tak mi drogą do niedawna, na rozrzucone w nieładzie włosy, na delikatne kropelki potu, występujące na jej skroniach... Spoglądam okiem zimnem, bez uniesień, bez żądz, bez płci.

Kobieta nienawidzić musi mężczyzny, którego takie spojrzenie raz na niej spoczęło. Nie śmiem się poruszyć, aby się ona nie przebudziła. Nie zniósłbym miłości w jej wzroku...

I dziwno mi, żem ja to wszystko zrobił, com zrobił, aby za cenę tak wielką nabyć prawo tej chwili. Co za szaleństwo, pół życia lepsze w znoju i w trudzie przepędzić, sto razy bezmyślnie

odtrącić czarę szczęścia, które samo mnie szukało, — i to po to, aby teraz nie móżdż zasnąć obok tego żywego posagu! — A wątpliwość przeradza się we mnie w pewność, że to nie ja sam i nie moja wola była, co mnie wiodła przez te lata, od chwili pierwszego spotkania tej kobiety! Moje *ja* prawdziwe spało gdzieś w głębi serca, przygłuszone, utajone. Mną inna jakaś, obca wola kierowała. Gdzież więc jest moje *ja* prawdziwe?

Wtem ona się budzi i oplata go miłosnym uściskiem. Sakya-Muni odtrąca ją: — Odejdź odemnie! — Dzikim, obłąkanym wzrokiem spogląda wokoło... Ona płacze! chce go zatrzymać! klęka i za kolana go obejmuje.

— Precz, precz stąd, z tych objęć, z tych więzów chaosu! — woła Sakya-Muni: — Bráma! wielki Bráma, weź ją sobie odemnie!... Potem znowu woła: — Czym obłąkany? Czyż to obłąd szukać własnego *ja*?

I biegnie Sakya-Muni w noc ciemną, głuchą na oślepię, — a o mury opuszczonego pałacu odbija się dziki chychot szaleńca...

Sakya-Muni uszedł na wielką Drogę Pielgrzymów, a idąc, czuł, jak mu promienie pałace słońca przenikały pod czaszką i wzniecały w głowie pożar piekła; spalony gorączką język boleśnie potęrał o wyschłe podniebienie; pragnienie nieugaszone szarpało wnętrzności...

A on na to mówił: — to dobrze.

Lecz uciekwszy od świata, Sakya-Muni niósł i w samotności świat ze sobą — w duszy. Gdy był samotny, przecież jednak o jednego człowieka miał za dużo w koło siebie: — *siebie!*

Czy można uciec przed własnym cieniem? — Tak on uciekał przed tymi obcymi ludźmi, których w sobie każdy z nas nosi, — i uciec nie mógł. I Sakya-Muni wołał:

— Na progu obłądu stoję oto przed tobą, losie nieubłagany, i wpatruję się w twe oczy nieme i ślepe jak u posagu; i gdybym piorunów pęk miał w dłoni, wszystkimibym cisnął w ciebie, losie: boś mi ukradł mnie samego. A coś mi dał wzamian? — marny zlepek kurzu z całego świata!

Sakya-Muni szalał i granic nie miały jego klątwy, które miotał przeciw odwiecznemu porządkowi rzeczy. I w zapamiętaniu swem wołać począł: — O, odwieczny Bráma, wyrwij z serca mego ten cierń wątplenia w prawdziwość mego własnego *ja!* Wskaż mi, co w nas jest prawdą, a co fałszem, gdy serca nasze ogarniać poczyna szal miłości!

Bráma stanął wtedy nagle przy nim i rzekł:

„— Niewolnikami jesteście z prawieku! czemuż zgrzytacie w bezsilnej wściekłości, gdy do was przychodzi wasz pan, ukazując wam piętno waszego pochodzenia?

To rzekł Bráma.

Milczał długo Sakya-Muni, chcąc w sobie przetrwać naukę Brámy, a potem rzekł: — Natura ludzka jest taką, że człowiek każdy łatwiej przyzna swój błąd, gdy mu się nowa nadzieja uśmiecha, niż gdy nie widzi przed sobą nic, a po za sobą — tylko błędy... Więc pozwól mi, o wielki Bráma, abym, uznając moje błędy dawne, wyznał ci szczerze, że w mojem sercu zrodziła się nadzieja odnalezienia kwiatu paproci na innej, na nowej drodze. I sądzę, że tym razem rozczarowanie nie będzie mym udziałem.

A skoro Bráma dał mu znak, że ma mówić, Sakya-Muni opowiadał:

— Gdym był królem, wśród trosk panowania często znajdował pociechę, rozrywkę i ukojenie, słuchając niewyszukanych piosnek, które nucił jakiś ubogi rybak, co niedaleko pałacu siadywał na morskiem wybrzeżu, zajęty naprawianiem sieci. I razu pewnego zawołać kazałem tego człowieka przed siebie, a gdy stanął przed moim tronem, dałem mu szatę ze złotogłowu, łańcuch szczerozłoty na szyję i rzekłem: śpiewaj, usiadłszy u stopni mego tronu, aby dusza moja się rozweseliła, gdy jestem smutny; bo pieśń twoja ma cudowną moc spędzania chmur z mego czoła.

I siadł ów rybak u nóg moich, ubrany w szatę ze złotogłowu i łańcuch szczerozłoty.

Lecz chociaż chciał śpiewać, nie mógł, więc rzekł mi po paru dniach: Królu, ja nie mogę tu śpiewać, zamknięty wśród murów twego pałacu. Pieśń moja potrzebuje szumu morza i obłoków nieba.

— Dobrze, — odrzekłem na to: — idź i siadź na swem dawnym miejscu, będę cię słuchał z oddali, jakbyś był moim śpiewakiem.

Ów rybak odszedł, zasiadł na swem dawnym miejscu i rozpoczął swe pieśni. Lecz zdawało mi się, że pieśni te już nie były tak piękne, jak dawniej. Mniej było w nich serca, mniej uczucia, mniej siły...

I oto zaledwie przeszło dni parę rybak stanął znów przed moim tronem i złożył u stóp moich szatę i łańcuch, który był otrzymał z rąk moich. A oddając to wszystko, mówił: weź twą szatę, królu, weź twój łańcuch złoty, — wolną ma być moja piosenka!

— Człowieku nierozsądny, — rzekłem mu na to, — co czynisz? Czyż ci nie jest wiadomo, że całe życie pracując nad na-

prawianiem sieci, nie zarobisz tyle, ile wart jest sam tylko ten łańcuch?

A on na to odpowiedział:

— Wien o tem dobrze. Ale pieśń moją więcej cenię od wszystkich skarbów twoich, królu! Pieśni mej za wszystkie bogactwa twe nie oddam. Weź to napowrót, coś mi dał. Gdy bowiem śpiewam, a ludzie przechodzą koło mnie, każdy mówi, a jeśli nie mówi, to myśli: on śpiewa dla króla, patrzcie na łańcuch złoty na jego szyi. I gdy spojrzę wtedy w twarz przechodniów, czuję, że coś mnie dławii, a w sercu pieśni moje łkają, żem je sprzedał za złoto. Przy mojej biedzie — z pieśnią moją, jam bogatszy od ciebie, królu.

To rzekłszy, odszedł ów rybak. Sądzę więc, że ten rybak — tak mówił Sakya-Muni do Brámy — posiadał tajemnicę szczęścia, którego ja napróżno szukam. Pieśń mu była kwiatem paproci. W ukochaniu piękna, w sztuce kryje się szczęście. A więc, błagam Cię, Bráma, artystyczną duszę, ducha twórczego daj mi, abym tworzyć mógł w krainie piękna. Artystą chcę być, o Bráma!

Zwilgotniały oczy Brámy, gdy słyszał te słowa Sakya-Muniego. Położył dłoń swoją na czole jego i rzekł ze wzruszeniem: Bądź więc artystą, mój synu.

A od tej chwili zaczęła się w życiu Sakya-Muniego nowa tragedia: — tragedia sztuki.

Tragedya sztuki.

Miał stanąć pomnik wspaniały poświęcony Bogom Przyszłości.

A zapadła uchwała taka: gdy rok upłynie, wystawią artyści swe dzieła na widok publiczny, dzieła nieodznaczone, stracone będą ze skały w przepaść.

I rzekł Sakya-Muni: — Dajcie mi marmuru bryłę, i dłuto, i młot, i wszystko czego rzeźbiarz potrzebuje przy pracy! Chcę bowiem tworzyć!

— Chcesz wziąć udział w turnieju? — pytali Sakya-Muniego.

— Chcę zwyciężyć! — odrzekł on.

A wtedy oni zaczęli z niedowierzaniem spoglądać na pielgrzyma i widząc jego rumieniec rzekli:

— „Dlaczego chcesz tworzyć, jeśli się lękasz?”

— Muszę — odrzekł Sakya-Muni.

Bo każdy artysta musi. A jeśli nie musi, nie jest artystą.

Tak też *musiał* Sakya-Muni — i z tego źródła czerpał swe mistrzostwo.

I oto skoro rok upłynął, tłumy ludu przepływały pod kolumnadą świątyni, przyglądając się wspaniałym dziełom dłuta, które były wystawione na widok publiczny na podwórzu świątyni.

Ale wśród pięknych najpiękniejszym był posąg, który wyszedł z pod ręki Sakya-Muniego. Co przedstawiał, tego wieść nie mówi, lecz jedynie, że był arcydziełem.

I przed tem arcydziełem stawały tłumy, pełne poszanowania, podziwu i radości: bo każde arcydzieło, budząc podziw wobec dzieł ducha ludzkiego, zarazem budzi i poszanowanie dla tego ducha, i radość, że się na takie wyżyny wspiąć zdołał.

Takim podziwem i poszanowaniem przejęte były tłumy na widok arcydzieła z pod dłuta mistrza, widząc, że potrafił zakłąć on w marmurze tę iskrę nieśmiertelnego ognia, o której podanie odwieczne głosi, że ją człowiek bogom ukradł..

I wołał tłum przejęty podziwem: — Niech żyje Sakya-Muni! Niech żyje mistrz! Niech żyje twórca arcydzieła!

Lecz Sakya-Muni tych okrzyków nie chciał słuchać i nie wyszedł, aby za nie dziękować.

I nikt nie wiedział, gdzie przebywał mistrz w owej chwili. Bo Sakya-Muni, przez chwilę niepoznany, stał wmieszany w tłum i spoglądał na swe dzieło. Ale spoglądał wzrokiem surowym.

I ani rozweseliły go okrzyki wznoszone na cześć jego. Po chwili zaś poszedł opodal i począł rwać na sobie odzież, targać brodę, i płakać rzewnie, jak dziecko. Słyszał pochwały — i uciekł od nich: O, widzę — jęczał — widzę jasno, jak dalekim jestem od od-dania tego, com wypieścił w duszy! To też gdym ten tłum zobaczył przed posągiem, spadła mi zasłona z oczu i poznałem, com ja *im powinien był dać*.

A oni? Oni nie domyślają się nawet, jakie otchłanie noszę w sobie i mówią mi, żeim w dziele tem prześcignął sam siebie! Ten szum pochwał wstrętem mnie przejmuje! — bo oni oklaskują parodję mego ideału! — Ale czyż ja zdołam wreszcie opanować sztukę tak, aby oddać naprawdę to, co noszę w duszy?

I płakał i tarzał się w kurzu.

I aby ból swój stłumić, sięgnął Sakya-Muni po wino. Aby jednak w winie módz utopić ból, trzeba nosić ból swój bardzo płytko w duszy: kto głęboko go nosi w duszy, u tego dopiero naprawdę otwierają się wszystkie otchłanie duszy, ziejąc jak wulkany, bólem, gdy opary winne zetrą powierzchowną pleśń z jego serca.

I tak było z Sakya-Munim.

Gdy fala tłumu odpłynęła, aby przed dziełem innego mistrza składać hołd sztuce, on stanął w krążgankach i utkwivszy błędne spojrzenie w kamienną swą grupę Bogów Przyszłości podniósł w górę dzban z winem i częstował niem straconego Bożka Terazniejszości...

I tak mówił:

— Upijmy się, bracie: to jeszcze najlepsze co nam pozostało w życiu.

Upijmy się!

Gdybyś przeszedł był w swem życiu to, co ja przeszedłem, przestałbyś się dziwić, że mówię: — upijmy się!

Wiesz, co jest nieszczęściem człowieka? Powiem ci, bo wiem. O, wiem. — Nieszczęściem człowieka jest to, że szczęścia pożąda tak silnie, jak gdyby ono rzeczywiście było szczęściem — i że nosi po nim żalobę; a tymczasem to wszystko jest oszukaństwo i nic więcej: bo szczęściem nie jest szczęście, choć my po niem nosimy żalobę — prawdziwą.

Zupełnie, jak ta matka, której w kolebce podsumęto cudze dziecię: gdy to cudze umrze, ona po niem, jak po swoim nosi żalobę. Jej ból, jej męka jest prawdziwa — ale dziecię nie było prawdziwe.

Rozumiesz mnie? Nieprawda, ty mnie nie rozumiesz; zamałoś jeszcze przeszedł, aby mnie zrozumieć. Tyś bożku raz jeden tylko strącony z twego piedestału. Jam przeszedł więcej, niż ty, ja — czterekroć strącony z piedestału!

Upijmy się: to ze wszystkiego najlepsze.

Bo cóż jest w życiu prawdziwym, niesfałszowanym? Wszystko jest fałszem lub złudzeniem — a jedno nieszczęście jest prawdą.

Mówię więc: upijmy się.

Po co ci trzeźwość zmysłów? Abyś mógł tem lepiej rozpoznawać biedę życia? Abyś brał pod mikroskop tego robaka, co ci żre piersi? Abyś badał, jak szybko postępuje ten proces?

Gdy piję, nagle przedemną się otwierają bramy zrozumienia pięknej legendy Parsów, czcicieli ognia. I opowiadam o tem, jak narodziło się słońce. A ze słońca cały świat. I nie *przed* stworzeniem świata był chaos, ale po stworzeniu świata stał się chaos. Namyśl się, a przyznasz. Wokoło nas jest chaos, my tkwimy w chaosie.

Chaos — to nic, a zarazem wszystko. To wielka bestya, która z każdego kąta spogląda na nas swemi ślepiami, i której nigdzie niema.

I ten chaos chce powrócić do swego pierwotnego stanu — do nicości.

My wszyscy jesteśmy dziećmi owego chaosu, w którym tkwi wielka tęsknota powrotu do stanu pierwotnej nicości. Ta tęsknota nas zabija, odbiera nam dech; my jesteśmy jej niewolnikami, a ona w nas króluje wszechwładnie.

Upijmy się, bracie: to najlepsze ze wszystkiego. Ci, co z politowaniem wruszają ramionami nad pijaństwem, nie wiedzą jak ja się nad nimi lituję. Bo nie wiedzą wcale że ten stan oszołomienia otwiera człowiekowi furtkę do sfer zupełnie nowych, innych, gdzie... mniejsza z tem!

Oni wcale nie wiedzą, jak cudowne chwile jasnowiedzenia ma pijaństwo; oni myślą, że to jest albo ociężaty, bezbarwny sen, albo szal bez charakteru, zwierzęcy. Tymczasem naprawdę — ty jesteś bardziej sobą, niż na jawie. Dusza rozmawiać poczyną sama z sobą: widzisz siebie, prawdziwego siebie, który nic nie udaje przed tobą, lecz który jest bez fałszu i obłudy. I patrzysz mu w oczy, kładąc dłonie na ramionach. I czytasz los swój w jego oczach. Zapominasz o fałszu, o niewdzięczności, o zdradzie — a raczej nie zapominasz, owszem wiesz o tem wszystkim, ale się jedynie nad tem litujesz: oto wszystko. Nie boli cię to już,

jesteś wyższy ponadto: rozumiesz to zupełnie. Gdyby człowiek mógł zawsze rozumieć swe nieszczęście — nie byłby nieszczęśliwy.

I rozmawiasz z całą swoją duszą, i widzisz, że ona jest częścią absolutu wiekuistego.

A potem stajesz się znowu sobą i wychodzisz z pogardą życia. Pogardy życia trzeba dużo mieć w sobie, aby być sobą naprawdę. I odnajdujesz w sobie pierwiastki, o których istnieniu nawet myśl ci nie przemknęła.

Szkoda, wielka szkoda, że człowiek nie jest wcale potem w stanie odnaleźć tego wszystkiego znowu w duszy, co mu przemknie w takich chwilach, jak błyskawica. A jeśli odnajdzie—to brak mu całkowicie już tego oświelenia z góry, które sprawiło, że wszystkie rzeczy poziome rozumiał głębiej, a wszystkie głębokie przenikał z łatwością do dna. Marnują się perły ducha w ten sposób.

A potem, potem gdy się budzisz znowu z głową ociężałą i ołowianemi powiekami, pierwsze spojrzenie twoje pada na twarz starego dobrze znanego przyjaciela: u wezłowia siedzi, skrzyżowawszy ręce na piersiach—Ból i mówi ci: dzień dobry! a potem wpatruje się w ciebie długo, długo, zatapia w twym sercu sztylety swych spojrzeń, a ty pod tem spojrzeniem bledniesz.

I znowu czujesz się częścią owego chaosu, który tęskni wieczną tęsknotą za tem, czem był przed wiekami; a w sercu twem pieśń swą codzienną znów zawodzi tęsknota za powrotem do nicości...“

*

*

*

Tak skarżył się Sakya-Muni na los swój, i wyrzuty czynił życiu.

A wreszcie, spoglądając na swoje dzieło, dostrzegł, na wpół pijany winem i rozpaczając, że ono się z niego wyśmiewa...

Z poza kamiennych konturów posągu wysuwał swą twarz z uśmiechem cynicznym, jakby jakiś upiór, naigrawając się z bezsilności artysty, który w walce z ideałem upadł...

(Bo dzieło sztuki, niedoskonałe jak natura ludzka, rodzi się zawsze z upadku artysty w walce, którą on powziął ku opanowaniu ideału).

— On mi urąga! Demon wyziera z mego dzieła i urąga mi! Szydzi ze mnie! Giń więc! — wołał Sakya-Muni w szale i schwytywszy w rękę młot potężny, biegł ku swemu dziełu, aby je rozbić.

Bo ono było przed nim żywym świadectwem, że niedoskonałość jest klątwą odwieczną wszystkiego, co ludzkie.

— Giń więc!

Lecz wzniesioną dłoń jego, w młot uzbrojoną, Brama powstrzymał, nagle się pojawiwszy przy nim.

I rzekł Brama: — Co czynisz, Sakya-Muni? Dlaczego chcesz niszczyć to, co za chwilę i tak uleść może zniszczeniu? Spójrz! — i wskazał ręką na zbliżającą się grupę mężów w długich, białych, powłoczystych szatach: — oto idą sędziowie, którzy mają rozstrzygnąć o losach twego dzieła.

Na te słowa Sakya-Muni spojrział na Bramę wzrokiem, w którym malowała się niepewność, połączona z obawą: — Jakto? — rzekł, — czyż ktokolwiek rzecz może, że moje dzieło nie jest najlepsze ze wszystkich, które tu widzimy?

I utkwiał wrogi wzrok w sędziach. Spoglądał na nich, jako na nieprzyjaciół... (Bo każdy artysta nosi w swym własnym sercu najpewniejszą miarę wartości swego dzieła: on sobie samemu pozwala je ganić i swym oczom dostrzegać usterki, ale obcym oczom pozwala widzieć jedynie zalety).

Zrobiła się cisza, sędziowie bowiem oznajmiać poczęli wynik turnieju. Ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że prócz dzieła Sakya-Muniego, było jeszcze jedno dzieło, które sędziowie uznali, że godne jest zająć miejsce wybrane.

Lecz wolno im było wybrać tylko jedno dzieło. Wszystkie inne posągi prócz jednego, miały być strącone w przepaść i zniknąć w zapomnieniu.

Wezwano obu artystów, lecz żaden nie chciał dobrowolnie się zrzec prawa zwycięstwa. Sakya-Muni rzekł: — Moje dzieło stanąć musi na tem miejscu, bo to miejsce mu się należy prawem geniusza. A jego przeciwnik rzekł: — Moje dzieło w niczem nie jest gorsze od Sakya-Muniego.

I rzekł jeden z sędziów do swych towarzyszków: — Dzieło, któremu damy prawo nieśmiertelności, niechaj nosi nie nazwisko swego istotnego twórcy, lecz nazwisko tego drugiego, którego posąg zostanie strącony w przepaść! W ten sposób zostanie po

jednym dzieło — a po drugim: imię. A obaj wezmą udział w nieśmiertelności.

Rzekł na to przeciwnik Sakya-Muniego: — Zgoda, jeśli ja będę tym, którego imię przejdzie do potomności.

A Sakya-Muni rzekł: — Zgoda, jeśli moje dzieło po mnie zostanie. A mówił tak jeden, nie wiedząc, co powiedział drugi.

Sędziowie zaś rzekli: — Tego dzieło i tego imię niech przejdzie do potomności, który rzekł: imię moje niech zaginie, lecz myśl moja niech zostanie. Sakya-Muni, zwyciężyłeś!

A Sakya-Muni przypadł do stóp posagu swego i począł wzruszony zalewać się łzami: ale nie były to łzy żalu. Tak bowiem płakał Sakya-Muni, obejmując posąg uściskiem, jak płacze matka, której nagle powrócą dziecię dawno zaginione. Ona je ściska i płacze, a płacząc, śmieje się: bo dreszcz niebezpieczeństw minionych łzy jej wyciska, ale zwycięstwo pogodnej już rzeczywistości osładza te łzy uśmiechem.

Tak cieszył się Sakya-Muni, że swem poświęceniem uratował swe dzieło. Bo czuł, że kocha je bardzo, bardzo...

Dotknął go Bráma i w tejże chwili opadła z jego oczu jakoby łuska. I spostrzegł Sakya-Muni, że działał tak, jak gdyby równocześnie w swej duszy nosił dwóch ludzi, których czyny pozostają ze sobą w sprzeczności...

Rzekł więc Sakya-Muni zdumiony: — Bráma, powiedz, co się ze mną dzieje!? Rozwiąż mi zagadkę mego ja! Błagam cię Bráma!

Tyle było prośby i oczekiwania w głosie Sakya-Muniego, że Bráma mu rzekł, chcąc, aby zrozumiał istotę rzeczy:

„W dziele nienawidzisz karykatury ideału — bo każde dzieło, skoro wyszło z pod ręki ludzkiej, karykaturą być musi tego ideału, który świecił ci w myślach. Człowiek myślą swą wznieść się zdolen jest do ideału, ale czynem — tylko do karykatury. I dlatego też nienawidzisz dzieła, bo ty jeden, artysta, — ty jeden, twórca, — widzisz w niem te wszystkie braki, których w niem dostrzedz nie może żadne inne oko. Ty na dzieło spoglądasz bowiem okiem Mistrza.

Ale równocześnie kochasz swe dzieło... Bo patrząc na nie okiem mistrza, widzisz w niem po za karykaturą — czysty, wielki ideał.. I kłękasz przed ideałem, uwielbiasz w dziele ideał, nienawidząc równocześnie swego dzieła.

„W ten sposób sztuka daje człowiekowi przedsmak nieśkończoności, ale zarazem goryczą karmi serce ludzkie... Bo ukazuje utracony raj ducha ludzkiego, za którym duch tęskni od-

wieczną tęsknotą, — Ona mówi ci równocześnie: myślą szybujesz w chmurach, ale pełzasz w prochu, jak płaz nędzny...

Oto masz źródło dwoistości natury ludzkiej...

Dwoistość ta jest najpotężniejszą w artyście, artysta bowiem jest symbolem całej ludzkości, tęskniącej za utraconym rajem...

Piękno, Prawda, Nieskończoność — to jedno: to jest utraczona ojczyzna ducha ludzkiego!

A każdy artysta jest takim zbuntowanym Aniołem, — jest Prometeuszem, co wykradł Bogom z nieba iskrę twórczą, aby rozdmuchać ją w płomień wielki, mogący przyświecać ludzkości na bezdrożach w jej błędzeniu i szukaniu drogi do owej utraconej ojczyzny duchów... Ale każdemu artyście szarpie serce wieczny śp — poczucie ludzkiej nieudolności.“

Słuchał tych słów Sakya-Muni i, smutny, coraz niżej pochylił głowę. Aż wreszcie rzekł: — A jednak ja czuję, Bráma, ja czuję, że sztuka zbliża mnie do nieskończoności bardziej, niż wszystko, na co się wysila duch ludzki, dążąc do tego, co jest niedościgłe.

I mówię ci przeto w pokorze: — Ja nie wiem, Bráma, gdzie jest kwiat paproci. Ale Tyś mi rzekł, że odnajdę rozwiązanie zagadki bytu. Jakieby ono było, ja nie wiem, o Bráma! bo człowiek jest głupi...

Ale Ty wiesz, Bráma, wszystko, co przed okiem ludzkim jest zakryte; więc według twej mądrości niechaj mi się stanie: Jakoś rzekł, Bráma, że mi dasz rozwiązanie!

Uśmiechnął się na to dobrotliwie Bráma i rzekł:

— „Ludzka mowa nie posiada słów dla ujęcia tych wielkich tajemnic, przed którymi cofa się w pokorze myśl ludzka, drżąc i blednąc...

Bo to, co jest nieogarnionem, ogarnąć się nie da...

Ale ci rzeknę: Co istnieje w czasie, z prochu zrodzone zostało i w proch się rozsypie. A ponad czasem istnieje jedno tylko PIĘKNO.

Czy zrozumiałeś mnie, Sakya-Muni? rzekł Bráma.

I zniknął.

A Sakya-Muni wołał w ślad za nim:

— O Bráma! jakieś wyrzekł słowo? Jakie struny tłumione długo zaczynają nagle dźwięczeć w mej duszy? Słuchaj, budzi się w głębiach mego istnienia, jakby szept radosny, żem znalazł nareszcie rozwiązanie zawitej zagadki bytu! O jakżeż słodkie echo wzbudziłeś w mem sercu twem słowem, Bráma!

Lecz Bramy już niema.

A w sercu Sakya-Muniego drgać zaczęła zrazu cicho, potem coraz głośniejsza jakaś struna nieznanego, boskiej radości...

Objąć jeszcze duchem nie mógł wszystkiego, co z nim się stało, ale czuł, że po długim błędzeniu odnalazł wreszcie drogę do celu...

Był jak człowiek, który długo przebywał w ciemnościach i nagle został wyprowadzony na światło dzienne, którego pożądał i za którym tęsknił... Widzi przed sobą światłość, ale zrazu nie jeszcze nie rozpoznaje, bo musi oczy zamykać przed światłem...

*

*

*

Zanim słońce zaszło, znalazł się Sakya-Muni znów na drodze Pielgrzymów. Snem mu się zdało wszystko, co było z nim od tego czasu — i powstał, jak ze snu, z kurzu drogi Pielgrzymów. Słońcu pozwolił lży osuszyć na swem obliczu, a wiatrowi otrzeć twarz z kurzu — i szedł przed siebie. A gdy usłyszał szmer ruczaju w pobliskim lesie, doszedł do stóp skały, z której spadał strumień. Ugasiwszy pragnienie, zrobił sobie posłanie z mchu.

A zanim się do snu położył, wyśpiewał hymn dziękczynny, który w słowa następujące ująć się daje. (Lecz wszelkie słowo tylko jest odbłyskiem, słabym, niedoskonałym odbłyskiem myśli ludzkiej).

Sakya-Muni śpiewał:

Przyszłaś więc do mnie wreszcie, słodka, a przejmująca
trwogą wielkich tajemnic. — Ty, Myśli ze Źródła, którą w sobie
czułem od początku.

Przeczuwałem Cię już w dzieciństwie brzaskach, a w chmurnym
biegu młodości czułem, że jesteś moją. A choć miesiące
i lata zbiegały, gdy duch mój spał, Tyś we śnie szeptała mi:
Przyjdę — a jedno mgnienie wynagrodzi zmarnowane lata.

A w wieku męskim oczekiwałem na Twe przyjście, jak
błądzący na pustyni lud oczekuje cudu z nieba.

Mniemałem, że przyjdiesz do mnie, jak promień słońca,
przebijający się przez sploty gałęzi, osiada na czole śpiącego
u stóp drzewa młodziana.

To znów mniemałem, że przyjdiesz w otoczeniu piorunów i błyskawic, i bolały mnie już naprzód oczy duszy z trwogi przed Twym oslepiającym blaskiem.

To znów myślałem, że trzeba Cię tak zdobyć, jak śpiącą królowną, której bronią smoki i gryfy — i spoglądałem na ręce moje: czyż zdolne one będą podnieść miecz olbrzyma? — i spoglądałem na nieopasane łądzwie moje: czyż ich nie porozrywa cień zwiłkany na bezdrożach?

I szeptałem zbladłemi usty: Jeszcze nie teraz, jeszcze nie teraz... Niechaj zbiorę siły. — O, bo my śmiertelni, dziwnym jesteśmy zlepkiem niewiadomości, dobrych zamiarów i trwogi przed Nieznanem.

Wiedziałem jednak napewno, że przyjdiesz.

I przyszłaś.

Aleś przyszła ani w obłoku, otoczona błyskawicą i gromem; ani we śnie, jak przecucie pierwszego miłosnego uścisku, — jak sen niepochwytne, a jak rzeczywistość słodkie.

Nie przyszłaś ani jako Pani, z żądaniem czołobitności odepnie, Twego niewolnika z prawieku, — ani też jako niewolnica, powolna skinieniom swego pana.

Ale przyszłaś do mnie w dobroci, a po prostu, — jak przyjaciel do przyjaciela przychodzi. Rozmawiałaś ze mną, obcowiałem z Tobą, nie wiedząc, że to Ty jesteś, oczekiwana, pożądana, *moja* — Myśli!

A gdyś mnie nieznacznie zaprowadziła na wysoką górę, z której roztaczał się widok na wszystkie strony ludzkiego pa- dołu, wtedy dopiero poznałem, *kto* jesteś.

A Tyś, wtedy, wskazując wokół, rzekła z uśmiechem: „Oto — cała tajemnica. To przecież takie proste!“

I widziałem, żeś mówiła prawdę: to wszystko było bardzo proste i dziwiłem się, że odrazu sam tego nie spostrzegł.

A Tyś, odgadłszy mnie, rzekła: Dostają zawrotu od tego niektórzy.

Wtedy to poczułem, żeś Ty — Wielka Pani, potężna Władczyni i Tyranka mózgow, i rzekłem w pokorze: nie Ty, Myśli, jesteś mojem dziełem, lecz duch mój znikomą jest cząstką Twego wiekiustego majestatu...

Powrót do źródła.

Skoro słońce powstało, Sakya-Muni obudził się rzeźki, wesół i spokojny. Od tego czasu spokój nie schodził już nigdy z jego twarzy. A dusza jego była podobna do powierzchni jeziora, która się uspokoiła po burzy i pozwala każdej chmurce przeglądać się w sobie, jak w lustrze.

Silniej zawiązał rzemyki u nóg, bo daleką miał podróż przed sobą — i ruszył w drogę. Szedł jak żołnierz, co powraca po zwycięstwie w domowe progi: dumny, a spokojny; ze śladami przebytych cierpień, ale z powagą zwycięscy i z piętnem spokoju, który świat przemógł.

I zanim słońce przebyło połowę codziennej swej wędrówki, on na swej drodze napotkał pielgrzymów. Poznali go, byli to bowiem ci sami, co przed laty spotkali się z nim, gdy wyruszał w pielgrzymkę.

I zapytali go: „Czy znalazłeś rozwiązanie zagadki bytu? Czy znalazłeś kwiat paproci?“

— Znalazłem — odrzekł im Sakya-Muni spokojnie.

— Cóż to jest? powiedz nam — mówili oni wtedy do niego.

— Jest to poczucie piękna — odrzekł im poważnie.

A oni się zdumieli, zrozumieć nie mogli bowiem takiej odpowiedzi. Zapytali więc ponownie:

— Cóż jest poczucie piękna, o którym mówisz?

— Jest to zdolność takiego spoglądania na świat, odrzekł Sakya-Muni, że w każdej cząstce widzisz całość, — w każdym atomie ogarniasz wszechświat, — w każdym mgnieniu przeczuwasz nieskończoność, — w każdym stworzeniu uwielbiasz Stwórcę.

— A czyż my inaczej patrzymy na świat? — pytali oni.

— Wy patrzycie inaczej! W waszych spojrzeniach czuwa żądza wasza, tkwi wola wasza, czyhając jak tygrys, szykujący się do skoku. Wasze spojrzenia mówią zawsze: tego chcę, tego nie chcę, tego pożądam, tego nienawidzę, tego się boję, tego pragnę... To mówią zawsze spojrzenia. Odrzucicie to ze spojrzeń waszych, gdy patrzycie na świat, bo wszystko to szatana jest, a nie Boga; — zwierzęcia dzikiego, a nie człowieka nieśmiertelnego; — a co wam wtedy pozostanie w waszych spojrzeniach, gdy odrzucicie to precz z serca i ze spojrzeń waszych, — będzie to właśnie poczucie piękna, jedyna iskra nieśmiertelności w człowieku, która go różni od zwierzęcia...

To rzekłszy wzruszony, skinął im ręką na znak, że nie chce mówić dalej, i samotny ruszył w dalszą podróż.

I szedł, dokąd prowadziły go jego nogi—aż wreszcie ujrzał w oddali połyskującą na horyzoncie linię śnieżnych szczytów Himalaya.

Uśmiechnął się na ten widok, jak na widok znajomych, bo przypomniał sobie, że my wszyscy ludzie pochodzimy nie z dolin, lecz ze szczytów i że każdy z nas ma w sobie choć jedną kroplę krwi górskiej w żyłach: a najmniejsza kropla taka odzywa się echem tęsknoty w sercu ludzkim, gdy człowiek nie zagłusza jej głosu.

„Tam“ rzekł Sakya-Muni „zasiędę i będę patrzył na świat.“

Szedł więc drogą, która wije się wśród skał, jak wąska wstęga,—unosi się nad przepaściami, biegnąc po mostach, rzuconych z krawędzi na krawędź;—schodzi w ciepłe wilgotne doliny, otoczone ze wszystkich stron skałami i znów się podnosi w górę, przecinając wyniosłe płaszczyzny, gdzie słońce wypaliło wszelki ślad roślinności;—a wreszcie zagłębia się w ciemne, żywiczne lasy.

Miejsce, na którym zatrzymał Sakya-Muni, dawało mu rozległy widok. Płaszczyzna urywała się nagle i pionowo ścięta skała pozwalała z wysokości piętnastuset stóp ujrzeć w dole maleńką wioseczkę, jak jaskółcze gniazdo przylepioną na stoku gór. Naokoło wioseczki ciągnęły się uprawne łąny na pochyłościach, a na łąkach pasły się krowy, napozór nie większe od chrabąszczy. Rozmiary przedmiotów ludzaco były drobne; a co się wydawało maleńkimi zaroślami na przeciwnych stokach gór, był to w rzeczywistości las, złożony ze stuletnich sosen. A dalej przed sobą miał Sakya-Muni dolinę żyzną, którą przecinała wielka rzeka, ciągnąc się jak wstęga, wijąc się i przewijając między pagórkami; a płynęła tuż pod zrębem skały, na której on stał, tak że kamień, jego ręką w dół rzucony, padał w toń rzeczną; i ujrzeć można było rozstępujące się kręgi wody w miejscu, gdzie spadł kamień.

A z lewej strony stromo urywała się skała, tworząc wraz z przeciwną wąwóz głęboki, pokryty gęstymi zaroślami. Głos człowieka, wołającego nad zrębem przepaścistego wąwozu biegł do ściany przeciwną, nabierał obcych, zmąconych dźwięków i powracał, skąd wyszedł, niby ten sam, a zupełnie odmienny.

Wzrok tracił zupełnie poczucie pomiaru przestrzeni, gdyż zawsze, nawet w południe, przesłaniała spojrzenie, jakby siatka, utkana z cienkiej przędzy mgły porannej. I raz wydawał się wą-

wóz niegłęboki, a po chwili przeciwległa ściana i dno wąwozu uciekało przed spojrzeniem w dal niezmierną.

Sakya-Muni widział orła, który zawisł nad przepaścią, a potem krążył, jakby chcąc upatrzeć zdobycz, ale zanim orzeł dotarł do połowy odległości dzielącej go od przeciwległej skalistej ściany, stawał się niedostrzegalnym punkcikiem. Kilka drobnych chmurków tłuło się pomiędzy obiema ścianami gór, to rozplywając się gdzieś w szczelinach, to unosząc się powoli w górę. A po za sobą miał Sakya-Muni bór gęsty, ciemny, wilgotny, w którym rosły deodary.

W dali, równoległe do wstęgi rzeki i do doliny rzecznej, zarysowywały się imponujące szczyty gór wiecznego śniegu.

Po prawej ręce ujrzał Sakya-Muni widok cudny: w linii z lekka falistej spadła łagodnie wyniosłość aż ku wielkiemu jezioru, przez które przepływała rzeka. Brzegi jeziora niskie, porośnięte gąszczem chwastów i krzewia, dawały przytułek tysiącom ptactwa. A po jeziorze uwijały się żagle łódek, białe i lotne, jak skrzydła gołębie. Drugim brzegiem jeziora legła wielka droga Pielgrzymów, na której dojrzeć można było tu i owdzie poruszające się punkciki — tabory pielgrzymów.

Sakya-Muni, i spoglądając na ten krajobraz, powiedział sobie: „Tu znajdę spokój!“ tego dnia zakończył swą wędrówkę.

Zaciszne miejsce na skraju polany, otoczone głazami, jakby ręką olbrzyma rzuconymi, obrał sobie za swe miejsce ulubione. Sypiał na mchu. Las dostarczał mu pożywienia, źródło — napoju. Wraz ze słońcem wstawał i patrzył ze swego wyniosłego tronu nieruchomem okiem na krajobraz. Znalazł miejsce, jakiego szukał: milczenie i niezmierną przestrzeń. Od dnia tego czas przestał dla niego istnieć. Istniał nie zastanawiając się nad tem, czy jest panem swego ciała, człowiekiem, — czy też częścią otaczających go skał, chmur, deszczu i promieni słonecznych.

Wszystko to się zrównało w oczach jego wszystko było sobie równe: ziemia, lud, pożywienie... Wszystko w jego oczach było nawzajem ze sobą spokrewnione i stanowiło jedną niewidzialną całość.

Gdy spoglądał w przestrzeń, zdawało mu się, że za każdym razem coś odłącza się od niego i rozplywa się w przestrzeni aż do wrót, po za którymi czekało go rozwiązanie zagadki bytu. Ale gdy stawał przed temi wrotami, jego ciało ciągnęło go napowrót ku ziemi i znów rozpoznawał z żalem, że duch jego jeszcze jest zamknięty.

Dusza Sakya-Munniego żyła tylko w jego oczach. Wpatrywał się jak rozdzielały się opary nad jeziorem, patrzył, jak niebieskawe o pierwszych brzaskach dnia szczyty Himalayów różowieć się poczynają pod pierwszymi promieniami słońca, aby przejść wreszcie w oślepiająco biały kolor. W wioskach, w dolinie zaczynało się życie, kobiety wychodziły na brzeg rzeki, aby czerpać wodę, a z oddali dolatywał czasem z wiatrem daleki odgłos dzwonek stad, wypędzanych na pastwisko. Głos rogów, a potem wysokie nuty gęśli pastuszej biegły ku niemu, jak serdeczne powitanie z dalekich światów.

A potem spojrzawszy w wąwóz po lewej ręce, przyglądał się Sakya-Muni, jak pod promieniami wschodzącego coraz wyżej słońca jednostajna mgła napelniała wąwóz, rozdzielać się poczyniała i pojedyncze kłęby weiskały się w szczeliny, czepiały się drzew, wsiąkały w gęstwiny, jak kropla wody wsiąka w piasek.

A gdy słońce dobiegało do zenitu, wydobywał Sakya-Muni swe zapasy z pieczary: miód pszczoł leśnych, korzenie rozmaite, ziarenka rosnącego dziko zboża, jajka ptasie, soczyste jagody, mleko łani, dobrze mu znanej. A przy tym obiedzie otaczały go tłumnie rozmaite zwierzęta. Dzielił się ziarnkami zboża z ptactwem, które do ust mu zaglądało.

Resztki korzonek, skorupki jajek oraz miodu trochę dostawał niedźwiedź skalny, który ze starości już zęby utracił i w spokoju oczekiwał śmierci, a nie przeszła ani jedna wiosna, aby łania nie przyprowadziła w tryumfie przed Sakya-Muniego gromadki swych najmłodszych dzieci; on każde musiał pogłaskać i każdemu dać polizać miodu, a dla łania miał sól warzoną.

Nigdy nie zszedł w dolinę do sioła, które leżało u stóp jego. Przyglądał się delikatnej zieloności młodego ryżu, niebieskawemu odcieniowi kwiatów amaranthusa i przychodził znów czas, gdy na dachach domostw, Sakya-Muni oglądał złociste kłosy kukurydzy, które susząc się połyskiwały jak najczystsze złoto. I przyglądał się ścinaniu kukurydzy i wiązaniu jej w snopy, zasiewaniu ryżu, potem żniwom; wszystko to przeciągało kolejno przed jego oczyma, jak gdyby niewidzialna ręka haftowała te wszystkie kolory i wzory w obraz, który leżał u jego stóp w dolinie; a on rozmyślał o wszystkim, do czego prowadzi i na czym się kończy cały porządek rzeczy.

Widział, że wszystko, co w koło niego istnieje, jest jednym wielkim cudem, a widząc to, czuł, że nie ma na świecie nic tak wielkiego, coby było większe od najjenniejszej rzeczy istniejącej;

Pola zmieniały swą barwę wraz z porą roku, stodoły zapełniały się zbożem, wypróżniały się i znów się napełniały, a gdy zima nadchodziła, gałęzie drzew pokrywały się śniegiem, a z wiosną młode pędy puszczały w górę, ku słońcu.

Dla niego czas nie istniał.

Żył tak wsłuchany w głosy natury wpatrzony w jej piękno, wkochany w życie samo, a nie w jego cząstkę — stworzenie. Ludziom się zdawało, że jeden zachód słońca podobny jest do drugiego, a on przez zbratanie się z naturą, w każdym inne barwy odkrywał. A gdy otwierał rano oczy ze snu, czuł w sobie radość wszystkich kwiatków, które w tejże chwili otwierały swe kielichy ku promieniom słońca; gdy przekładał ucho do ziemi, czuł ciepło życia, słyszał jakby tysiące młotów uderzających w kuźnię świata, — a jego dusza, wmodlona w naturę, odnalazła w sobie oddźwięk każdego tonu, jaki życie wydobywa, potracając o tysiączne struny wszechbytu. Tak samo blisko związany był z każdym kwiatem, jako i z matką, która jego samego wypiastrowała niegdyś na łonie.

*

*

*

Królewicz Sakya-Muni śpiewał:

„Czyś znalazł siebie samego? Swemu duchowi czyś spojrział oko w oko i przemógł go?

„Niema wśród nas takiego, któryby nie mógł znaleźć w sobie tego, co utracił chodząc między ludźmi.

„I ja też szukałem. Szukałem, jak dziecię porzucone w lesie biega od drzewa do drzewa, z sercem bijącym w oczekiwaniu, obawie i nadziei, bez poczucia drogi, kierunku, czasu, bez świadomości zmęczenia, głodu...

„Biegnąc, pada raz po raz, zawadza o wystające korzenie, rozrywa odzież o sęki, kaleczy ręce i kolana, i woła: Ojcze! Matko! — a z oddali tylko szydercze echo się śmieje i cienie jakież migoczą między drzewami.

„Aż wreszcie dziecię zmęczone, zranione, splakane pada u stóp starego dębu na posłanie ze mchu. Lecz oczy jego wciąż błędzą niespokojnie, szukając w oddali ukochanych postaci... Za-

miast wołania wydobywa mu się z piersi już tylko jęk chrapliwy, a krew tętni w skroniach.

„Szukaj, szukaj.

„ I znowu dźwiga się dziecię i pełza na rękach i nogach — i nie wie już nawet samo, czego szuka, dokąd zmierza. Ból jego i jego cierpienie wyrasta ponad najstarsze dęby i szumi tęskną skargą ponad poszum lasu. Wreszcie przychodzi sen i bierze je w ramiona.

„Ono śpi, — lecz jego cierpienie czuwa i we śnie każe mu szukać wciąż tego, co będzie w przyszłości nieznaney: dziecię przez sen szlocha, wzdycha, zaciska kurczowo usta, wyciąga rączkę.

„O, bo ból serca ludzkiego jest silniejszy, trwalszy, żywotniejszy od wszystkiego, co wpośród naszej świadomości porusza strunami naszej duszy. Świadomość zasypia, życie uchodzi po kropelce, ale ból trwa:

„Ból, potężny pan wszystkiego, co żyje. On serca ludzi przepatpia w swym ogniu i chłodzi je łzami, a tym, którzy łkają zbyt głośno, rzuca ochłapy litości.

„Pozdrowiony bądź mi, wielki mistrzu ludzkości! Ty, co upadających pod pożarem słońca pielgrzymów ludzkich, jak cudotwórca, znowu stawiasz na nogi, goryczą zwilżasz zeschłe ich podniebienia, aby kłąć mogli, i spoglądasz na to, jak oni znowu idą naprzód, wciąż naprzód, poprzez wichry i przepaście, z dzikim okrzykiem protestu na ustach, z pochodnią zapaloną w dłoni, ze spojrzaniem, które tylko szuka miejsca, gdzieby płomień przyłożyć, aby w pożarze świat cały spopielić.

„Bólu, przewodniku nieomylny, a wierny! Ty z ludzi robisz tytanów cierpienia, cudotwórcę! Jak anioł stróż, nie odstępujesz od wezgłowania ludzkości; ostatni tulisz ją, gdy zasypia, i pierwszy witasz ją, gdy się budzi.

„I wszystko, co mamy w życiu na własność i naprawę, — wszystko jest z ciebie: reszta wszystko jest pożyczona — i odebrana nam będzie; a tylko ból jeden jest nasz, własny, od nas nieoddzielny, nierozzerwalny.

„Tego nam nikt nie odbierze.

„Przyjacielu wierny, który człowiekiem opiekujesz się od kolebki i wzrastasz z nim razem — ty jesteś, który nas prowadzisz na szczyty!

„Nie zazna szczęścia ten, słodczy pojednania z Duchem świata nie zakosztuje ten, kto w codziennych zapasach z tobą nie nabierze sił i nie zmoże cię: bólu odwieczny...

„Z góry uderzasz w nas i zmuszasz do spoglądania w górę,— ku szczytom...”

*

*

*

„Ku szczytom! ku utraconej ojczyźnie ludzkiego ducha! Ku tej, której najbliżsi jesteśmy, będąc dziećmi. Ona — jedyna, za której tęsknota źródłem jest wszelkiej tęsknoty. Ona — której pożądanie źródłem jest wszelkiego pożądania. Blaski jej nie znają cieni: to — odwieczne źródło, z którego wyszliśmy wszyscy i po którym nosimy w sercu żalobę, jak dziecię po matce, której nigdy nie znało.

„Bo zanim człowiek stał się, był dziecięciem Światła, dziecięciem Piękna. A gdy się stał, przestał wiedzieć, czem był w przedbycie i ani zna oblicza tej odwiecznej swej matki, ani żadnej wie drogi ku niej. A wszystko, co mu się po niej pozostało — to: smutek tajemny, — to ów głos, co wobec każdego drgnięcia duszy przed Pięknem składa świadectwo pochodzenia, szepcząc: oto ojczyzna moja!

„I pod tchnieniem smutku, jak zjadliwe opary zgniłych pól, brzemienne zarazą i śmiercią, powstaje w rozdartem sercu negacya życia.

„Ale jak z nocy rodzą się pierwsze brzaski, tak z szamotania się duszy wytryska wreszcie ukojenie. Pyskają okowy, spada zasłona z oczu, mgły się rozpraszają i ukazują się wierzchołki gór, słońce się wynurza, puszczają kry na ujętej w karby lodów rzece, obumarłe z zimna pędy zaczynają się zielenić,—piers odycha powiewem, który idzie do szczytów.

„Gdzie najgłębszy ból, tam, jak na najżyźniejszej ziemi, wyrasta biały kwiat ukojenia...”

*

*

*

„I oto wśród barw i blasków, wśród harmonii tonów i linii czerpię ze Źródła pełną dłońią napój życia.

„Niczem mi dziś już są te wichry, co mi niegdyś szumiały koło skroni i siliły się na to, aby samotnego wędrowca strącić w przepaść; niczem ciernie, które mi się wpijały w ciało. Ból zmienił się w słodycz. Kto szczytów swą stopą dotknął, temu nie wzbiera serce goryczą na myśl o cierpieniach, przez które się przedzierał, szukając drogi — na początku: bo doszedł, bo stanął na śnieżnych wierzchołkach gór i widział stamtąd słońce.

„W dolinach był mrok. Mrok był i grzech. W krainie łez dusze, obciążone klątwą grzechu pierworodnego pełzały jak gady, ze spojrzzeniami utkwionemi w ziemię: rozszałałe duchy, stojąc na progu obłędu, przeklinały szatana...

„U szczytów niema grzechu, ani występku, ani wyrzutów, ani kary, ani rozterki ducha. Jest jeden wielki, piękny świat i jedno wielkie światło. A wszystko, na co padnie promień, — złoci się, i połyskuje, uśmiecha się i rozbrzmiewa tryumfem, podając dalej hasło życia — w nieskończoność. Niema, ani co jest dobre, ani co jest złe, — niema ani czasu, ani przestrzeni, — niema ani skutku, ani przyczyny: jest jedno tylko — Piękno.

„Z góry spoglądam na te wichry, które tam szumią w dolinach, — huczą, wywracają lasy, buntują się — a ludzie cierpią, szamocą się w bólu, szukają, więdną i padają.

„I wszystko na świecie tam spada z wyżyn lilipucich w mikroskopijne przepaście, i znowu ze szczelin wypełza na powierzchnię: umrzećby chciało i umrzeć nie może, — przeklina życie i śmierci się boi. A wszystko, co się rodzi, gnije.

„Nie mija jeden tylko: — Ból. U szczytów zaś jedno tylko pozostaje wieczne i niezmienne: — Piękno.

„A kto cię raz odnalazł, kochanko bogów, kto ci raz spojrział w oczy — ten już w doliny nie wróci. Śladami twymi chodzić będzie, oddychając powietrzem szczytów, kąpiąc się w blaskach twoich.

„O, nie mów mi o tem, nie mów, że istnieje czas, który upływa, i życie, które ubiega...

„Ten, kto ducha skąpał raz w blaskach piękna, w zdroju ze Źródła, nie zna czasu, który płynie, a życie jego nie mija, bo dzień jego niema ani początku, ani końca.

„Wmódl się w Piękno, wpatrz się w cuda jego, a w kontemplacji silniejszym będziesz od samego czasu: on się zatrzyma w pokorze przed tobą.

„Każda minuta będzie dla ciebie wiecznością, — orzeźwiający wiekuistości tchnienie chłodzić ci będzie czoło, — i znajdziesz ukojenie, spokój, — łagodną, słodką, promienną ciszę bez początku i bez końca.

„I cisza będzie w twym sercu, — głęboka, jak otchłanie morza, przejrzysta, jak łąza, słodka, jak pierwszy powiew świeżego porannego powietrza, które wciągasz w płuca po długiej, długiej chorobie...

„Cisza — Nirwana...“

Tak śpiewał Sakya-Muni.

*

*

*

Wreszcie nadszedł dla niego dzień, który w ludzkiej mowie nazywa się dniem śmierci.

I rzekł Bráma: — Sakya-Muni, rozpatrzyłem twe czyny i twe serce. Serce twoje czyste jest, a czyny są w zgodzie z sercem. Czy chcesz żyć wiecznie całą istotą swą, jak teraz?

A Sakya-Muni odpowiedział:

— Istnieć wiecznie? Wiecznie istnieć tą cząstką istoty naszej, która czuje, myśli, cierpi?

„Od ciała mego, od żądzы mojej, od myśli mojej

Wyzwól mnie, Panie!

...Ja wierzę, o Panie,

Ze życia nowego męką okrutną nas nie ukarzesz!...

...Bo szczęście, o Panie, — szczęście spoczywa w stanie nieosobistym. Wobec nieskończoności opadają z człowieka myśli, uczucia i czyny, jak liście z drzewa późną jesienią. Bo to nie jest prawdziwy rdzeń naszej istoty.. Bo to nie jest cząstka nieśmiertelności w człowieku... Bo to nie jest nasze prawdziwe ja... Nasze prawdziwe ja, co tęskni za nieskończonością i zdolne jest ją odczuć, spoczywa gdzieindziej...“

I pytał Bráma:

— Kiedyś się czuł w życiu najbliższy nieśmiertelności? Mów!

A Sakya-Muni zaczął opowiadać wzruszony:

— Widziałem wschód i zachód słońca... Wpatrywałem się w gwiazdy na nieogarnionem i niezgłębionem tle przestworza

niebios... Ogarniałem spojrzeniem mgieł i oparów zasłony, co opadały w dolinach... I wtedy czułem się bliski nieśmiertelności, odczuwając wiekuiącą harmonię natury... Bo świat jest nieskończenie piękny, o Bráma!

Na to rzekł Bráma:

Znalazłeś kwiat paproci, Sakya-Muni, — cóż więc więcej dać ci mogę ponad to, co już posiadałeś?

*

*

*

I oto Sakya-Muni po raz ostatni zasiadł na swem zwykłym miejscu, z którego ogarnąć mógł wzrokiem swe ukochane doliny, i śnieżne szczyty w oddali, i szklaną tafłę jeziora, i wstęgę rzeki...

A słońce zachodzić zaczynało już podówczas.

I spojrział Sakya-Muni na świat po raz ostatni.

Spojrzenia jego biegły w dal z obłokami, aby nie powrócić, jak i one nie wróćą. Jedno za drugim — spojrzenia te gasły powoli. Duch jego, zaklęty we wzroku, promieniował, jak gwiazda na firmamencie, z której odrywa się promień po promieniu, aby utonąć na wieki w Bezmiarze.

Atom jego duszy po atomie odrywał się od ogniska i wracał do swego źródła. Ognisko bowiem gasło.

Tak płyną kręgi po powierzchni wody, układając się w coraz dalsze koła, a kamień, co im dał początek, już spoczął nieruchomo na dnie. — A kręgi płyną. Tak płynęły jego spojrzenia, choć duch ugasiał.

Aż wreszcie pozostało tylko ciało, ten marny śląd istnienia ducha. Duch zaś rozplynął się w nieskończoności... Stworzenie powróciło do swego Stwórcy, aby z nim i w nim istnieć wiecznie.

KAZIMIERZ RAKOWSKI.

WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH.

(Teodor Lipps i jego psychologia.)

VIII.

Samym doborem wyrażeń okazuje Lipps już na wstępie, że w teoriach swoich etycznych wiernym chce pozostać niezłomnie swym zasadom, t. j. metodzie psychologicznej. Jego etyka także oprze się o obserwację psychicznych faktów. To nie wróży nic dobrego. Kto w zapatrywaniach etycznych na psychologicznej obserwacji się nie opiera? Nikt więcej jak najsuchszy, najoklepańszy pozytywizm ze swą nudną deklamacją o instynktach egoistycznych i altruistycznych. Ufamy jednak, że czytelnik już na tyle poznał umysłowość Lippsa, by wiedzieć, że u niego ta psychologiczna obserwacja jest zupełnie nie banalna, lecz przeciwnie, dziwnie płodna. Niesłuchanie bowiem różni się to, co jest przeprowadzane tak, jak trzeba, od tego wszystkiego, co jest robione tak, jak nie trzeba.

Etyka Lippsa jest oparta na obserwacji. Jest to więc etyka opisowa — nie normatywna. Tak się pierwotnie rzecz przedstawia. Zachodzi tu kwestya, z którą na samym wstępie rozprawić się warto, bo bądź co bądź — etyka nie normatywna — przestaje być etyką, która jest właśnie teorią norm, teorią „przykazań.“ Otóż oczywiście sprzeczność pomiędzy prostym konstataowaniem faktów a poszukiwaniem kryteriów jest pozorna. Albo powiedzmy wręcz przeciwnie, że jest istotna, a przez to samo

wyrazem ich wzajemnej przynależności do siebie, ich koniecznego związku.

Kryterium jest czemś tylko przez zastosowanie do faktów, a fakt jest faktem nie gołym i nic nie znaczącym, lecz właśnie treściwym i wymownym tylko o tyle, o ile doznał sankcyi jakiegoś kryterium. Chcąc tylko opisać człowieka moralnego, muszę mimo wszelkiej „nieuprzedzoności“ wiedzieć kogo za moralnego uważam. A z chwilą kiedy na mocy obserwacyi pewne cechy za stanowiące istotę moralności poczytałem, uważam je już *eo ipso* za normy. Inaczej moja obserwacya nic nie znaczy, bo nic nie odkryła. Oczywiście, że nie można tych dwu przeciwnych punktów widzenia rozerwać — a więc trzeba je pogodzić. Pogodzenie też obu pierwiastków znajdujemy u Lippsa. Nie obserwuje on na ślepo, bezkrytycznie, jak t. zw. pozytywna etyka, która obserwuje tak namiętnie, że też ostatecznie nie przyczynia najmniejszego okrucchu do *zrozumienia* moralności, a jeżeli wogóle wygłasza rzeczy bardzo poczciwe, to dla tego tylko, że w danej chwili — oczywiście nieświadomie — *przestaje* właśnie obserwować i kieruje się po prostu powszechnie w chrześcijańskim świecie przyjętymi zasadami. Z drugiej strony, opierając się jak najsilniej na obserwacyi, uniknie nasz psycholog wszelkiego formalizmu, który jest pusty, tak samo jak sztuczności, jak narzucania niepotrzebnych i nienaturalnych wymagań, które tylko zamącają jasność pojęć.

Kryteria są kryteriami — a obserwacya *metoda*. Kryteria są celem, powiedzmy chwilowo, że są *rezultatem* obserwacyi. Obserwacya byłaby nic nie warta jako metoda, gdyby nie doprowadziła do odkrycia norm, które śledzi, ale nie byłaby metodą, gdyby nie posiadała swej autonomii i miała być bezpośrednio *podległą* względem ubocznym. To też Lipps bardzo niedwuznacznie rozpoczyna od obserwacyi, nie stawia żadnych dogmatycznych twierdzeń, lecz patrzy w psychiczne życie.

Wielu patrzy, a nie widzi; trzeba się dopiero nauczyć patrzeć, aby widzieć, bo trzeba tak patrzeć, aby można widzieć. Chcąc obserwować życie moralne trzeba szukać tego, co niem jest, nie dając się bałamucić tem, co niem nie jest. Cóż dziwnego, że nie dopatrzy się niczego, kto w fałszywą stronę spogląda, albo że ogłosi za marność to, czego szukał, kto myśli, że już znalazł, gdy mu się lada marnostka w ręce dostanie? Jednem słowem, jak już zaznaczyliśmy powyżej, etyka szukać musi w psychicznem życiu tego, co stanowi piętno moralne, co jest samą istotą moralności, co jest etycznego życia rodzajową cechą. A więc nie wystarcza jej fakt ten lub ów, choćby on był najdomośleszy, lecz chodzi

jej wyłącznie o to, co sprawia, że go za *etyczny* poczytać mamy prawo.

Psychologia wprowadzona na grunt etyczny, czy etyka oparta na psychologii, rozpocząć musi od stwierdzenia *zasadniczego faktu moralności*, od bezpośredniej danej psychicznej, która oznacza, a raczej stanowi sama, o istnieniu moralności. Powtarzać przytem nie mamy potrzeby wstępnych naszych uwag o uznaniu przez Lippsa psychicznych faktów za właściwy przedmiot psychologii.

Tym zasadniczym faktem moralności, bezpośrednią manifestacją świadomości moralnej, jest *orzeczenie wartości*,¹⁾ które potocznie—zresztą zupełnie poprawnie—nazywamy świadomością *dobrego i złego*. Lecz trzymać się tu będziemy chwilowo pierwszego wyrażenia. Oznacza ono dokładniej właściwy psychiczny proces, którego tamto jest już dojrzałym wynikiem. Przytem, utarte wyrażenia mają wielkie zalety, lecz i wielkie wady. Do wad należy to, że z utartymi wyrażeniami łączymy często pojęcia, których wcale nie oznaczają wyłącznie, lecz do których przyzwyczailiśmy się je odnosić. Przy wyrażeniach nowych dla nas, troskliwszą zwracamy uwagę na prawdziwe ich znaczenie.

W tym wypadku specjalnie podnieść nam trzeba, że „orzeczenie wartości“ i świadomość dobrego i złego tak dalece nie są bezpośrednio jednoznaczne, że są orzeczenia wartości, które z świadomością dobrego i złego w najjaskrawszem pozostają przeciwieństwie. Wysoką wartość przypisujemy nieraz błędowi lub niepowodzeniom bliźnich—kiedy one wychodzą na naszą korzyść. Korzyść właśnie—zgodność z celem, jaki mamy na oku—oto najpowszedniejsza forma wartości, a sąd o niej, to orzeczenie wartości, którego dokonujemy najczęściej. Rozróżniamy w codziennem życiu rzeczy dobre i złe—podług tego, czy odpowiadają swemu celowi lub nie, czy są takie, jakimi według swego przeznaczenia, według swej istoty być powinny.

Takie rozumienie „wartości“ jest najzupełniej słuszne i uprawnione. Wartość ma to, co ma wartość dla kogoś, dla czegoś, co jest środkiem do jakiegoś celu, co spełnia swoje przeznaczenie, co wykonywa jakieś zadanie. Właśnie to nazywamy wartością—więc czemuż innemu ma być wartość? Takie jest pojęcie wartości; czemu jest takie a nie inne, czemu wogóle jest—tego psychologia Lippsa nie tłumaczy, ani stara się tłumaczyć. Wystar-

1) Tak tłumaczymy niemieckie: „Werturteil.“

cza jej to, że taki fakt psychiczny zastaje i odkrywa. To też przypominamy tu tylko, cośmy o tej metodzie już powiedzieli.

Znamy więc wartości różne, odpowiednio do najróżniejszych celów, zadań, dążeń, przeznaczeń ludzi i rzeczy. Najniewątpliwiej. Tylko, że wartości, póki są „wartościami“ a nie „wartością“, póki są wielorakie i między sobą sprzeczne, póki wzajemnie się znoszą i kłám sobie zadają, nie są oczywiście wcale wartościami. Są czemś zmiennem, niepochwytnem, nikogo nie obowiązującym, a więc wrzekomem — przede wszystkim zaś nie są tem, czem być chcą, za co się podają. Bo nie może być wątpliwości o tem, że kiedy mówimy o wartości czegoś, to mówimy właśnie o *wartości* tej rzeczy, a nie o tem, czy ona nam jest dogodna, nam pożyteczna, nam po myśli, nam miła. Chyba, że nie wiemy co mówimy. Z pewnością takich nie brak — ale trudno stosować się do ich terminologii.

Mamy więc dwie dane do oznaczenia istoty wartości. Wartość polega na odpowiedniości celowi, zgodności z przeznaczeniem, na spełnieniu zadania. Lecz właśnie o to chodzi, jaki to jest cel, jakie przeznaczenie i jakie zadanie. Bo oczywiście nie może każdy cel, każde pojedyńcze zadanie spełnione, stanowić o wartości środka. Bo cele i zadania są najsprzeczniejsze, a więc tak oznaczone wartości z sobą niezgodne, co więcej, mówimy najwyraźniej o celach, zadaniach, przeznaczeniach godnych potępienia, a więc takich, którym wartości wszelkiej odmówić należy.

Trzeba więc po prostu powiedzieć, że są cele dobre i złe, że więc to, co służy pewnym celom, posiada wartość, a to, co służy innym, nie posiada jej. Zapewne — nic słuszniejszego nad to zdanie; tylko, że ono nie zbliża nas ani o krok do pojęcia istoty wartości. Zdaliśmy sobie sprawę, że mówimy o wartości tam, gdzie jest wartość dla kogoś lub czegoś, spełnienie zadania, wypełnienie przeznaczenia. Nie zmieniamy więc kwestyi. Niewątpliwie są cele dużo warte i nie warte. Lecz z tego punktu widzenia nie mówimy już o celowości, o dzielności spełnienia, jako istocie wartości. Jeżeli nie wystarcza, że jest wypełnienie zadania, dopięcie celu na to, by wartość była — to widocznie nie na tem wartość polega.

Tymczasem dopiero co powiedzieliśmy, że na tem właśnie wartość się zasadza. A więc wartość polega i nie polega na służeniu celowi. Cóż to znaczyć może? Oto, że gdziekolwiek jest wartość, jest cel osiągnięty, ale że jest ona wrzekoma, jeżeli cel osiągnięty jest zaprzeczeniem innym celom, a więc póki sam swej istocie się sprzeciwia. Jest więc wartość tylko względna, a więc

naprawdę żadna, póki środkiem do celu nie jest bezwzględnie, a raczej *wszecz względnie*, t. j. nie jest środkiem do *wszystkich celów*, spełnieniem *wszelkich zadań*, wypełnieniem *wszelkich wymagań*. Ta wartość wszechwzględna jest dopiero *dobrem*. Tu się więc wykazuje jasno cała różnica i całe pokrewieństwo między świadomością wartości, a świadomością *dobrego i złego*. Ta ostatnia wywiązuje się z tamtej. Tam się zaczyna, gdzie tamta się ostatecznie spełniła. Rozeznanie więc dobrego i złego, nie jako fakt dokonany, lecz *zdolność* ludzkiej duszy, jest po prostu zdolnością przekraczania bezpośredniego poczucia wartości, by go dopełniać uznaniem innych, jest więc zdolnością integracji pierwotnych danych, i jako taka krewną jest najbliższą rozeznania *prawdy*.

A więc orzeczenie wartości jest niem dopiero w przybliżeniu, dopiero po części, jeżeli odnosi się po prostu i bezpośrednio do jakiegoś jednego wyłącznego celu. Jeden tylko moment istoty wartości jest tu dany. Jest ona dopiero w możliwości. Spełnia się, jeżeli ten cel, ten wzgląd — w odniesieniu do którego rzecz jakaś ma wartość, jest zgodnym ze wszelkimi innymi względami. Znaczy to, że wartość, którą czemuś przypisujemy, jest nią naprawdę tylko, jeżeli żadna inna wartość, równie uprawniona, jej nie znosi.

Podnieśmy tu zaraz z uznaniem na wskroś dodatni, afirmatywny, prawdziwie filozoficzny kierunek rozumowań Lippsa. Wartość jest zawsze wartością, dla kogoś, dla czegoś — w stosunku do jakiegoś celu, do jakiegoś wymagania. Różne cele i wymagania są z sobą sprzeczne. A więc wartość jest rzeczą względną — woła chórem pozytywizm — nie mając dosyć energii myśli, by przynajmniej dopowiedzieć, co z tego wynika, mianowicie, że w takim razie wartości niema i być nie może. A Lipps przeciwnie powiada: Wartość prawdziwa jest tylko ta, która przekroczyła wszelkie sprzeczności, i wszelkie możliwe cele i względy *w sobie zawarta*.

Co posiada wartość dla mnie osobiście — może posiada wartość absolutną, t. j. jedyną prawdziwą, ale może również dobrze nie posiadać żadnej, bo dla kogoś innego jest może właśnie wartością negatywną. Warte jest bezwarunkowo, t. j. wszechwzględnie tylko to, co posiada wartość nie ze względu na mnie lub kogo innego, lecz ze wszech względów, a więc wartość dla wszystkich. Mówimy wyraźnie dla *wszystkich*. Pragniemy wykluczyć możliwość zapoznania radykalnej różnicy zachodzącej między teorią Lippsa a małodusznymi pojęciami utylitarystycznymi, które są chorobą naszego wieku.

Przedewszystkiem więc nie chodzi tu bynajmniej o wartość dla „jak największej liczby,“ ani dla większości, ani o wartość społeczną w przeciwieństwie do indywidualnej. Chodzi o wartość dla wszystkich, o wartość więc *powszechną*, t. j. taką, której żadna inna kłamu zadać nie może, która sama ze swej strony żadnej wartości nie zaprzecza i nie gwałci. *Zasadą wartości* może być tylko *najwyższa afirmacja wszelkiej wartości*. Inaczej zasada sama siebie znosi.

Rozumie się samo przez się, że kiedy chodzi o wartość bezwzględnie powszechną i powszechnie bezwzględną—nie może być, jak tylko najzupełniej obojętnem ilu ludzi, a nawet czy ktokolwiek z ludzi zdaje sobie z niej sprawę. Jest to prawda założona w rzeczach, t. j. w obiektywnej rzeczywistości—nie w subiektywnych determinacjach. Więc też w każdym wypadku zdadzą sobie sprawę z owej wszechwzględnej wartości właśnie ci i ci tylko, którzy wszelkie względy mają na oku, a więc ci, którzy potrafili przekroczyć swój indywidualny punkt widzenia, co z natury rzeczy uwzględnia tylko pewną wartość— a szukają wszelkiej wartości, mierząc ją pełnią przedmiotowej prawdy życia.

Dobrze nam znane brzmią tutaj nuty. Wszechwzględna wartość jest „prawdą rzeczy.“ By ją znaleźć, trzeba się do „wymagań rzeczy“ stosować, a służenie jej realizuje „idealne ja.“ Jest ona prawdą bezwzględną, bo wolną od wszelkich ograniczeń indywidualnych, tą która właśnie nie jest względna, bo nie zawisa od indywiduum, lecz narzuca się jako konieczna i obowiązująca powszechnie.

IX.

Sąd o wartości rzeczy, czy też orzeczenie wartości, jest podwaliną moralnego życia, a mówiąc dokładniej intelektualnym fundamentem moralności, racjonalnym momentem w etycznym życiu ducha. Niema bez niego świadomości dobrego i złego, niema co mówić o etyce—dla tego nazwaliśmy je zasadniczym faktem moralności.

Lecz z drugiej strony ten sam fakt nie jest jeszcze pełną moralnością, bo nie jest nawet spełna sobą, jeżeli nie zaślubia *woli*. Moralność spełnia się dopiero tam, gdzie orzeczenie wartości związało się żywotnie z wolą—jako *pobudka* w odniesieniu do podmiotu, a przedmiotowo jako to, *co być powinno*. Wola zawsze

jest wolą urzeczywistnienia jakiejś wartości. Kiedy chcę czego, to jużci zawsze dla tego, że przypisuję tej rzeczy jakąś wartość. Może to być wartość dla mnie i tylko dla mnie, może być przeciwnie wartość, która „moin“ subiektywnym wartościom przeczy, sprzeciwia się moin interesom, pragnieniom, zachciankom. Z chwilą, gdy chcę, uważam to czego chcę, za coś, co ma być, czemu nad wszystkim innym przyznają wyższość i pierwszeństwo. A więc orzeczenie wartości jest *kierownikiem woli*. I w tej funkcji dokonuje swego przeznaczenia.

Uznana wartość, odniesiona do woli, staje się bezpośrednio motywem. A więc w postępowaniu każdy z nas takimi kieruje się pobudkami, jakie zna wartości. Najpierwotniejszą formą pobudki jest też chęć zaspokojenia swoich indywidualnych potrzeb, t. j. urzeczywistnienia wartości, których świadomość najbezpośredniej jest dana. W miarę, jak się uzupełnia świadomość różnorodnych wartości, rozszerza się zakres pobudek, obszar rzeczywistości, z którego czerpiemy motywa woli. Póki pierwsza lepsza wartość jest nam każdorazową pobudką, póty oczywiście pojedyncze pobudki są z sobą w niezgodzie i znoszą się wzajemnie, a nasza wola urzeczywistnienia wartości jest w sobie sprzeczna, a więc wrzekoma. Uzupełnianie się wartości jest uzgadnianiem naszej woli w sobie. To też tam, gdzie nastąpiła zupełna integracja wartości, gdzie wartość stała się wartością absolutną, t. j. dobrem—tam wola nasza doczekała się najwyższej afirmacji, bo zupełnego i ostatecznego zharmonizowania.

A więc nawzajem—kiedy wartość prawdziwa jest tam tylko, gdzie jest wszechstronne dopełnienie się wartości, kiedy dobre jest to tylko, *czemu nic już nie przeczy*, bo ono wszelkie wartości zogniskowało w sobie—to chcąc chcieć dobra, chcąc powodować się pobudkami etycznymi, dążyć musimy oczywiście do tego, by w każdym wypadku wszelkie pobudki, twierdzące i przeczące, w naszym postanowieniu uwzględnione były. Oto już przykład owego stosunku skonstatowanych faktów do ustanawianych norm, o którym wspominaliśmy powyżej. Fakt skonstatowany — byle *treściwie* a nie pusto—już jest *normą*.

Tutaj zastanowienie nad faktyczną istotą wartości doprowadza Lippsa bezpośrednio do etycznego postulatu, który brzmi: Zachowuj się wewnątrznie każdego czasu tak, byś pod względem tego twego wewnętrznego zachowania się mógł *pozostać wiernym samemu sobie.*“¹⁾ Powodując się pojedynczemi motywami, tak, jak

¹⁾ Ethische Grundfragen str. 134.

nam są bezpośrednio dane, tak, jak nam instynktowo nasuwają się, kierujemy się to tem, to owem, dziś jednej rzeczy wartość przypisujemy, jutro innej—nieustannie narażeni jesteśmy na przeczenie sobie, na *sprzeniewierzenie się sobie*.

Prawdziwa wierność sobie jest tam dopiero, jeżeli nie przypadkowo dana, to zasadniczo zabezpieczona — gdzie jest jednolite oparcie woli na organicznym całokształcie wszelakich uprawnionych pobudek, a więc w gruncie rzeczy wszelkich wartości. Doskonałość etyczna nie jest niczem innym z tego punktu widzenia, jak doskonałą i pełną wiernością samemu sobie.

Lecz jakże ta teoria spotkać się nie ma z zarzutem, że jest dwuznaczna i ślizka. Bo przecież wiernym sobie pozostać można równie w złem, jak w dobrem. Bo nawet, chęć pozostania w zgodzie z sobą, nie zaparcia się samego siebie, nie zadania kłamu swym zasadom, jakże często bywa najoporniejszym korzeniem ztwardziałości. Oczywiście. Trudno przeczyć tak podpadającemu zjawisku. Lecz pamiętajmy, że z natury rzeczy przeciwieństwa nigdzie nie zaostrzają się tak gwałtownie, nie akcentują się tak silnie, jak właśnie na tle jednolitości formy, na tle pewnego względem siebie pokrewieństwa.

Takie radykalne przeciwieństwo zachodzi tutaj pod pozorną tożsamością kształtu „wierności sobie.“ Wierność sobie niemoralna a wierność sobie etycznie doskonała, mają się do siebie, jak próżnia do pełni, jak negacya do afirmacyi, jak zero do nieskończoności. Wierność sobie w złem będzie konsekwentną negacyą pewnych wartości, a ta zawsze prędzej czy później sobie się sprzeniewierzy. Jakże często z największą gwałtownością domagamy się dla siebie rzeczy, których niezbędności dla innych przyznać nie chcemy. A jednak jest to jedna i ta sama wartość. To też owa wierność sobie jest paradoksalna i iluzoryczna, bo jest konsekwencyą w niekonsekwencyi, zgodnością w niezgodności i przypomina owe algebraiczne formuły, przy których znak ujemny jest wyrzucony przed nawias. Zawiera ona bezsprzecznie cyfrę dodatnią, która przecież jest arcyujemna.

To też stwierdzony już tutaj niedwuznaczny teorię Lippsa, że tak jak dobro jest afirmacyą wszelkiej wartości, tak złem jest wszelkie zaprzeczenie jej, a więc też wszelka jej niezupełność. Niema tu mglistości żadnej, ani frazeologii. Dobro, to wartość—ale wartość pełna i zupełna. A więc przedewszystkiem niezaprzeczona i niesprzeczna. Zatem nie każda pojedyncza wartość, lecz dopiero wszystka wartość, a więc wartość, która wszelkie możliwe wartości potrafiła żywoćnie zawrzeć w sobie. Człowiek za-

chowuje się moralnie, kiedy nie powoduje go to lub owo, lecz wszechwzględna wartość, t. j. dobro. Oto pierwsza treściwa definicya dobra u Lippsa: Pobudka etycznie doskonała to *wszechwzględna wartość*. A więc etyczne dobro realizuje się przez współdziałanie pobudek.

Ażeby ono do skutku dojść mogło, musi człowiek oczywiście być gotów każdą pobudkę uwzględnić; jeżeli chce w pojedynczym wypadku postąpić moralnie, musi wszelkie możliwe motywa mieć na oku. Będzie mógł wtedy pozostać wiernym sobie, bo nie będzie narażony na powiedzenie sobie po niewczasie: byłbym powinien, lecz uczyni odrazu to, co powinien. Tu oczywiście nasuwa się obiekcyja, że człowiek często nie jest w stanie ze wszystkim się policzyć, znać wszelkich faktów, które wpływ miećby mogły na jego decyzję. Najprzód: *errare humanum* — a po drugie nie można takich stawiać wymagań, by spełnienie najprostszego uczynku wymagało całego życia spędzonego nad deliberacją, nad obrachowywaniem skutków, badaniem stanu rzeczy. Nie, tego Lipps niema na myśli i tego też nikt rozsądny na myśli mieć nie może. A jednak, uczynek każdy będzie etycznie doskonały tylko, jeżeli wyniknie z uwzględnienia wszelkich motywów, a więc z wzięcia w rachubę wszelkich przyczyn, które przemawiają za nim, wszelkich skutków, które z niego wyniknąć mogą.

Niedorzeczność ma dla ludzkiego umysłu dziwny urok. Tak często rozumowania bynajmniej na widok niedorzeczności nie zawracają, by pójść inną drogą, jak człowiek, który widzi, że zbłądził, lecz przeciwnie stają w miejscu, by bez końca się niedorzeczności przypatrywać. Czyniły to filozofie dla tego po prostu, że wyczerpawszy siły, by pójść w jednym kierunku, nie miały ich już by go zmienić. To też nie chodzi o wypominanie czegokolwiek przeszłości, co znów jest niedorzeczne, lecz o strzeżenie się rozumowań, których błędność pojęliśmy.

Prowadzę do tego, że w naszym przypadku, nie orzekniemy z rezygnacją, że moralności niema ani być nie może, bo prawdziwa moralność wymaga co chwila obliczeń w porównaniu do których prostemi są najzawilsze prace astronomów. Lecz powieny przeciwnie, że kiedy moralność nie może być tem, to widocznie jest czem innym. A mianowicie, że nie jest rozwlekłym matematycznym obrachunkiem, lecz zachowaniem się ducha ludzkiego jako żywej jedności, zachowaniem się zaś takim, by każdy wzgląd, każda więc pobudka i wartość każda dojść w nas mogła do pełni swej wagi i swego znaczenia. To jest sama istota zachowania się moralnego. Być niezamąconem zwierciadłem istotnych war-

tości rzeczy. Że absolutna zupełność wszechwzględów znaną nam być nie może, że wszechrzeczy nie jesteśmy świadomi to prawda niewątpliwa, lecz nie przeszkadza ona temu, że jesteśmy moralni z chwilą, gdy nie pozwalamy sobie na żadne zamącenie naszego sądu, na żadne świadome sfałszowanie naszych orzeczeń wartości.

Warunkiem tego będzie, oczywiście zasadniczym, uwzględnianie wszelakiego dobra porównano, mierzenie wszystkich wartości równą miarą. Sprzeciwia się więc moralności wszystko, co się tej równości miary a zupełności względu sprzeciwia. Oczywiście, że przeszkoda najtrudniejsza do przewyciężenia leży w nas samych. Starość tej prawdy nie ubliża bynajmniej oryginalnej dzielności jej pojęcia przez Lippsa. Gdyby jej nikt nie był nigdy doświadczył ani uznał, to widocznie prawdąby wcale nie była. Ze „dawno o tem w Pańskim pisano zakonie, i każdy ksiądz to samo prawi na ambonie,“ to nie jest słuszny zarzut względem żadnej myśli, lecz przeciwnie za nią przemawia. Najtrudniej o starej prawdzie powiedzieć coś nowego. Ludzie najczęściej albo za oryginalnością gonią kosztem treści i dla tego starych prawd słyszeć ani słuchać nie chcą wyznając zasadę, że, co stare to złe; albo przechadzają się leniwie po utartych ścieżkach i wtedy o starych prawdach powtarzają rzeczy także stare i często istotnie już nie wiele warte.

Ta stara prawda, o której Lipps tutaj mówi rzeczy, jak nam się zdaje, nie stare, lecz bardzo dzielne, bo bardzo własne — to oczywiście walka moralności z egoizmem. Że egoizm z moralnością się nie zgadza, to wszyscy wyznajemy, a wielu jest takich, co widzą w moralności czyste zaprzeczenie egoizmowi i nawzajem. Lecz za nim zwrócimy się do wyjaśnienia tych stosunków, jakie Lipps przynosi, pragniemy zwrócić mimochodem uwagę na to, że skłonni jesteśmy do przesady w pojmowaniu tej „walki,“ do dramatyzowania rzeczy, którą pojmować należy spokojnie.

Nie apelujemy tutaj do owych „instyktów altruistycznych,“ którym zresztą nie można odmówić wielkiej doniosłości, byle pojmowane były rozumnie. Lecz o to nam chodzi, że z natury rzeczy nasze ja odporne być musi przykazaniu moralnemu, gdyż inaczej to ostatnie nie byłoby sobą, lecz jakimś bezmyślnym a w każdym razie anormalnym instyktem. Moralność jest formą, ja zaś materiałem w rękach woli. Nie dla tego materiał opór stawia, że jest zły, lecz dla tego, że jest materiałem. Byłby przeciwnie zupełnie niezdatny, gdyby go nie stawiał. Darmobyśmy się starali, nadać mu formę. Dla naszej świadomości wszelka czynność, wszelkie działanie posuwa się zawsze „wzdłuż linii największego

oporu.“ Nie idzie zatem bynajmniej, by przeciwieństwo zachować wiernie musiało formę brutalnej walki. Ta zresztą póki sobą pozostaje nie prowadzi wcale do celu. Nie ten jest wielkim artystą, kto zerwał struny swej lutni, ani kto w kawałki bezkształtne rozstrzaskał kamień, co dopraszał się kształtu.

Ze coś posiada wartość dla mnie i tylko dla mnie, to nie dowodzi bynajmniej, że wartość to wrzekoma, iluzoryczna. Przeciwnie, wiemy wszyscy, że każdy ma swoje potrzeby ściśle indywidualne, których zaspokojenie bezwzględnie jest konieczne, a więc też bezwzględnie uprawnione. Ale obok tych indywidualnych wartości uprawnionych, są inne wartości subiektywne, które dla jednego indywiduum pozornie są wartościami, lecz nie są nimi wcale dla innych, takie więc, którym inne wartości przeczą. Oczywiście, że takie wartości nie są wcale wartościami, lecz właśnie bezwartościami, a więc sąd, który im przyznaje wartość, jest błędny i etycznie niepoprawny.

To, co tu powiadamy o zasadniczych orzeczeniach wartości, to oczywiście analogiczne znajduje zastosowanie do orzeczeń względnych, t. j. tych, które rzeczom większą lub mniejszą wartość przypisują. Wszyscy łatwo oddajemy się złudzeniu optycznemu, na mocy którego, to co jest bliskie wydaje się większe, choć jest może dużo mniejsze od tego, co jest daleko. To, co nas osobiście dotyczy, nas obchodzi, przedewszystkiem nam przynosi pożytek lub szkodę — to uważać jesteśmy skłonni za szczególnie doniosłe i ważne, przedewszystkiem za szczególnie wiele warte lub potępienia godne. Zachodzi tu proste złudzenie i nic więcej. To co mnie spotyka, to co dla mnie coś przedstawia nie jest ani o włos więcej lub mniej warte dla tego, że do mnie właśnie się odnosi. Istota rzeczy pozostaje zawsze ta sama, a to czy tego indywiduum, czy innego dotyczy, to jest przypadkowe, to w niczym właśnie tej istoty rzeczy, a więc też jej rzeczywistej, obiektywnej wartości, nie zmienia.

Z tego, co tu mówimy wynika logicznie sąd Lippsa o egoizmie. Egoizm, który wszystko odnosi bezpośrednio do siebie, wszystko mierzy miarą własnego ja — jest po prostu *falszem*, a niemoralność jego pozostaje w prostym stosunku do stopnia, w jakim on jest *zaprzeczeniem wartości*. Rozumie się, że chodzić tu będzie o wartości inne, bezpośrednio nam nie dane, lecz akurat tak samo uprawnione, jak nasze własne, a którym zaślepiony w sobie samym egoizm najbezszywniej przeczy i kłam zadaje. Jest on niemoralny, bo moralność to nie innego, jak chcenie wartości, wola dobrego, a więc wszelkiej wartości, wszelkiego dobra

niewyłącznie. A wszelkie zło jest niem o tyle, o ile jakimkolwiek wartościom zaprzecza. I właśnie dla tego jest egoizm potępienia godny.

A jest on zarazem w sobie samym sprzeczny, bo niekonsekwentny. To co uznaje za wartość w jednym wypadku, nie uważa za nią w drugim, to czego chce tutaj, to tam mu jest zupełnie obojętne. Jest on hołdowaniem owemu optycznemu złudzeniu, jest dosłownie ograniczonością, wrytem trwaniem przy najpierwotniejszych, najbezpośredniej danych, najnaiwniejszych poglądach. Porównać go można zupełnie słusznie z owymi pierwotnymi pojęciami np. fizycznymi, które posiadają pewne uprawnienie, bo rzeczywiście są tem, co jest bezpośrednio świadomości dane, ale które *dalsze doświadczenie*, uzupełniając pierwotne, modyfikuje i gruntownie zmienia. Mamy tu na myśli wyobrażenie, że ziemia jest płaska, że słońce kręci się koło ziemi i t. p., albo, wróćmy do naszego przykładu, że oddalając się rzeczy naprawdę maleją, dźwięki istotnie cichną.

Lecz tak samo jak wszystkie te uludne pozory w świecie zmysłów mają swoją prawdę, w miarę poznawania której nauka czy codzienne doświadczenie *je sobie wyjaśnia*, podobnie i egoizm ma swoją niezaprzeczoną prawdę. Lipps traktuje tę kwestyę, o której tak strasznie zawile teorie nieraz się słyszy z prostotą, którą prawie naiwnością nazwaćby można, gdyby ona nie wynikała właśnie z jasnego rozpoznania samej istoty rzeczy.

Prawdą egoizmu—rozdzieliśmy tu więc wyraźnie egoizm jako taki, który za fałsz poczytaliśmy, od tkwiącej w nim części prawdy—prawdą egoizmu jest przedewszystkiem to, że wartość *wogóle poznajemy* przez to, że pewne rzeczy mają, czy to dla nas bezpośrednio, czy dla naszych celów wartość. Gdybyśmy w stosunku naszym do rzeczy, tej kategorii nie znali, oczywiście, że nie doszlibyśmy nigdy do rozwoju tego pojęcia, którego zupełnie poprawne stosowanie, jest samą pełnią moralności. To jest zasadnicze uprawnienie egoizmu.

Bardziej praktyczne w konsekwencyach, lecz zupełnie temu pokrewne, jest rozumowanie następujące. Kiedy chcemy wszelkiego dobra, kiedy dążymy do realizacyi wszelkich wartości, to oczywiście, że starać się będziemy o realizację wszelakich wartości, których możliwość dana jest w nas samych, zupełnie w tej samej mierze, co o urzeczywistnienie wszelkich innych. Przez to samo znajduje więc pewien moment egoizmu najniewątpliwiej moralną sankcyę. Lecz jak daleko sięga uprawnienie egoizmu, w jakiej mierze prawo mamy myśleć o sobie, dbać szczególnie o to,

co nas dotyczy — pojmiemy z tego punktu widzenia dopiero zdawszy sobie sprawę, że w nas samych dane nam są właśnie możliwe wartości, czy możliwości wartości, jakie nigdzie indziej nie są nam przystępne, a które nawzajem nikomu innemu nie są przystępne prócz nas samych. Dla tego, nie zaś dla tego, że chodzi o nas, a nie o kogo innego, mamy etyczne obowiązki względem siebie samych, jakich względem nikogo innego nie mamy, odpowiednio więc też prawa, których nikomu innemu przyznać nie możemy. Nie zachodzi tu wyjątek żaden, lecz przeciwnie, zastosowanie ogólnego prawidła.

Tak samo wyjaśnia Lipps etyczne uprawnienie wszelkich ściśle osobistych stosunków i wynikających z nich obowiązków rodzinnych, przyjacielskich i t. p. Nie mam i nie mogę mieć obowiązków innych w zasadzie względem jednego człowieka, co względem innego. Przypuszczając to popadam niechybnie w owe zasadniczo-antymoralne zaprzeczenie wartości. Nie jest uprawnione etycznie czynienie dobrze przyjacielowi dla tego, że on mi jest przyjacielem. Przeciwnie, przyjaźń powinna być wynikiem etycznego stosunku do wszystkich ludzi, który oczywiście w stosunku do wszystkich, zrealizować się nie da. Wszelkie więc obowiązki płynące ze stosunków osobistych, są, naturalnie o ile etycznie poprawne, obowiązkami najzupełniej ogólnymi, zobowiązaniami, które mamy wobec wszystkich, ale które spełniamy oczywiście w tej sferze, w której się znajdujemy, która nam jest przystępna. Lecz, że właśnie w tej a nie w innej działamy, że wobec tych a nie innych osób obowiązki te spełniamy, to jest zawsze przypadkowość, jako taka oczywiście znowu uprawniona, ale nie istota rzeczy.

Znaczenie tej zasady jeszcze się wyjaśnia, gdy weźmiemy ją od strony odwrotnej. Jeżeli chcemy „dobrze czynić“ tym, którzy nam są szczególnie bliscy — to oczywiście, że chcemy dla nich tego, co wogóle za dobre uważamy. A nawzajem cokolwiek przez szczególne stosunki z ludźmi za cenne, za pożądane uznaliśmy, za wartościowe, to musimy też konsekwentnie uważać za takie, a więc popierać, pielęgnować, a przynajmniej szanować wszędzie i zawsze w stosunkach naszych do wszystkich, i w stosunkach wszystkich do wszystkich.

To nas bezpośrednio prowadzi do pojęcia istoty altruizmu i jego etycznej oceny. Jeżeli altruizmem nazwiemy poprawny etycznie stosunek do bliźnich, to istotą jego nie będzie innego, jak właśnie uznawanie wszelkich wartości w innych i dla innych zupełnie tak samo, jak u siebie i dla siebie, to znaczy w miarę

istotnej wartości, a nie czego innego. O ile tem jest altruizm, odpowiada on samej istocie moralności i jest jej najprawowitszą realizacją. Lecz wynika z tego zarazem, że nie wszystko, co nazwać można altruizmem, jest eo ipso moralne i etycznie poprawne.

Nie zatrzymując się długo przy tej kwestyi skonstatujemy tylko, że bynajmniej nie jest etycznie uzasadnione wszelkie zaprzeczenie egoizmowi, wszelkie poświęcenie siebie dla innych. Nie chodzi wcale o to, czy ja jestem przypadkowym środkiem, istota rzeczy to realizacja wartości, pytanie więc decydujące jest to, gdzie jest wartość wyższa i większa. Wynika z tego jeden bardzo ważny wniosek, to że o ile altruizm wynika niewątpliwie z zasady moralności, o tyle nie może być mowy o jakiejś „altruistycznej“ zasadzie moralności. Ogromnem powodzeniem cieszy się dziś pojęcie „moralności społecznej,“ etyki „socyjalnej.“ O ile pojęcie to wyraża *wynik*, albo po prostu zastosowanie moralności, która sama w sobie nie może być nigdy ani socyjalną, ani indywidualną, ani egoistyczną, ani altruistyczną, bo pozostanie zawsze jednym słowem „moralną,“ o ile o tej moralności społecznem zastosowaniu jest mowa, o tyle etyka społeczna jest pojęciem pełnem doniosłości. Lecz jest niczem więcej, tylko bezmyślnym frazesem, kiedy podaje się za jakąś moralną *zasadę*, bezsenssem, kiedy wystawia sobie, że jest nową *formą moralności*, powołaną do tego, by zastąpić dotychczasowe kształty „etyki indywidualnej.“

Zasada moralności jest jedna tylko, która pozostaje zawsze tą samą, jakiegokolwiek jej zastosowania, jakiegokolwiek więc jej zewnętrzne kształty—a jest nią, jak uznaliśmy z Lippsem, rozeznanie wartości od bezwartości i wola urzeczywistnienia tego, co się za wartość bezwzględna, t. j. za *dobrze* uznało. Podstawą jej jest jak najdoskonalsze rozeznanie dobrego i złego, a to wypłynąć może tylko z woli uznania wszelkiej wartości, a więc też mierzenia jej tylko miarą jej samej.

X.

Pojęcie *wartości*, jako właściwości rzeczy, to znowu bezpośrednio dany fakt psychiczny, który niczem innym wytłómaczyć się nie da, nie da się sprowadzić do niczego innego. Jest to więc fakt pierwotny, którego nie można dyskursywnie *dowieść*, ale też dowodzić nie potrzeba, a któremu przeczyć, znaczy przeczyć oczy-

wistości faktów. Tyczy go się więc wszystko, cokolwiek o psychicznych faktach tego rodzaju powiedzieliśmy.

Wartość jest właściwością rzeczy, przedmiotów naszej świadomości. A więc spełna wartość jest niczem innym, jak prawdą rzeczy, prawdą obiektywną i bezwzględną. Śmiałe słowo! A jednak dziwnie proste i jasne, bo powiedzieć można, że wyraża tautologię. Powtórzyć tylko potrzeba, cośmy powiedzieli w swoim miejscu o wszelkiej prawdzie bezwzględnej. Prawda absolutna, to prawda czysto rzeczowa, zmuszająca nas do uznania jej bezwzględnie, apodyktycznie. Tak samo wartość bezwzględna, to wartość, która narzuca nam się świadectwem faktów, której uznania *wymagają rzeczy*. A oczywista, że inna wartość, nie jest wcale wartością. Jest wartością możliwą, posiada pewne cechy wartości, zawiera pewne jej momenta, ale nie jest wartością zrealizowaną, zupełną i dojrzałą. Bo z chwilą, gdy się spełnia, gdy się wszechwzględnie narzuca, staje się nam właśnie wartością bezwzględną.

Skoro wartość jest prawdą „rzeczową“, trzeba jej szukać w rzeczach, bo tylko z obiektywnego poglądu na rzeczy wyniknąć może jej poznanie. Jednym słowem tak jej szukać trzeba, jak wszelkiej „prawdy rzeczy“, słuchając wymagania rzeczy i jego tylko. To jest bezpośrednia psychiczna forma etycznie prawego zachowania się. Jest ono w gruncie rzeczy po prostu myślowo poprawnem. Największym jego więc wrogiem, bo istnem przeciwieństwem, będą według Lippsa te wszystkie ograniczenia, spaczenia, niedostatki, które z podmiotu pochodzą, a spełnieniu wymagań rzeczy się sprzeciwiają. Mówiliśmy już o zasadniczej w tym względzie przeszkodzie, t. j. o egoizmie. Ma on się do doskonałego rozeznania dobrego i złego, zupełnie tak, jak osobiste uwidzenie do pełnego poznania prawdy. Lecz, rozumie się, że wszelkie narowy myśli, wszelkie przesady, wszelkie uprzedzenia, jednym słowem wszystko, co sprzeciwia się uznaniu rzeczowej prawdy, bez względu na to, czy posiada specjalną cechę egoizmu, stoi przez to samo na przeszkodzie uznaniu i spełnieniu tej *rzeczowej prawdy*, którą jest *spełna wartość*.

Nie rozwodzimy się tutaj nad temi pojęciami, które już znamy i chcemy tylko wyświetlić ich znaczenie etyczne, przez co żywotny związek etyki Lippsa z całokształtem jego psychologii się wykazuje, a nawzajem doniosłość i dzielność ogólnych psychologicznych jego teoryj w tem szczególnem zastosowaniu się, wyjaśnia. Tak jak prawda etyczna jest prawdą rzeczy, tak też uznając ją, podnosząc się do niej, usposabiając się do jej przyjęcia

realizujemy w sobie *idealne ja*, które przewyciężyło ograniczenia indywidualne i stało się niezamąconem zwierciadłem prawdy rzeczy, w tym wypadku wszechwzględnej wartości. Więc tak jak myśl prawa wkracza w sferę idealnego ja, przekraczając pierwotnie dane poglądy na rzeczywistość, tak też istota etycznego życia polega na dążeniu do *zrealizowania w sobie idealnego ja* przez oswobodzenie się od panowania bezpośrednio przyrodzonych pobudek a podniesieniu się do świadomej jednolitości działania. Tak jak wszelka praca myśli dąży do uzgodnienia pojedynczych orzeczeń, tak też integracja pojedynczych aktów woli jest celem „pracy nad sobą,” istotą etycznego dążenia.

Moralnie doskonała pobudka nie może być wedle tego pojęciem za pierwszym lepszym popędem, usłuchaniem osobistego uwidzenia lub spełnieniem zachcianki — lecz zawsze musi być zasadą „ogólną,” bo *rzeczą*, konieczną, bo założoną nie w żadnej przypadkowości podmiotu, lecz w istocie przedmiotu, która właśnie dla wszystkich możliwych podmiotów jest jedna i ta sama. Nie będziemy raz jeszcze powtarzać tego wszystkiego, cośmy już o ogólności idealnego ja powiedzieli, lecz zrobimy raczej historyczną refleksję.

Kiedy pobudka moralna jest zawsze prawdą ogólną, to oczywiście wynika z tego przykazanie: „Postępuj tak, aby zasada twego postępowania była zasadą ogólną.” Tak mniej więcej brzmi najwyższe przykazanie moralne u Kanta, i właśnie na tę kantową zasadę pada z teorii Lippsa promień jasnego światła. Kant bo właśnie, tak jasno rzeczy nie wypowiada, lecz mówi zawsze, że działanie moralne jest wtedy, kiedy jego zasada jest tego rodzaju, by mogła być prawidłem ogólnem, czy prawem natury. Otóż Lipps wykazuje głębokie uprawnienie tej myśli, a wyjaśnia zarazem jej istotne znaczenie nadając jej treść konkretną, wprowadzając ją w sferę konkretnych psychicznych zjawisk.

Owa zasada działania, zdolna, by być prawidłem ogólnem, nie jest żadną mistyfikacją, ani też pustem wyrażeniem. Lecz dziwnie nam czasem trudno jasno sobie z tego zdać sprawę, że gdy chodzi o prawdy ogólne, to nie trzeba uporeczywie czepiać się orzeczeń, które są właśnie poszczególnymi, pojedynczemi tylko wypadkami. Cała trudność w zrozumieniu Kanta polega na uwolnieniu się od tej tendencji, co jemu samemu nie zawsze się udaje. A Lipps właśnie tak niezmiernie jasno pojął i wykazuje, że nie idzie tu ani o to, ani o owo, lecz po prostu o *wszystko*; że ową prawdziwie ogólną zasadą postępowania, że rzeczywiście moralną pobudką nie jest ani ta, jako taka, ani też żadna inna sa-

ma w sobie — lecz jedynie sama ich zgodność ze wszystkimi innymi, ich *wszechwzględność*.

Chodzi tu o zasadę postępowania, nie o postępek, chodzi o moralność, jako cechę pojedynczych uczynków. Moralny lub niemoralny, dobry lub zły może być ten lub ów uczynek. Ale miarą tego, o ile on jest taki, probierzem tego, czy jest taki, nie może być jakiś inny fakt jemu podobny, który znowu mierzy się innym i t. d. Tylko powszechność wszechwartości może być miarą absolutną wartości, tylko objęcie *wszystkich* pobudek rzeczywistych i możliwych *w każdej z osobna* może stać się pobudką ostateczną, nieodwołalną, bo spełna uprawnioną. Wtedy też jest jej treść, tem, co naprawdę być powinno, a spełniając to, będziemy pewni, że nic nas już nie zmusi do zmiany sądu, do sprzeniewierzenia się sobie.

To też wymagana przez Kanta prawidłowość działania nie powinna bynajmniej być pojęta, jako jakaś jednostajność, bo żywotną jednolitością działania—jedyną prawdziwą—jest ogarnięcie wolą wszelkich pobudek, a więc celów, nie zaniechanie nigdy żadnego, a zawarcie w każdym z osobna wszystkich — chcenie rzeczy każdej z osobna tylko dla ogólnego dobra.

Zasadniczy charakter „ogólności,” który Lipps za Kantem moralnemu dobru przyznaje, przywdziewa jednak też szatę bardziej konkretną. Nietylko dobro jest w samej swojej istocie przekroczeniem indywidualnych przypadkowości a kierowaniem się powszechnem prawidłem, lecz zupełnie realnie wyjście ze siebie, by uprzystępnąć się wszelkim wartościom, by ich szukać, gdziekolwiek one się znajdują, rozszerzenie więc swej istoty, by w nią wprowadzić powszechność wszechżycia—to dla Lippsa jest samym nerwem moralności. Wypatrywać wszystkiego, co jest wartością, chcieć wszystkiego, co być powinno, a więc w gruncie rzeczy: nil humani a se alienum putare—oto doskonałość.

Używamy tego słowa, którego uprawnienie każdy wyczuje, lecz którego mimo to teoretycznie jeszcze usprawiedliwić nam trzeba. Mówiliśmy dotąd o wartości, jako właściwości rzeczy, jako właściwości arcyprzedmiotowej, która orzeka, że coś prowadzi do celu, odpowiada swemu przeznaczeniu i t. p. Nic łatwiejszego, jak takie pojęcie rzeczy doprowadzić do absurdum, albo też, co najczęściej w takich wypadkach się dzieje, pojąć je skrajnie, abstrakcyjnie, wyłączenie—czy potem wręcz przeciwnie ogłosić je za względne i trafne ledwie w przybliżeniu. Trzymajmy się naszego przykładu. Zdolność do osiągnięcia pewnego celu, uznajemy za istotę wartości. Wartość ma rzecz każda, o ile jest

środkiem do celu. Ale ten cel znowu jest etycznie pożądanym tylko o tyle, o ile jest to środkiem do innego celu i t. d. w nieskończoność. Cóż z tego wynika? To co orzeka dzisiaj prawie ktokolwiek mówi i pisze: że wszelkie próby określenia wartości są względne, że o pojęciu istoty dobrego lub złego mowy być nie może.

Czy więc porzucić to pojęcie wartości, by szukać innego? Próba dozwolona, ale doprawdy niewdzięczna. Bo każde pojęcie wyda się niedorzecznym, gdy je się niedorzecznie zastosuje. Natomiast niema chyba pojęcia tak fałszywego, by nie było można dojść przez nie do prawdy, jeżeli je się poprawnie użyje. W naszym wypadku powiedzieć sobie trzeba, że tak pojęty środek do celu, przedewszystkiem być nim przestaje. Bo środka niema bez celu. Jeżeli więc żadnego celu, któryby był nim istotnie nie pomyślimy, to daremnie rozprawiać będziemy o środkach. Lecz nie tylko daremnie, bo także *bezprawnie*. Nie o pojęciu środka i celu mówimy, póki de facto ani środka ani celu nie określiliśmy. Nie pojęcie środka i celu jest więc niedołączne, lecz niedołączne jest wszelkie pojęcie nie zastosowane, jak trzeba, i pozostawione *pustem*.

Chodzi więc o to, skoro wartość, jako „celowość“ pojąć chcemy, by cel określić, cel ostateczny, który nie jest już środkiem do żadnego innego celu, przy którym zatrzymać się mamy prawo. Tutaj najdzielniej przychodzi nam w pomoc psychologia — rozejrzenie w świecie świadomości. Jeżeli bowiem logicznie trudno nam być może w każdym pojedynczym wypadku określić ściśle ową najwyższą determinację celu, po za którą wychodzić nie mamy już potrzeby, to w obserwacji psychologicznej tę determinację odkrywamy odrazu, w życiu zaś rzeczywiście na niej się opieramy. Ta determinacja, ta niewzruszona granica wszelkiej względności spoczywa *w nas samych*. Albo raczej my sami ją stanowimy.

Jeżeli świat zewnętrzny jest nieskończonym pasmem związków i stosunków rzeczy pomiędzy sobą, i jeżeli wskutek tego żadnego ogniwa tego łańcucha za ostatnie i ostateczne poczytać nie mamy prawa, to łańcuch przeciwnie uznajemy za zakończony, owo nieskończone wiązanie się odniesień za zawieszone z chwilą kiedy nasza własna istota z nim się zetknie. Jest to zupełnie uprawnione wrażenie, boć nasze ja jest właśnie dla nas samych istotnym punktem rodnym całego istnienia. Przestałoby być sobą, a więc my nie byłibyśmy świadomymi siebie istotami, gdyby nasze ja nie było czemś stałym, bezwzględnym, wychodzącym po za niewstrzymany korowód rzeczy. A my właśnie żyjemy indy-

widualnie, każdy z nas jest sobie centrem, do którego⁴ wszystko odnosi, w którym i przez które wszystko inne dla niego istnieje.

Jest więc najzupełniej zgodnym z całą prawidłowością psychicznego życia powiedzieć z Lippsem, że ową nieskończoną gonitwą celów i środków uznać mamy prawo za zakończoną z chwilą, gdy wkroczy ona bezpośrednio w samą sferę świadomości. A będzie takie orzeczenie ostatecznie niczem innym, jak skonstatowaniem faktu. Ja, to punkt w sferze świadomości, gdzie odniesienia i względy po prostu ustają, ustępując miejsca samoistnie narzucającej się prawdzie. Zgadza się takie pojmowanie z uznaniem psychicznych faktów za dane par excellence bezpośrednie, nieodnośne—o czem w swoim miejscu szeroko mówiliśmy.

Określimy więc wartość już nie ogólnie jako zdolność prowadzenia do celu, lecz powiemy wyraźnie, że warte wiele, że dobre jest to, co urzeczywistnia cele, co spełnia przeznaczenie naszej świadomości. Ponieważ zaś świadomość naszą, ponieważ ducha ludzkiego za ostatnią instancję uznać chcemy, więc wątpliwości żadnej nie ulega, jak to rozumieć wypada. Skoro on nie jest środkiem urzeczywistnienia żadnego już dalszego celu, więc jego właśnie najprawdziwszą istotą, najistotniejszym przeznaczeniem będzie realizowanie własnej treści, rozwijanie i potęgowanie sił własnych, mnożenie własnego bytu. Rozrost i podniesienie życia ludzkiego ducha—oto *istota wartości*, oto *absolutna wartość*.

Lecz czy takie określenie nie sprzeciwia się zasadzie podstawowej, według której wartość prawdziwa tam się dopiero zaczyna, gdzie uznanie wszelkiej wartości, bez zaprzeczenia żadnej? Czyż identyfikując wartość z cennością dla ludzkiego ducha, nie zadajemy kłamu ustawionej przez nas co dopiero zasadzie? Skąd wiemy, że po za duchem ludzkim niema żadnej wartości?—Tu znowu wszystko zależy od tego, czy ktoś ducha ludzkiego pojmuje formalistycznie, zewnętrznie, a więc w gruncie rzeczy zaprzecznie czy też treściwie, istotnie i dodatnio. Nic łatwiejszego jak całe nasze rozumowanie zburzyć. Zresztą nie potrzeba iść aż w teorye filozoficzne, by się przekonać, że burzyć jest wogóle niezmiernie łatwo, zwłaszcza, gdy się ma zamiar na tej czynności z zadowoleniem poprzestać. Sprzeczność wydaje się oczywistą—pomiędzy pojęciem wszechwzględnej wartości—a wartości dla ducha. Sprzeczność będzie tak długo, póki jej nie zniesiemy, t. j. pojęć tych nie zrozumiemy tak, by nie były z sobą sprzeczne, lecz przeciwnie, warowały się wzajemnie.

Niewątpliwie zatem miarą najwyższą wszelkiej wartości będzie duch ludzki, lecz aby nie sprzeniewierzyć się wyraźnie po-

stawionej zasadzie, że wszechwzględna musi być wartość, aby być sobą, nie mamy prawa pojmować tego miernika martwo i negatywnie. Nie ustanowimy więc jakiejś niedołącznej i niedorzecznej listy wartości, według tego, czy są dla ducha mniej czy bardziej pożyteczne, ważniejsze lub mniej ważne i t. p., lecz wymagać będziemy przeciwnie, by duch objął wszystko, cokolwiek być może wartością. Z jednej więc strony sprowadzenie wszystkiego do ducha ludzkiego, który jest najwyższą sankcją wartości, a z drugiej rozszerzenie tegoż ducha takie, by pojął w sobie wszelką możliwą wartość, aby się stał wszelkiego dobra zrealizowaniem—oto dwa momenty składające się na *zupełne dobro*.

Są to, co prawda, dwa przeciwne wyrazy prawdy jednej i tej samej. Bo pojmijmy tylko owo sprowadzenie wszystkiego do ducha treściwie i dodatnio, a wnet zrozumiemy, że niezbędnym warunkiem mierzenia wszystkiego podług ducha, jest zastosowanie się jego i dostrojenie do wszystkiego, czego ma być miernikiem. Tak samo jeżeli duch ludzki ma przyjąć w siebie wszelką wartość, ma być jej spełnieniem, subiektywną sankcją, to oczywista, że owa wartość musi już egzystować, jako stan rzeczy po za nim, jako coś, do czego odnosić się może, co jego podmiotowej determinacji jest przedmiotem. Nie może w duchu okazać się dzielnym, co w rzeczywistości marne, silnem to, co słabe, bo on jest i ma być właśnie wiernym wyrazem rzeczywistości, niezamąconym zwierciadłem rzeczy.

Nic więc fałszywszego, jak chcieć rozdzierać to, co jest w istocie swej nierozdzielne. Owo zupełne równouprawnienie momentu subiektywnego i obiektywnego musi być niewzruszoną podstawą całego naszego rozumowania. Nie przeszkadza też jemu fakt, że ile razy orzeczenie jakies wypowiedamy, możemy tylko w jednej z dwu form je zawrzeć, więc moment subiektywny za pierwotny a obiektywny przyjąć za pochodny lub odwrotnie. Lecz rozumiemy jasno, jaka jest prawda tej formy, strzeżmy się brania wyrazów za pojęcia i rozumienia formalistycznie.

Lipps sam skłonny jest w pojedynczych wypadkach do nieuwzględniania całego prawa strony obiektywnej. Zdarza mu się zapominać, że cokolwiek powinno być w nas i dla nas—być powinno spełna w rzeczywistości życia. Jest on pod tym względem obciążony nieprzerwaną tradycją niemieckiej myśli, która od czasów Kanta—a może wymienić wypadaloby Lutra—do tej jednostronności nieprzeparty miała pociąg. Ale nie chodzi nam tu o szczegóły, ani pojedyncze jego zapatrywania, lecz o odbudowa-

nie tego, co w pojęciach naszego filozofa pozytywnie łączy się i buduje w organizm myśli.

Dość więc, że wszelka celowość, wszelka wewnętrzna dzielność, wszelka siła i piękność rzeczy staje się *wartością* przez zetknięcie się ze świadomością, przez wstąpienie w sferę czucia i wiedzy ludzkiej. Przystają one wtedy być przymiotami rzeczy, przedmiotów zewnętrznych, a stają się żywymi determinacjami jaźni, działającymi w niej organicznie siłami. A nawzajem nasze ja przestaje być tylko sobą, bo wylewa się ono na rzeczy, na świat zewnętrzny, staje się w nich obcem i udziela im przymiotów i własności jemu tylko właściwych i dostępnych.¹⁾

Lecz jeżeli w świadomości ludzkiej ostatnią instancją wartości, najwyższy, doskonale dostateczny cel upatrujemy, to ze stanowiska tejże świadomości inaczej istotę wartości pojmiemy, w inną formę ujmemy jej określenie. Jeżeli celowość, dzielność wewnętrzna jest istotą wartości *w rzeczy i podług rzeczy*, to czym jest wartość *w duchu ludzkim* i dla tegoż ducha? Już nie celowością, harmonią, siłą, dzielnością? I owszem, i tak mamy prawo się wyrazić, i nieraz jeszcze tak wyrazimy się, to jest to co duch znajduje w rzeczach, co w nich ceni i na mocy czego wartość im przypisuje. Ale nam chodzi tu zasadniczo o podmiotową stronę rzeczy. Dlaczegoż ta dzielność, ta harmonia jest dla ducha ludzkiego wartością?

I tu właśnie według tego, co o najwyższej miarodajności ducha powiedzieliśmy, odpowiemy, że wartość jest wartością po prostu wtedy, kiedy spełnia coś, co w duchu jest założone, kiedy wydobywa na jaw jakąkolwiek jego możność, kiedy realizuje w nim cośkolwiek bądź *pozytywnego*. Wszystko, co w duchu *jest*, jest cenne, posiada przez to samo wartość. Nic innego nie znaczy i znaczyć nie może orzeczenie, że duch jest wartości najwyższym miernikiem. „*Cennem jest w człowieku wszystko, cokolwiek jest w nim czemś pozytywnie.*“²⁾ Oto bezsprzecznie centralne pojęcie w etyce Lippsa, dojrzały owoc całego rozumowania, które za nim mozolnie przeszliśmy, rozwiązujące wszelkie trudności myśli, na których się opiera, a stanowiące jasne i niezawodne oparcie dla wszelkich orzeczeń naszego myśliciela w sprawie zagadnień etycznych. Powiedzmy też odrazu, że daje ono każdemu w rękę

¹⁾ O tym stosunku jaźni do świata zewnętrznego poniżej jeszcze będzie mowa, gdy zasadę estetyki Lippsa wyłożymy.

²⁾ *Ethische Grundfragen* str. 132.

najlepszą korekturę poszczególnych zapatrywań Lippsa na kwestye specyalne, które, jak zaznaczyliśmy, od jednostronności wolne nie są, a wogóle zdradzają pewną skłonność do radykalizmu, u niemieckich umysłów tak częstą.

XI.

Mamy więc zasadę etyczną wprowadzoną w pełni konkretnego życia ducha i zastosowaną do niego. Nie stawiamy już kwestyi ogólnikowo, gdyż ujęliśmy ją w formę, która się bezpośrednio daje stosować. Lecz nic z tego cośmy powiedzieli nie przestało nas obowiązywać, owszem pełną prawdę swoją znalazło. Cenne jest wszystko, co jest celowe, co spełnia swoje przeznaczenie, co na jaw wyprowadza założone w sobie możliwości. O niczem z większą słusnością powiedzieć tego nie można, jak o siłach, o zdolnościach, o funkcjach ludzkiego ducha. Każda struna duszy, wydając właściwy sobie ton, urzeczywistnia w nim coś nowego, przynajmniej mu życia — co jest samą istotą wartości.

A jeżeli logicznie uznaliśmy, że tylko wszechwzględna wartość jest nią naprawdę, że integracya aktów woli jest wolą doskonałą etycznie — to tutaj jasno i konkretnie pojmujemy, że jeżeli o realizacyę wszelkich pozytywnych potęg ducha chodzi w moralności, to moralność tam jest dopiero, gdzie jest harmonia duchowych funkcyj, gdzie one między sobą się nie niweczą, lecz wzajemnie się potęgują i pomnażają. Cechą zaś moralną jakiegokolwiek funkcji duchowej będzie w równej mierze pozytywne zrealizowanie się jej samej, co podniesienie przez nią całokształtu życia, a w nim spotęgowanie innych każdej z osobna.

Wreszcie powiedzieć możemy wprost i wyraźnie cośmy już wypowiedzieli w formie pośredniej, że według tej nauki nie innego nie jest celem moralnego życia, etycznej pracy nad sobą, jak spotęgowanie sił swego ducha, wzbogacenie jego treści, rozszerzenie i pogłębienie jego istoty, podniesienie poziomu jego istnienia. Środek do tego celu jest jeden tylko, to niczego nie zaniedbywać, od niczego się nie uchylać, wszystkiego się imać, wszystkiego doświadczać, jak się już wyraziliśmy, w najpełniejszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu — nil humani a se alienum putare. „Cokolwiek zawiera w sobie jakąś siłę, działalność, ży-

wotność osobistości, tak samo wszelka żywość umysłu, wszelka siła i szerz uczucia — wszystko to należy do cnoty.“¹⁾

Aż nadto jasno wynika z poglądów, któreśmy poznali, że jeżeli taki jest cel i taka istota moralności w pojedynczym człowieku, to powszechnem dobrem, dobrem par excellence ogólnem i absolutnem, będzie takie pomnożenie, podniesienie, pogłębienie życia całej ludzkości — ludzi wszystkich bez wyjątku. A najlepszem zabezpieczeniem przeciw jakimkolwiek pokusom utylitarystycznym będzie jasne pojęcie, że *zasadą* wszelkiego dobra powszechnego, wszelkiego pożytku społecznego, jest i może być tylko *wartość dla osobistości i w osobistości.*²⁾

Lecz niebezpieczeństwo zdaje się tutaj grozić z innej strony. Jeżeli ta afirmacja *osobistości*, jako najwyższej wartości etycznej jest ostatecznem potępieniem utylitaryzmu — czy nie jest nią właśnie, jako wyraz *indywidualizmu* — przeciwnej jednostronności? Czy nie odzywa się tutaj u Lippsa echo gwałtowniczych nauk Zaratustry? Wszelkie przypuszczenie tej treści będzie z gruntu fałszywe. Mimo pewnego zewnętrznego podobieństwa, pojęcia Lippsa są najjaskrawszą antytezą teorii Nietzschego. Indywidualizm w etyce, to wymaganie, by z jednostki zdjęte były wszelakie ograniczenia — nietylko — to pojęcie nie wystarcza. Indywidualizm robi z jednostki samą zasadę i miernik dobrego i złego — a więc przedewszystkiem odbiera jej wszelką wolę wyjścia po za siebie, wszelką aspiracyę wzniesienia się ponad stan bezpośrednio dany. Indywidualizm dosłownie stosowany, to z pewnością nie kolebka nadczłowieczeństwa, lecz hodowla mierności.

Otóż przedewszystkiem pojęcie „wartości dla osobistości“ u Lippsa, to pojęcie zupełnie innego rzędu niż indywidualizm indywidualistów. Nie tem się jest indywidualistą, że się indywiduum za samą treść i istotę wartości poczytuje — lecz tem, że się *de facto istnieniu* wartości *przeczy*. Nie przypadkowo to Zaratustra poleca swym uczniom, by nie mówili „powiniem“, lecz „chcę.“ Jeżeli naprawdę wszystko ma bezwzględne prawo bytu, cokolwiek znajduje się w indywiduum tylko dlatego, że jest *w niem*, to oczywista, że mówić już nie można o niczem, iż być powinno albo nie być. Dość, że jest w indywiduum, że nosi na sobie jego nieocenione piętno. A jeżeli nie dostaje czego jakiej jednostce, jakim prawem jej to narzucić? Ona ma prawo być

¹⁾ Loco citato.

²⁾ Tak tłumaczymy niemieckie: Persönlichkeitwert.

taką, jaką jest na mocy tego poprostu, że jest sobą. To jest jedyny tytuł prawny, jaki uznaje indywidualizm.

A więc Lipps jest w sprzeczności z właściwym indywidualizmem przez to samo, że zakłada całą etykę swoją na „orzeczeniu wartości,” pojęciu, że coś być powinno. Przeciwnieństwo jest chyba tem bardziej zaostrome, że ogólną formą, pierwszą zasadą idei powinności jest, jak widzieliśmy u Lippsa, myśl tak bystra i głęboka psychologicznie—wymagania *rzeczy*. Właśnie w zrozumieniu tego, że powinność jest zawsze przykazaniem wynikającym z odróżnionego od jaźni stanu *rzeczy*, czemś narzucającem się z zewnątrz, czemś co jest dla naszego ja przedmiotem, leży już przekroczenie stanoweze owego amoralnego indywidualizmu—czy indywidualistycznego amoralizmu, który za dni naszych dziwniecznie pomieszany z pojęciami utilitarystycznymi, z wyobrażeniem etyki społecznej i t. p.—tyle w umysłach sprawia zamieszania.

Ale pójdźmy dalej. Zapomnijmy o wytaczanej właśnie zasadniczej niewspółmierności indywidualizmu z nauką Lippsa o wartości dla osobistości. Powiedzmy zwięźle—praw indywidualności, a absolutnej wartości osoby. Przyjąwszy porównanie popatrzmy, czem jest owo ubóstwione indywiduum, a czem osoba u Lippsa, poczytana za wartość *par excellence*.

Przedewszystkiem indywiduum absolutne, a ma ono właśnie być pojęte nie jako zasada osobistości, jako osobistość taka, jaką być powinna, a więc indywiduum ze wszystkimi swemi usterkami, indywidualnemi cechami—słowem przypadkowościami, to indywiduum pojęte, jako ogólna, konieczna, obowiązująca zasada, to przecież prosty paradoks, *contradictio in adiecto*. A poza tem jeszcze—znowu pusty tylko frazes, określenie które niczego nie określa, pojęcie, które żadnej pełnej i konkretnej rzeczywistości nie obejmuje—a więc w gruncie *rzeczy* nic więcej, jak bezpłodna negacya.

Bo jeżeli absolutne prawo bytu ma bez żadnego bliższego oznaczenia *wszystko*, cokolwiek w indywiduum się znajduje, to samo wyrażenie traci wszelkie znaczenie i treść wszelką. Cóż znaczy przyznanie prawa bytu, jeżeli nie nie istnieje, czemubysmy go odmówić śmieli? Jeżeli naprawdę poprostu wszystkiemu się należy—to znaczy to w istocie, że *nie* go nie posiada. Myli się więc grubo indywidualizm, gdy myśli, że jest zawarowaniem prawa, afirmacyą pewnych wartości. Jest on bowiem niczem innym jak zagładą i zniweczeniem wszelkich praw i wartości w samym ich zarodku. To czem chce wspaiałomyślnie obdarzyć

indywidualność—t. j. etyczne uprawnienie—to mu się w rękach rozsypuje a pozostaje tylko lotny kurz frazeologii.

Że istnieją prawa indywidualności, o tem nikt nie wątpi. Przypominamy tutaj przedewszystkiem, cośmy w swoim miejscu o obowiązkach względem siebie samego, i o uprawnieniu egoizmu powiedzieli. Nie ulega wątpliwości, że etyka liczyć się musi z indywiduum takim, jakie ono jest, a nie takim, jakim nie jest wcale. Zabezpieczymy najlepiej zasadę, o którą tutaj chodzi, zdając sobie jasno sprawę, że jeżeli prawidło, jeżeli przykazanie moralne, zawsze ogólne, obowiązujące powszechnie, być musi—to zastosowanie jego, wykonanie, nie może nigdy być innym, jak właśnie poszczególnem, w tych a tych warunkach spełnionem—posiadającym te a te cechy indywidualne.

Co w teorii jest oczywiste, to bywa czasem w praktyce mniej jasne—po prostu przez niezrozumienie *znaczenia* zachodzącego wypadku. To też niewątpliwie nieraz z naruszeniem praw indywidualności się stykamy. Jest niem wszelka rutyna, wszelki szematyzm, wszelkie ryczałtowe wtłaczanie w raz przyjęte formy. Ale dostatecznem potępieniem tych tendencyj jest wykazanie właśnie logicznej niedorzeczności, na której polegają, a mianowicie pomieszenia tego, co z natury swojej jest jedno, niezmienne i ogólne t. j. zasady—z tem co również z natury swojej jest wielorakie, w każdym wypadku odrębne i poszczególnie t. j. zastosowania. W każdym razie lekarstwem na takie błędy nie może być rzucenie się w odwrotną, równie fałszywą jednostronność. Chcąc istotną treść wartości określić, trzeba ją określić naprawdę. Trzeba się nie bać treść tę wyrazić treściwie. Ze nie trzeba przytem popadać w formalizm, że określenie takie musi być dość szerokie, by wszystko pojąć, tak dzielne, by wyrazić, to o co chodzi istotnie, nie ubliżając niczemu, nie ujmując niczego, to oczywista; ale trudność zadania zazwyczaj chodzi w parze z jego doniosłością. Bo tem jest właśnie doniosłe, czem i trudne, że wiele względów, wiele danych i wymagań w niem się wiąże i splata.

Lipps powiada bez wahania: wartość bezwzględna to *ludzka osobistość*, a więc też wszystko, co *pozytywnie jest ludzkie*. Nie jest to z pewnością czarodziejska formułka, któraaby sama przez się wszelkie rozwiązywała trudności. Stosowanie tego pojęcia z pewnością wymagać będzie i taktu i myślowej umiejętności—ale komuby się to usterką i wadą wydawało, świadczącą o jego fałszywości—ten niech się sumiennie zapyta sam siebie, ile warte są owe definicye i formuły, owe misterne rusztowania słów, które chcą myśl żywą nie tylko wyrazić, co jest ich prawem i celem,

lecz zupełnie wyczerpać, zamknąć i niejako raz na zawsze ujarzmić. Nie—doborem słów pracy myśli nikt jeszcze nie zastąpił i nigdy nie zastąpi.

Pojęcie tego, „co pozytywnie jest ludzkie,“ tem pełniejsze jest treści, im mniej jest i chce być scholastyczną formułą. Jest ogólnikiem, ale nie pustym, lecz przeciwnie *pełnym*. Niema tu niejasności ani frazeologii. Temu, co jest *pozytywnie* ludzkie—przeciwstawia się niedwuznacznie, to co ludzkie także jest — ale *negatywnie* np. owo sławne *errare humanum*. Złe więc jest wszystko, co w sobie sprzeczne, a z innym niezgodne, co niszczy i rozkłada, co osobistość ludzką czegokolwiek pozbawia. Nie tracą nic ze swej doniosłości orzeczenia Lippsa, które już znamy, że co tylko jest jakąkolwiek siłą, dzielnością, żywością w człowieku—to wszystko bezwzględnie jest cenne, lecz przeciwnie posiadają ostateczne potwierdzenie dopiero odkąd wiemy, że właśnie owa *pozytywność*, to ich cecha, która je odróżnia od sił rozkładu i rozstroju, od wszelakiej jednym słowem negacyi, która jest samą istotą złego.

Jak dwu linii potrzeba, by określić punkt, jak trzy punkty dopiero stanowią o płaszczyźnie — zupełnie podobnie dzieje się w sferze myśli. Związać się muszą różne czynniki, skrzyżować różne kierunki, aby myśl była czemś żywym, pełnym, energicznym. O tem zapomina się zbyt często, przeciw tej elementarnej prawdzie grzeszą wszystkie te jednostronne i radykalne teorye, które uczeły się gorączkowo jednej tylko myśli, jeden tylko wzgląd umieją mieć na oku i wszystko poświęcić gotowe swemu przewidzeniu, niepomnie, że niczego w życie nie wprowadzi, kto samo życie zabija.

Na taką jednostronność choruje też i ów indywidualizm ze swem bałwochwalstwem praw indywidualności. Nie wahamy się tu na zakończenie powiedzieć, że jeżeli uderzyło nas pewne formalne podobieństwo pomiędzy teorią Lippsa a naukami indywidualistów—to było to wrażenie zupełnie słuszne. Lipps i indywidualiści uczą *tego samego*. A jednak jedną teorię od drugiej dzieli przepaść nieprzebyta—bo jedno jest wyrazem *negatywnym*, drugie *pozytywnym* tej samej tezy. Indywiduum takiego Nietzschego jest brutalną negacją wszystkiego co nie jest niem samym, wszystkiego, co je przekracza, co nad niem góruje, a więc też może być zasadą wzniesienia się jego samego. Osobistość poszczególna u Lippsa, to poszczególny wyraz *idealnego człowieczeństwa*, które jest całą jej prawdą i jej celem.

Nie przepada, jak już zaznaczyliśmy, przy takim pojmowaniu bynajmniej prawo istotne indywidualności. Boć owe człowieczeństwo idealne juźci, że wyraża się przez indywidua, realizuje się w nich, więc kto pojedynczemu wypadkowi zaprzecza, zaprzecza porównie ogólnej zasadzie. Lecz równie oczywiste jest to, że miernikiem wartości indywiduum jest właśnie to, ile ono pozytywnego człowieczeństwa zawiera w sobie. Negatywny indywidualizm tak nielogicznie ubóstwiający pojedynczy przykład, a burzący ogólne prawidło, które jedynie zdolne być właśnie ogólnym prawidłem — dochodzi też, bo dojść musi, do praktycznej zasady: nie obowiązuje *nic*. Nawskroś pozytywna myśl Lippsa, pojmująca te stosunki poprawnie i logicznie, znajduje wyraz ostateczny w maksymie wręcz przeciwnej: obowiązuje *wszystko*.

Posłuchajmy więc jeszcze, co sam Lipps ma do powiedzenia na temat indywidualizmu. Kto o prawie indywidualności mówi — w owem fałszywym negatywnym znaczeniu, „ten powinienby raczej mówić o prawie błazeństwa, ograniczoności, umyślowego i moralnego niedołęstwa. A takiego prawa niema. Może się człowiek czuje „nadcześnikiem,“ tymczasem miałby wiele więcej powodów, by się czuć człowiekiem bardzo małym, słabym i błędzącym. Może się tylko odbił od „stada“ „ludzi trzodnych,“ a straciwszy wewnętrzną podpórę, którą mógłby mieć w „stadzie,“ — robi z konieczności cnotę, zapewnia wewnętrzną próżnię samochwalstwem.

„Z pewnością istnieje prawo indywidualności. Każda indywidualność ma swoje prawo według tego, ile pozytywnego człowieczeństwa w sobie niesie. Każda siła i wielkość w człowieku jest cenna i ma swoje prawo na swoim miejscu w całości *osobistości*. Lecz znaczy to zarazem, że wszelkie prawo indywidualności jest względne, a tylko *osobistość sama*, t. j. doskonale moralna, absolutnie treściwa, posiada uprawnienie bezwzględne. A co się tyczy „nadcześnika“ to niema chyba faktu pewniejszego nad ten, że wszyscy cieszyć się możemy, jeżeli potrafimy być jakkolwiek ludźmi. Najwyższem, co my ludzie pojąć możemy, jest „człowiek.“ „I tej wyżyny nie dosięga żaden z ludzi.“¹⁾

To ostatnie orzeczenie może stać się kamieniem obrazy temu, kto wyczyta w niem tylko sens negatywny, którego ono mieć nie potrzebuje, ani też u Lippsa *de facto* nie posiada. Dlatego przypominamy najprzód, cośmy już kilkakrotnie zaznaczyli,

- 1) Ethische Grundfragen str. 142.

że wartość to przymiot *rzeczy* w najszerszem pojęciu, przedmiotowej rzeczywistości, którego uznania ona kategorycznie od świadomości naszej wymaga. A następnie to, cośmy szeroko w swym miejscu rozwinęli o stosunku absolutnej rzeczowej prawdy do absolutnego Ja, w którego pojęciu prawda rzeczy dostępuje dopiero nie tylko ostatecznej sankcyi, ale pełnej *rzeczywistości*.

Nie jest więc u Lippsa orzeczenie, że człowiek jest najwyższem, co człowiek pojąć jest w stanie, płytkiem a małodusznyem zaprzeczeniem wszelkiej ponadludzkiej prawdy i rzeczywistości. Lipps przecież właśnie posiada owo niezwykle oryginalne pojęcie idealnego ja, z którego powstaje bardzo dzielne pojęcie Boga. A nie zachodzi też pod tym względem w zapatrywaniach naszego myśliciela żadna zasadnicza sprzeczność. Upatrywaćby ją mógł w tych orzeczeniach tylko, kto by między pojęciami nie umiał wyobrazić sobie stosunków innych, jak tylko brutalne zderzenie się brył martwych.

Nie tutaj miejsce i pora szeroko się rozwódzić nad istotą i uprawnieniem antropomorfizmu. Ale uprzytomnijmy sobie krótko a contrario, że cokolwiek pojęliśmy, to eo ipso przestało nam być czemś obcem, zupełnie od nas oddzielnem i odrębnem, a zostało żywym czynnikiem w nas samych, pewną daną w naszym duchu, a więc też najniewątpliwiej pewną funkcją i determinacją naszej istoty.

Powiedzieć więc tutaj znów możemy, co tyle razy już stwierdzić nam przyszło, że możliwe są zawsze dwa sposoby rozumienia każdej rzeczy, każdego między pojęciami stosunku: ujemny i dodatni. W tym wypadku jedno wychodzi na suche i bezpłodne obcięcie skrzydeł myśli—drugie zawiera w zarodku ideę, że duch ludzki to nie jakaś zakończona w sobie, lecz też i zakrzepła materya, lecz istota żywa, zdolna dostrajać się do otoczenia i na mocy tego wznosząca się w nieskończoność po szczeblach rzeczy zewnętrznych, zdobywając sobie treści coraz wyższe i bogatsze, przez obcowanie z rzeczywistością.

ADAM ŻÓŁTOWSKI.

PIŚMIENNICTWO.

ADOLF SULIGOWSKI. *Miasto analfabetów.* (Drugie wydanie 1905).

We wstępie, autor przypomina czytelnikowi, że Warszawa rośnie w ostatnich czasach bardzo prędko, kiedy w r. 1874 liczyła nasza stolica 261,249 w roku 1904 doszła do 771,382 mieszkańców. Inaczej mówiąc w ciągu lat 30, ludność powiększyła się w trójnasób. Odpowiednio do tego, przybywają nowe, przedłużają się stare ulice, przybywają nowe domy, nowe urządzenia, gmachy dla sztuk pięknych, dla muzyki, dla sztuk specjalnych. Współcześnie dostrzegamy objawy, które ujawniają różne chorobliwości społeczne i domagają się zbadania. Na kresach miasta grasują rzezi-mieszki, innym nożowcy prują brzuchy, a przedewszystkiem w Warszawie na każdym kroku snują się biedne dzieci, bez zajęcia i opieki, jak gdyby do nikogo nie należały i nikogo nie obchodziły. W okolicach podrogatkowych nad Wisłą i w ogóle w dzielnicach z biedniejszą ludnością, boscie dziewczęta i chłopcy włóczą się całemi gromadami, budząc obawę. Co z tego wyrośnie? z rozwojem miasta złe nie ginie, ale rozszerza się jeszcze gwałtowniej. Nie ulega wątpliwości, że warunki bytu coraz bardziej się komplikują, przynosząc światu nowego rodzaju trudności. Mało komu przychodzi na myśl, że zmiana warunków bytu dotyka nie tylko uprzywilejowane klasy, lecz i upośledzone, że zatem i te ostatnie mogą także, potrzebować większego uzdolnienia i przygotowania do życia. Zdawałoby się, że wykształcenie elementarne na obecnym, choć niewysokim stopniu uspołecznienia naszego, stanowi coś nieodbitnie potrzebnego, bez czego obejść się prawie niepodobna. Otóż przyjrzyjmy się, jak pod tym względem przedstawia się Warszawa.

Warszawa nie posiadała nigdy takiej ilości szkół początkowych, któreby zabezpieczyły możliwość nauki wszystkim jej biednym dzieciom. Rok 1862, zdawało się że otworzy nowe dla tej sprawy horyzonty, ale wkrótce potem brak rady miejskiej i jakiegokolwiek reprezentacji dla potrzeb miasta ze strony obywateli miejscowych, sprawił, że sprawa szkół początkowych znajdowała się znów w stanie zanikania. Ze spisu jednodniowego w r. 1882 pokazało się, że Warszawa na 387,396 mieszkańców: posiadała osób z wyższem wykształceniem 5778, ze średniem 19,668, z elementarnem 150,001. Nie umiejących zgoła ani pisać ani czytać w Warszawie było wówczas 189,239, zaś umiejących tylko czytać chociażby po hebrajsku 18,193 osoby. Ze spisu owego pokazało się, że po odłączeniu dzieci do lat 10, znajdowało się zupełnych analfabetów w Warszawie 109,636 osób co stanowiło 36% ludności. Nikt się nie spodziewał, żeby coś podobnego mogło mieć miejsce w Warszawie. Jeżeli bowiem w głównem ognisku życia tak się stan rzeczy przedstawia, to czego oczekiwać należało w głuchych zakątkach. W dalszym ciągu okazało się, że w Warszawie na jedno dziecko, oddane do szkoły, chociażby do chederu, znajdowało się czworo dzieci w wieku szkolnym do żadnego zakładu nie uczęszczających.

Przykry ten stan rzeczy, jakkolwiek był ujawniony przez spis jednodniowy w r. 1882, nie wywołał jednak reakcyi ani ze strony społeczeństwa, ani ze strony władzy naukowej. Szkół początkowych brakowało i nie przybywało, pomimo wzmagającego się rozwoju miasta. Jedyne tylko miejscowe towarzystwo dobroczynności, przychodząc w pomoc ubóstwu zaczęło przyjmować do swych ochron dzieci starsze ponad lat 7, ucząc je tam czytania i pisania. W roku 1891 kurator Apuehtin zażądał usunięcia z ochron dzieci starszych nad lat 7 — i zakazał nauczania wszelkiego, zwłaszcza po polsku. Skutkiem tego Towarzystwo dobroczynności wydalilo z ochron około 1500 starszych dzieci. W r. 1896 inspektor szkół Sawienkow zwrócił uwagę na niedostateczną ilość szkół początkowych w Warszawie i zażądał od miasta funduszu na stworzenie 30 nowych szkół. Magistrat postanowił powiększyć budżet szkolny o 50,000 rb., na co wyższe władze zezwoliły. W r. 1898 Sawienkow wystąpił do miasta z nowem żądaniem na powiększenie szkół wykazując, że dotąd 50,000 biednych dzieci pozbawionych jest wszelkiej nauki w szkole. Kurator Ligin poparł to żądanie, które wreszcie odniosło ten skutek, że 40 szkół znouwu otworzono.

Po dwukrotnem powiększeniu szkół Warszawa posiadała w r. 1904 ogółem szkół początkowych 187, a klas 217. W szkołach tych mogło znaleźć pomieszczenie 10,850 dzieci, o ileby wszystkie klasy komplet maksymalny posiadały. Cyfra ta przy zestawieniu z ludnością miasta daje 15% na tysiąc, czyli 1,5% na sto. Jest to najniższy procent w Królestwie i Cesarstwie, nie mówiąc wcale o zagranicy. Smutny ten dla Warszawy obraz, znajduje pewne złagodzenie w innych okolicznościach, o których nie można zamilczeć. Niezależnie od szkół początkowych istnieją jeszcze w Warszawie innego rodzaju zakłady, które choć stoją niżej od szkół elementarnych, jednak służą sprawie początkowego nauczania. Takimi zakładami są szkoły rzemieślniczo-niedzielne i żydowskie chedery, oraz szkoły religijne. Szkół niedzielnych jest w Warszawie 52, do których uczęszcza 2600 dzieci. Chederów znajduje się 264, do których uczęszcza 13,200 młodzieży. Prócz tego gmina żydowska utrzymuje szkoły religijne, których jest 7 z 1010 dzieci. Jeżeli dodamy te trzy cyfry, to wypadnie, że w Warszawie uczy się w zakładach quasi-elementarnych 16,810 dzieci. — Szkoły niedzielne i chedery nie mogą jednak dać dostatecznego i zdrowego, moralnego i umysłowego pokarmu. Zresztą, gdyby nawet zaliczyć dzieci z tych zakładów do liczby otrzymujących wykształcenie elementarne, wszystko to jeszcze nie czyniłoby zadość potrzebie. Jeżeli bowiem potrącimy dzieci uczęszczające do szkół elementarnych, chederów i szkół religijnych oraz do szkół niedzielnych, to zostanie jeszcze 48,870 biednych dzieci, dla których w żadnej z nich niema miejsca.

Jeszcze raz przychodzi tej palącej sprawie z pomocą Towarzystwo dobroczynności. W jego szwalniach i salach zajęta znaczna ilość młodzieży płci obojga, znajduje tam opiekę a prócz tego, stosownie do upoważnienia władzy z 1900 r. znajduje naukę pisania, czytania, rachunków i zasad religii. To samo ma miejsce w zakładach sierocych, gdzie dzieci pozostają na całkowitem utrzymaniu Towarzystwa. W tych zakładach znajduje się około 2500 dzieci. Inne, mniejsze zakłady dobroczynne, dają podobną opiekę kilkuset dzieciom. Wreszcie różne osoby dobrej woli przychodzą z pomocą ubóstwu i uczą po domach czytania i pisania, gdzie kto może i jak może. Cóż to wszystko jednak znaczy? Po dokonaniu wszelkich możliwych redukcji, 40,000 dzieci, wydziedziczonych i zaniedbanych, stoi przed oczyma naszymi i woła o światło i naukę dla siebie.

Ale i ta szkoła, która istnieje, pozostawia wiele do życzenia. Przeważnie ta szkoła składa się z jednej klasy. Nauczycielami

bywają często ludzie, niedostatecznie przygotowani i nie umiejący należycie języka dzieci, do których przemawiać im wypada... Ilość nauczycieli jest bardzo skromna, po jednym na klasę czyli że w 187 szkołach jest nauczycieli starszych i młodszych 250. W szkołach rzemieślniczych i niedzielnych oddzielnych nauczycieli niema, wykładają więc nauczyciele szkół elementarnych. Tym sposobem cały komplet obejmuje 260 osób, a dodawszy do tego 18 nauczycieli szkół prywatnych wypadnie ogółem 278 osób. Jeżeli do tego dodamy 34 nauczycieli szkół religijnych żydowskich, to będziemy mieli 312 osób oddanych początkowemu kształceniu. W zestawieniu z ludnością daje to zaledwie 4 nauczycieli na 10,000 mieszkańców, kiedy wszędzie niemal zagranicą stosunek jest prawie o dziesięć razy większy. Po za temi siłami stoją jeszcze mełamedzi żydowscy w chederach, których jest 400, ale i z nimi nie wypada w Warszawie więcej jak 8 nauczycieli na 10,000 ludności. Szkoły warszawskie początkowe są upośledzone pod innymi względami. Przedewszystkiem uderza używanie języka obcego przy wykładzie, po za obrębem nauki religii i nauki języka polskiego. Gdy chodzi o drobne dzieci, których nauczanie rozpoczyna się od alfabetu, brak języka rodzinnego nie może pozostać bez szkody dla nauczania i dla rozwoju dziecięcego umysłu. Ten brak stanowi kłeskę, którą jaknajprędzej zażegnałoby należało. O należytych środkach pomocniczych naukowych pod postacią map, atlasów, rysunków i obrazów, wzorów, narzędzi, nie ma mowy. Jest tego wszędzie za mało.

Pomieszczenia, w jakich szkoły funkcyonują, przedstawiają również wiele do życzenia. Jest to rzeczą trudną do uwierzenia, że Warszawa nie posiada dotąd ani jednego gmachu dla szkół miejskich. Lokują się one w prywatnych domach, po mieszkaniach zgoła dla potrzeb szkół niedostatecznych i nieraz nawet nieodpowiednich. Kiedy za czasów inspektora Sawienkowa, lekarze przy szkołach początkowych dopełnili oględzin pomieszczeń szkolnych, znaleziono, że zaledwie w 9 szkołach przestrzeń powietrza dochodziła do koniecznego minimum 4 metrów kubicznych na dziecko, w ogromnej zaś większości przestrzeń ta była niższa i wynosiła połowę rzezonego minimum. Dalej, lekarze notowali brak wentylacyi, brak szatni do wieszania zwierzchniej odzieży, brak sal rekreacyjnych, brak sal gimnastycznych, brak oddzielnych przy szkołach klozetów — nie mówiąc o tem, że w wielu szkołach spostrzeżono wilgoć, obdarte i zabrudzone ściany, wyziwy z kuchen nauczycielskich i t. d. W celu zapobieżenia temu zaproponował D-r Polak budowę 5 gmachów, w pięciu różnych punktach

miasta. Myśl zaczęła kielkować w 1902 r. i magistrat zaproponował budowlę gmachów szkolnych po 200,000 rb. każdy. W roku 1904 przystąpiono wreszcie do budowy pierwszego takiego gmachu na Pradze. Drugi ma być zbudowany w Warszawie na końcu Leszna.

Przy skonstatowanym urzędowym braku szkół początkowych rozciągnięte zostało w r. 1900 na Królestwo Polskie, a tem samem i na Warszawę prawo, wydane w r. 1892 dla dziewięciu gubernij zachodnich, mocą którego zakazano nauczania po domach prywatnych i w mieszkaniach dzieci, z różnych rodzin przychodzących, bez specjalnego pozwolenia władzy, zakazano to nie tylko osobom prywatnym, ale nawet nauczycielom mającym stosowne patenta. Dla czego wydano podobne prawo, nie pomyślawszy przedewszystkiem o zakładaniu szkół, tego trudno zrozumieć. To tylko pewne, że to prawo skutku zamierzonego nie przyniosło i zapewne nie przyniesie. Brakowi szkół początkowych w Warszawie towarzyszy inne jeszcze zjawisko a mianowicie brak stosownych nakładów na te cele ze strony państwa i gminy. Państwo z ogólnego budżetu nie wykłada na szkoły początkowe w Warszawie, włożywszy ten ciężar na kasę miejską. Miasto zgoła nie myśli o podniesieniu kultury mas ludowych i na to zadanie nic nie wykłada, a przynajmniej wykłada bardzo mało, tak, że czynione wydatki zgoła nie odpowiadają ani wielkiemu budżetowi miasta, ani potrzebom ludności. W r. 1897 Warszawa na szkoły początkowe wydała 112,068 rb., co dawało na głowę ludności zaledwie 24 kopiejek. W tymże samym roku wydał Petersburg po 70 kop. na głowę, Ryga 75 kop. a Odesa 85 kop. na głowę. Gdybyśmy się uciekli do porównania z zagranicą, wypadłoby ono jeszcze daleko gorzej.

W r. 1904, obecny inspektor szkół m. Warszawy zwrócił się do prezydenta miasta z żądaniem dostarczenia funduszków na założenie nowych szkół początkowych i co za tem idzie rozszerzenia budżetu na te szkoły. W tym celu inspektor szkół zaproponował stopniowe, coroczne powiększanie budżetu na cele szkolne, ponadto, co się teraz wydaje o 84,780 rb. i tak coraz wyżej aż w r. 1914 o 1,416,000 rb. W odpowiedzi na to magistrat doniósł że zamierza otworzyć 14 nowych szkół i że kredyty na utrzymanie szkół w r. 1905 wynoszą o 183,822 rb. więcej niż w 1904 r., co magistrat uważa za nadzwyczaj wiele. Jednem słowem, robi się co można, lecz z propozycyj rozległych nic być nie może. Inspektor poprzestał na korespondencyi z magistratem, sprawa upadła i w dalszym ciągu upadać będzie zawsze, jak długo do zmiany

w organizacyi miejskiej nie przyjdzie. Z tego wszystkiego widzimy, iż nie ma się co łudzić. Warszawa ostatecznie nie posiada odpowiednich dróg do kształcenia mas. W Warszawie rośnie bogactwo, rośnie i nędza, wzrasta wiedza, rozpościera się i ciemnota. Te kontrasty zrodzić mogą kolizye i starcia. Miała Warszawa przed kilkunastu laty niespodziankę pod postacią masowej emigracyi do Brazylii dla zarobku, miała niespodziankę pod postacią nożownictwa, które się nagle rozwinęło i wytępić się nie daje. W przyszłości Warszawę mogą spotkać gorsze jeszcze komplikacye i trudności na gruncie nieporozumień i kontrastów socyalnych. Ostatecznie wszyscy się na to zgodzić muszą, że nad miastem wisi ciężkie zanie dbanie w kształceniu biednych dzieci, wisi jako wyrzut niezłałatwionego obowiązku i jako przeszkoda do prawidłowego rozwoju społecznego.

Rozprawa Suligowskiego ważnej sprawie naszego początkowego szkolnictwa w Warszawie poświęcona, oddaje społeczeństwu naszemu ważną usługę, albowiem zwraca uwagę na wszystkie fatalne następstwa niedostatecznego szkolnictwa początkowego i wykazuje dobitnie i gruntownie, jakie skutki pociąga za sobą takie zanie dbanie publicznego obowiązku. W następstwie jednak nieuniknionem, rozprawa Suligowskiego obudzi pragnienie zmiany stosunków na lepsze, skłaniając społeczeństwo i rząd do podjęcia reformy, któraby złemu stanowczy kres położyła. Tego ostatecznego rezultatu pracy Suligowskiego wszyscy z niecierpliwością wyczekują, żywiąc wdzięczność dla autora za gruntowne i wyczerpujące przedstawienie potrzeb społecznych w dziedzinie początkowego szkolnictwa.

A. R.

Kronika miesięczna.

Ukaz o „Dumie narodowej.“ — Restauracya Wawelu. — Ze statystyki miejskiej Warszawy. — Prywatne szkoły wiejskie. — „Praca polska.“ — „Kuryer Litewski.“ — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Napoleon Milicer, ś. p. ks. Jerzy hr. Szembek, ś. p. Seweryna Duchnińska.

Najznamienniejszem wydarzeniem ubiegłego miesiąca było ogłoszenie w dn. 19 sierpnia Najwyższego Ukazu o Dumie, która w państwie rosyjskiem ma odgrywać rolę narodowego ciała reprezentacyjnego.

Ukaz jednak, o którym mowa, nic jeszcze dla Królestwa Polskiego nie przyniósł. Stało się to, jak wyjaśniły gazety, dzięki temu, że J. E. Generał Gubernator Warszawski przed kilku dopiero tygodniami wysłał do Petersburga wnioski swoje w tej sprawie, wskutek czego nie można było zdecydować jej na czas właściwy. Utworzono więc pod przewodnictwem rz. r. t. Solskiego osobną komisję, która zastosowanie Ukazu o Dumie do Królestwa Polskiego rozpatrzy i przygotuje projekt ordynacyi wyborczej, co nastąpi zapewne nie prędszej, jak za kilka miesięcy. Wobec tego do owej pory wstrzymać się należy z wszelkimi na ten temat uwagami.

*

*

*

W Krakowie odbył się dnia 5 sierpnia r. b. akt wręczenia Wawelu Radzie Miejskiej. Od tego dnia miasto jest właścicielem byłego zamku królewskiego, który, przeznaczony na rezydencyę

dla cesarza Franciszka Józefa, powoli, dzięki ofiarności kraju i zasiłkom prywatnej szkatuły cesarskiej, przywrócony zostanie do dawnej świetności. Praca to pod względem architektonicznym i archeologicznym bardzo trudna, jak bowiem łatwo przekonać się z aktów i dokumentów historycznych, zamek wawelski tak często ulegał pożarom i tak często w zupełną padał ruinę, że niewiadomo, co przyjąć za zasadę w *odtworzeniu* starych jego kształtów.

Oto krótki regestr tego, co mury zamczyska w długiej kolei wieków przeszły.

Kiedy właściwie powstał zamek — ściśle niewiadomo, prawdopodobnie jednak na długo przed początkiem w. XIII, w którym to wieku pierwsze o nim znajdujemy wzmianki pisane. Wiemy, że wówczas był to zamek drewniany, którego budowlę zajmowały całą górę.

Wedle świadectwa Miechowity w w. XIV król Wacław „przydał mu wysokie mury i wieże.“ Już jednak w r. 1306 za Łokietka pożar strawił niemal doszczętnie wszystkie zabudowania drewniane. Następnie Kazimierz Wielki wznosił wspaniały zamek murowany. W w. XV zamek rozszerzał i rozrastał się pomyślnie, tak, jak Polska cała. Trwało to do r. 1499, kiedy z niewiadomej przyczyny wszczęty ogień strawił wieżę, zwaną *Kurzą stopą*. Pożar ten musiał być bardzo dotkliwy i dla innych budowli zamku, skoro Zygmunt I (w r. 1507) zastał zamek w stanie zupełnie na rezydencję królewską nieodpowiednim i przez cały szereg lat musiał prowadzić restaurację i rekonstrukcję, ażeby uczynić z niego siedzibę, godną króla polskiego.

Roboty te prowadzili wówczas: Jan Bonar, Franciszek della Lorre i Bartłomiej Berecci z Florencyi.

Ledwie jednak pomyślnie doprowadzono je do końca, gdy w październiku 1536 r. dwukrotny pożar obrócił w perzynę tyloletni trud, grzebiąc pod gruzami murów wspaniałe i kosztowne urządzenie zamku.

I znów zaczęło się powolne dźwiganie pałacu z ruiny. W trakcie tego w r. 1549 za Zygmunta Augusta ogień zniszczył część południową zamku.

Od tej pory przez 50 blisko lat zamek stał szczęśliwie. Dopiero w r. 1595 za Zygmunta III dwukrotnie Wawel był nawiedzony przez klęskę ognia.

Od r. 1596 do r. 1609 trwała restauracja po tych pożarach przy współudziale medyolańczyka Jana Maryi Bernardonne.

W r. 1649 podczas koronacyi Jana Kazimierza pastwą płomieni padła Kurza stopa.

W r. 1655 spłonęła wieża Senatorska, oraz wiązanie ganków przy tej baszcie.

Wiek XVIII był dla zamku jeszcze mniej szczęśliwy. Wojska Karola XII, zajmwszy w r. 1702 Wawel, spaliły go doszczętnie, tak, że nie prawie z dawnych murów nie zostało.

Odbudowa, wobec ciężkich warunków finansowych, w jakich się już wówczas Polska znajdowała, trwała długie lata, a uchwała sejmu z r. 1768 mówi najwyraźniej, co następuje:

„Ponieważ zamek nasz w Krakowie znacznej podlega ruinie i corazby bardziej upadał, gdyby temu nie zabieżono, więc i z przyzwyczajenia i z potrzeby wielkiej, aby na reparację jego, póki zupełnie też dokończona nie będzie, 30,000 złp. co rok ze skarbu wyliczyć.“

W r. 1795 wybiła dla zamku godzina ostatnia. Zajęty w grudniu przez Prusaków, został on tak ohydnie zrabowany, że powyrywano nawet okna z ram i posadzkę z podłóg. Wówczas zostały też skradzione *insygnia królewskie*, o których dotąd niewiadomo, gdzie się znajdują.

W następnym 1796 r. Prusacy wydali zamek wojskom Austriackim. Odtąd losy Wawelu są już znane. Dzień 5-ty sierpnia dopiero rozpoczyna nową erę w dziejach pomnika naszej przeszłości.

*

*

*

Życie wielkich miast trudne jest do objęcia. Wiele jego stron smutnych, a dla człowieka społecznie wykształconego do poznania koniecznych, ujawnia dopiero statystyka, o ile prowadzona jest umiejętnie i ściśle.

Taką właśnie statystykę posiada Warszawa dzięki prof. W. Załęskiemu, który, jako naczelnik Sekcyi Statystycznej magistratu, od lat wielu skrzętnie i niezmordowanie zbiera wszelkie cyfry, odnoszące się do życia naszego miasta.

Świeżo właśnie opuścił prasę najnowszy zeszyt tego ciekawego wydawnictwa, obejmujący dane za rok 1904.

Oto kilka, zaczerpniętych stamtąd, cyfr, które mogą i powinny wywołać poważne zastanowienie.

Przedewszystkiem w rubryce urodzeń znajdujemy bardzo charakterystyczne dane o „dzieciach nieślubnych.“ Dowiadujemy

się mianowicie, że na 100 noworodków żywych w roku 1904 było *nieślubnych*:

u prawosławnych.	12.41
u katolików.	14.04
u protestantów	6.10
u żydów	3.01
bez różnicy wyznań	10.33

Wypada zatem średnio na 100 noworodków żywych około 11 nieślubnych. Jest to odsetek nadzwyczaj duży, który świadczy o zupełnie niezdrowych stosunkach, panujących u nas w dziedzinie życia płciowego.

Ogólna liczba dzieci nieślubnych, urodzonych w r. 1904 wynosiła 2940.

Cyfra ta, przetłómaczona na język społeczny, oznacza 2940 istnień ludzkich, które od chwili urodzenia noszą na swoim czole piętno hańby; oznacza ona także 2940 kobiet, dla których macierzyństwo nie było zaszczytną rolą, do jakiej przyroda powołała kobietę, ale było *upadkiem*, połączonym ze wstydem, z bólem, z rozpaczą.

Jeżeli do tego dodamy jeszcze, że ogromna większość matek dzieci nieślubnych, bo 30,41% znajdowała się w wieku młodzieńczym nieledwie, bo w okresie pomiędzy 21 a 25 rokiem, że bywały wypadki, kiedy dziewczęta zostawały matkami pomiędzy 15 a 20 rokiem, że wreszcie 62,01% dzieci nieślubnych było *pieruszczeni* dziećmi u matek, to przed oczami roztoczy nam się obraz kilku tysięcy tragedji ludzkich, rozegranych w ciągu jednego roku i rozgrywanych ciągle na świadectwo niedoskonałości naszego ustroju społecznego i tego zamętu, który panuje w dziedzinie pojęć moralnych.

Przechodząc z kolei do innych rubryk statystyki miejskiej, ze zdziwieniem zatrzymujemy się na tablicach śmiertelności, które mówią aż nadto wyraźnie o ciężkich warunkach zdrowotnych naszego miasta.

W ciągu roku 1904 zmarło w Warszawie 16.069 osób z ludności zamieszkałej stale (mężczyzn 8.356; kobiet 7.713) i 1.357 osób przyjezdnych i szeregowców (mężczyzn 835, kobiet 522).

Rozróżniając wiek osób zmarłych, dochodzimy do przerażającej cyfry, która mówi o śmiertelności dzieci. Okazuje się, że dzieci do lat 5-iu stanowiły 51.32% liczby ogólnej zmarłych.

Cyfra ta otwiera nam oczy na wielką niedolę społeczną, jaką niewątpliwie stanowi przedwczesna śmierć tylu istnień. Dzie-

je się to za sprawą nędzy i ciemnoty panującej w mieście, za sprawą tych smutnych warunków higienicznych, w jakich chowają się dzieci klas ubogich.

Szeroka akcja społeczna, przeciwdziałająca temu, jest konieczna. Nie od dziś też prasa nawołuje u nas do rozpoczęcia walki ze śmiertelnością dzieci. Niestety, zrobiliśmy na tem polu bardzo jeszcze niewiele i daleko stoimy w tyle poza społeczeństwami innymi. Jest to nasz grzech zbiorowy, który dopomina się o starcie z sumienia społecznego.

Dalsze cyfry statystyki miejskiej mówią nam, że od *chorób zakaźnych* zmarło w mieście w r. 1904 — 19%. Wynika ztąd, że Warszawa jest stałym ogniskiem chorób zaraźliwych i że tyfus, ospa, płonica i t. d. pochłaniają u nas tyle ofiar, ile ich często prawdziwa epidemia nie pochłonie. I tak: sama tylko ospa pochłonęła 797 ofiar, szkarlatyna 640, tyfus brzuszny 146, dyferyt 200, krup 167, krupowe zapalenie płuc 413. Cyfry zaiste przerażające.

Śmiertelność, rozłożona na pojedyncze cyrkuły miasta wynosiła w r. 1904. na 1000 mieszkańców:

W cyrkułe policyjnym	XII	—	28.81
"	"	V	— 28.56
"	"	VI	— 27.20
"	"	I	— 25.67
"	"	II	— 20.80
"	"	III	— 20.51
"	"	IX	— 19.28
"	"	VII	— 18.23
"	"	X	— 16.24
"	"	VIII	— 15.06
"	"	XI	— 14.96
"	"	IV	— 14.39
Dla całego miasta			20.83

Z tablicy powyższej widzimy, jak nierównomiernie rozkłada się ta śmiertelność na poszczególne dzielnice i jak jest zależna od ich warunków zdrowotnych, wynikających z położenia, zabudowania i zaludnienia.

Największą była śmiertelność w cyrkułach XII i V, to jest na Pradze, która niema dotychczas kanalizacyi i w cyrkułe Powązkowskim, który z jednej strony sąsiaduje z cmentarzem, z drugiej zamieszkały jest przez ubogą ludność chrześcijańską i żydowską. Najmniejsza zaś śmiertelność jest w cyrkułach IV Bielańskim

i XI Mokotowskim, które obejmują schludniejsze i wyżej położone dzielnice miasta.

Mówiąc o śmiertelności, trudno jest pominąć rubrykę *śmierci nagłej*. Rubryka ta mówi nam, że w r. 1904 było 325 wypadków takiej śmierci, podczas kiedy średnio w okresie 10-io letnim 1894—1903 było 242. W tej liczbie było *samobójstw* 139 (średnio z okresu 10-io letniego 1894—1903 r. 89) i zabójstw 43 (średnio z okresu 10-io letniego 1894—1903 r. było 17).

Mamy tu więc do czynienia z bardzo wyraźnym i jaskrawym wzrostem samobójstw i zabójstw.

Rozpatrując się w tych cyfrach bliżej, dowiadujemy się, że na 139 samobójców było 80 mężczyźni i 50 kobiet. Co do wieku samobójców, to zamyka się on w granicach od lat 11 do 80, zarówno więc dzieci, jak i starcy kończą z życiem samowolnie.

Największa ilość samobójstw przypada u mężczyzn na wiek zupełnej dojrzałości fizycznej i umysłowej t. j. pomiędzy rokiem 21 a 30, następnie zaś na przełomie życia pomiędzy rokiem 41 a 50, u kobiet zaś już w okresie wczesnej młodości, bo od 11 do 20 roku życia, osiąga ona swoje *maximum*, które utrzymuje się na tym samym poziomie i w wieku dojrzałym.

Wszystko to świadczy o tem, jak małą odporność życiową posiada pokolenie współczesne, jak mało ma hartu i woli do zwalczania przeszkód moralnych i materialnych, które na swej drodze spotyka.

Co zaś do zabójstw — to przyczyna ich wzrostu jest jasna i wyraźna. Miasto analfabetów musi iść stopniowo ku moralnemu zdziżeniu coraz szerszych warstw i stanowczo — idzie ku temu. Statystyka za rok 1905 odśłoni nam nowe jeszcze na to poglądy.

*

*

*

Nader doniosłą sprawę zakładania szkół wiejskich *prywatnych* poruszył ostatniemi czasy w „Gońcu“ p. M. Brzeziński.

Dane, zaczerpnięte z tych krajów Europy — mówi on — gdzie istnieje racjonalne szkolnictwo ludowe, gdzie zatem wszystkie dzieci w wieku od lat 7—13 uczęszczają do szkoły początkowej, wykazują:

1) Ze ilość dzieci w wieku szkolnym wynosi 15 do 17% ogólnej liczby mieszkańców kraju i

2) że liczba uczniów (i uczenic) szkoły początkowej waha się od 50—70. Biorąc to pod uwagę, łatwo obliczyć, że Królestwo Polskie ze swemi 10.000.000 mieszkańców, posiada conajmniej

$$\frac{16 \times 10.000.000}{100} = 1.600.000 \text{ dzieci w wieku szkolnym, od lat 7—13,}$$

powinno więc mieć $\frac{1.600.000}{60} = 26.666$ racjonalnie urządzonych

szkół początkowych. Ze zaś według liczby, podanej przez komitet ministrów w jego motywach do odnośnego postanowienia, Królestwo ma szkół początkowych 4.049, brakuje nam więc przeszło 22.000 szkół początkowych, które winniśmy jak najprędzej założyć, jeśli chcemy obsłużyć niemi wszystkie dzieci w wieku od lat 7 do 13 lub od 8 do 14.

W tym celu powinniśmy korzystać przede wszystkim jak najszerszej z prawa zakładania szkół prywatnych i zakładać szkoły tam, gdzie żadnej odpowiedniej szkoły niema lub, gdzie ich jest zamało. Wobec swobody zaś, jaką zawsze cieszyć się muszą szkoły prywatne w porównaniu z rządowymi — mogą powstawać najrozmaitsze typy szkół wiejskich.

Jeden właśnie typ takiej szkoły dla 80 lub 90 dzieci w wieku szkolnym proponuje p. Brzeziński.

Wszystkie te dzieci zdaniem jego, obsłużyć musi jeden stały nauczyciel lub nauczycielka z prawdopodobną pomocą księdza, wykładającego religię i w najlepszym razie kierowniczkę robót ręcznych dla dziewcząt.

Szkoła taka z jednym nauczycielem może być oczywiście tylko jednoklasowa. Ponieważ jednak musi ona obsłużyć dzieci o 6-iu stopniach wieku, przeto kurs nauki winien być rozłożony również na 6 stopni, czyli 6 oddziałów. Rozumie się, że będzie to dopiero po wielu latach, obecnie, w chwili założenia, ze wszystkich dzieci, niezależnie od wieku, nie dałoby się utworzyć więcej nad 2 lub 3 oddziały.

W razie ilości uczniów znacznie a stale przewyższającej 60 (np. 90 — 100 — 120) we wsiach ludniejszych (lub miasteczkach) ta sama szkoła powinna dobrać drugiego nauczyciela dla prowadzenia lekcyj w dwóch osobnych klasach. Wtedy szkoła ta stanie się dwuklasową.

Omawiając dalej kosztorys takiej szkoły, p. Brzeziński sądzi, że dom szkolny wraz z gruntem kosztowałby razem 2500 rb., urządzenie szkoły 150 rb. Roczne utrzymanie około 480 rb.

A teraz kto ma taką szkołę prywatną zbudować i utrzymać?

Zależy to od warunków — odpowiada p. Brzeziński. Może ją zbudować fabryka, dwór, bogaty sąsiad, zamożny proboszcz i t. d. Gdzie jednak tego wszystkiego brak, zbudować ją musi wieś, czy parę wsi sąsiednich, którym jest szkoła potrzebna. Ponieważ zaś wydatek jednorazowy 2700 rb. jest bezwarunkowo za uciążliwy dla kilkuset ludzi, więc *trzecia część* tej sumy powinna być pokryta ze specjalnego funduszu publicznego (np. *Macierzy Szkolnej*) a *trzecią część* pokryć winna pożyczka, amortyzowana w ciągu lat 10. Wreszcie i rząd, celem poparcia sprawy szkolnej, powinien przyjść z pomocą drzewem z lasów skarbowych. Wtedy wieś o 500 mieszkańcach, złożony gotówką 900 rb., mogłaby natychmiast przystąpić do budowy i zaopatrzenia w rzeczy niezbędne własnej szkoły.

Dla pokrycia 480 rb. kosztu rocznego utrzymania szkoły w budynku własnym; wystarczyć powinna opłata roczna uczniów, 8 rubli rocznie, czyli 1 rb. za każdy miesiąc nauki od dziecka.

Program szkoły określa p. Brzeziński, jak następuje:

1) Powinna ona skutecznie przyczynić się do *ogólnego rozwoju umysłowego, moralnego i cielesnego* uczniów, a to przez odpowiednie podawanie najważniejszych *zasad, popędów i czynów* moralnych, oraz wyrabianie *sily i sprawności fizycznej*.

2) Szkoła początkowa ludowa, jako ostateczna, w której większość uczniów pobierać będzie naukę, winna dawać im elementarny całokształt zasad naukowych, moralnych i społecznych, a zarazem uzdolnić ich do dalszego kształcenia się drogą samouctwa.

3) Ze względu na warunki przyszłego życia, winna ona *dosłownie kształcić uczniów do celów praktycznych*.

4) Uczniom najzdolniejszym, pragnącym i mogącym kształcić się dalej, winna dać *takie przygotowanie, aby przy nieznacznym dopelnieniu z łatwością mogli wstąpić do szkoły średniej lub zawodowej*.

Takiej szkoły początkowej potrzeba nam istotnie i potrzeba bardzo prędko.

*

*

*

Niebawem Warszawa pozyska nowe pismo, poświęcone sprawom pracowników w przemyśle, handlu, rolnictwie i zawodach wyzwolonych. Zajmować się ono będzie wszelkimi sprawami ekonomicznymi i kulturalnymi pracowników, dotykając strony te-

chnicznej zawodu o tyle tylko, o ile ta wiąże się ściśle z bytem pracowników.

Tytuł tego pisma będzie „Praca polska.“

Stojąc wyraźnie na straży interesów warstw pracujących — zapowiada redakcja „Pracy“ — nie będzie ona spuszczała z oka całokształtu potrzeb gospodarstwa narodowego. Myślą jej przewodnią jest, że społeczeństwo nasze wtedy tylko żyć będzie normalnie i będzie mogło wykazywać należyta nazewnątrz energię, jeżeli z niego zostanie usunięty lub przynajmniej do minimum ograniczony wyzysk jednych klas przez drugie i jeżeli wszyscy ludzie pracy znajdą w nim byt należycie zapewniony i możliwość rozwoju kulturalnego — zarazem jednak, że ta pożądana ewolucya odbyć się winna, o ile się to da, w sposób pokojowy, nie odrywając energii społecznej od pracy narodowej i nie zapominając o tem, że dobro narodu stoi przed dobrem jego warstw poszczególnych.

Oprócz obrony interesów warstw pracujących, „Praca“ dostarczać będzie swym czytelnikom wiadomości z różnych dziedzin wiedzy i rozrywki umysłowej. Pomieszczać będzie przeto wszelkie informacye o warunkach pracy i bytu w poszczególnych gałęziach, zakładach i miejscowościach pod względem ekonomicznym, sanitarnym i kulturalnym; wszelkie informacye o stosowanych w kraju i zagranicą sposobach zabezpieczenia i poprawy bytu pracowników, przegląd i krytykę działalności instytucyj tym sprawom poświęconych; rozważanie sposobów zapewnienia i poprawy bytu i agitacyę w tym kierunku; sprawy rzemiosł pod względem ekonomicznym i kulturalnym; sprawy higieny pracy; rozważanie spraw przemysłu, handlu i rolnictwa krajowego, wskazywanie niewyzyskanych dotąd pól pracy i t. p.; rozprawy ekonomiczne z dziejów gospodarstwa narodowego; sprawy szkolnictwa zawodowego i początkowego; rozprawy z dziedziny prawa handlowego i fabrycznego ze szczególnem uwzględnieniem działów, traktujących o pracy najemnej; przegląd działalności stowarzyszeń zawodowych i kulturalnych; przegląd działalności instytucyj współdzielczych; kronikę krajową i zagraniczną życia ekonomicznego i społecznego; sprawozdania z książek i pism treści ekonomicznej i społecznej; ogłoszenia bezpłatne o pracy poszukiwanej i ofiarowywanej; nadto dział naukowy i literacki.

Nie będąc pismem ludowem i wymagając z konieczności od swych czytelników pewnego, choć skromnego wykształcenia, „Praca“ będzie redagowana, o ile możliwości przystępnie, aby z niej jaknajszersze koła pracowników korzystać mogły.

Przyglądając się uważniej powyższemu programowi, trudno nie zaznaczyć, że tego rodzaju pismo było nam potrzebne i że właśnie w chwili obecnej zajmuje ono posternek znaczenia pierwszorzędnego, jeżeli bowiem w jakiej dziedzinie, to w dziedzinie naszego życia społeczno-ekonomicznego, oddanego dziś na łup samowoli wszelkiego kierunku agitatorów, jest zamęt zupełny, na czem interesy narodowe cierpią bardzo. Teraz właśnie „energia społeczna“ została oderwana od wydatnej, twórczej pracy, a zużywa się na rzeczy i sprawy z interesem narodowym bardzo małą lub żadnej nie mające łączności. Jesteśmy ciągle świadkami procesu rozkładowego, który bacznemu a bezstronnemu obserwatorowi życia społecznego, musi wydać się procesem, pozbawionym jakiegokolwiek logiki wewnętrznej. Ruchy, które ogarniają klasę robotniczą, są nie skoordynowane i rozbieżne, nie uwidoczniają one ani żadnej idei kierowniczej, ani żadnego celu wyraźnego, nadużywają haseł ekonomicznych dla polityki i naodwrot z polityki robią walkę ekonomiczną. Warstwa robotnicza jest w tym wypadku poprostu wprowadzana w błąd, a jej temperament i słuszne żądania są przedmiotem kuglarskiej gry ze strony tych, którzy dążą do zupełnego rozstroju w kraju i w społeczeństwie. Na rachunek robotników dokonywały się też u nas ostatnimi czasy rzeczy, nie wspólnego nie mające ze sprawą robotniczą, t. j. ze stosunkiem pracy do kapitału; na rachunek robotników dokonywały się u nas rozmaite zbrodnie i zamachy, które doprowadzają do smutnych wniosków o kulturalnem cofaniu się narodu, o zdriczeniu zupełnem niektórych jednostek, o ciężkich grzechach przeciw etyce i przeciw humanitarnym zdobyciom cywilizacji wogóle.

Otóż w takiej chwili dać warstwom pracującym pewną busołę, oświetlić im prawdziwie największe mające dla nich znaczenie sprawy, poprowadzić je, nauczyć i uchronić przed łatwowiernością i popadnięciem w błędy polityczne, dla całości narodowej szkodliwe, stanowi ogromnej wagi zadanie chwili obecnej.

Czy i w jakim stopniu zadaniu temu podoła „Praca Polska“ o tem z góry sądzić niemożna. Należy jednak stwierdzić, że zjawienie się jej stanowi objaw budzenia się tych zdrowych prądów w społeczeństwie, które jedynie mogą pchnąć jego skołataną nawę na szlak prawdziwego rozwoju i prawdziwego postępu.

*

*

*

Z chwilą, kiedy te słowa ukażą się w druku, w Wilnie zacznie już wychodzić p. t. „Kuryer litewski“ pismo polskie, którego koncesyonaryuszem jest hr. Hipolit Korwin Milewski.

Pan Milewski, jako wydawca, tak charakteryzuje w prospekcie przysły program i zadania pisma:

„Po latach *czterdziestu dwóch* — mówi on — wskrzeszamy organ polski w Wilnie. Jest to, niewątpliwie, znaczna zdobycz moralna dla naszego społeczeństwa na Litwie. Lecz ze zdobyczy tej wypływają i obowiązki: Pierwszy, aby skorzystać z nadanego nam prawa i zająć to ważne dla naszej narodowości stanowisko. Drugi — aby tego stanowiska nie wystawić na hazardy, nie wywołać odwrotnych prądów i nie zamknąć drogi innym, może lepiej przygotowanym i pewnie więcej utalentowanym.

„Dla tego zasadą stałą i głównem hasłem naszym będzie — *umiarkowanie*.

„Dążąc do ciągłego, w każdym kierunku, postępu, wierzymy, że postępuje stale i dochodzi daleko ten tylko, którego każdy krok *naprzód* wiąże się z poprzednim i przygotowuje następny. Umiarkowanie powinno być dla obywatela zasadą, dla gazety jest warunkiem życia.

„Jako organ prowincjonalny i podlegający cenzurze, *Kuryer litewski* nie może sobie pozwolić na zbyt ambitny program. Zadaniem więc i celem jego będzie przede wszystkim:

- 1) „Dostarczać czytelnikom w ich języku rodzinnym potrzebnych im ogólnych i specjalnych wiadomości, a w miarę powstawania spraw publicznych, miejscowych i wszechpaństwowych, wyjaśniać je i oświeślać z punktu widzenia interesów krajowych;
- 2) tworzyć stale wśród rozproszkowanego naszego społeczeństwa codzienne źródło informacji i z tego źródła wysączać podstawy do wzajemnego zbliżenia i do ułatwienia stosunków;
- 3) po czterdziestoletnim letargu odrywać unysły od przymusowego dotychczasowego przeżuwania swoich żalów i skierowywać je ku praktycznemu zużytkowaniu już osiągniętych ulg i ku wytrwałemu poszukiwaniu dalszych;
- 4) utrzymywać związek umysłowy z ogniskami polskiej wiedzy, literatury i sztuki;
- 5) dzięki właśnie takiej działalności zwracać w tym kraju naszemu językowi to szlachetne miejsce, do którego ma prawo w sferze myśli i pracy, jako główne, pięciowiekowe narzędzie cywilizacji na Litwie.

„Takie zadanie jest warte naszej pracy. A kiedy zmienią się warunki i rozszerzą horyzonty, to powstaną nowe programy, nowe gazety i nowi ludzie.

„Ponieważ nasz organ jest wynikiem pokoju, a nie walki, przeto pragniemy zachować dobre stosunki ze wszystkimi narodowościami w kraju zamieszkałymi i nie będziemy zaprzeczali praw tym, które ich poszukują, życzyzny sobie tylko, iżby dążąc do naturalnego rozwoju i nam go nie odmawiały i miały na względzie nasze kulturalne w tym kraju zasługi.

„W myśl tego *Kuryer*, jako jedyny dotychczas polski dziennik na Litwie, nie będzie narzędziem jednego człowieka ani jednej partyi, lecz będzie dostępną dla każdego trybuną. Nie będzie niczyim sługą i niczyim wrogiem i względem wszelkich usiłowań społecznych, względem miejscowych instytucyj i stowarzyszeń, będzie swobodnym krytykiem i obserwatorem, gotowym zawsze otworzyć swoje szpalty tym, którzy zechcą nasuwającą się sprawę wyjaśnić z odwrotnej strony.“

Pod takieni oto hasłami rozbrzmiewać będzie drukowane słowo polskie w Wilnie, które w historii rozwoju prasy polskiej ma już swoje własne miejsce. Godzi się też chociaż w krótkich słowach przypomnieć tu dzieje dziennikarstwa polskiego w stolicy Gedymina.

Dziwnym zbiegiem okoliczności powstające dziś z popiołów nowe pismo nosi ten sam tytuł, jaki nosiło *pierwsze*, założone w r. 1759 w Wilnie, przez jezuitów. Był to *Kuryer litewski*. W r. 1760 przywilej wyłączny na wydawanie tej gazety otrzymała od króla Augusta III miejscowa akademia. Do pisma dodawane były osobno drukowane „Wiadomości Literackie“ i „Wiadomości Cudzoziemskie.“ *Kuryer* ten przechodził rozmaite koleje. Wydawcą jego był przez pewien czas szambelan Stanisława Augusta, Włodek, w r. 1812 redagował go Ignacy Daniłłowicz, historyk, w r. 1813 Euzebiusz Słowacki, potem wydzierżawiono *Kuryera* Antoniemu Marcinowskiemu, który go wydawał przez lat 25.

W r. 1834 władza nakazała, ażeby wszystkie wiadomości urzędowe drukowane były w *Kuryerze* w dwóch językach, rosyjskim i polskim. Pismo wobec tego zaczęło tracić dotychczasowy charakter, a Marcinowski, borykając się jeszcze przez lat sześć z rosnącymi ciągle trudnościami, w końcu zrzekł się dzierżawy.

W jakiś czas potem powstało w Wilnie nowe pismo o charakterze tylko pół polskim: *Kuryer Wileński*. Redagował je Ant. Edw. Odyniec od r. 1841 do r. 1859. Następcą jego był archeolog Adam Honory Kirkor, który zgrupował dokoła *Kuryera* takie siły, jak Syrokomla, Malinowski, Chodźko, Sowiński, Kraszewski,

Winc. Korotyński i t. d. Pismo to istniało do końca grudnia 1865. Od tej pory prasy polskiej w Wilnie już nie było.

Z innych pism, które wychodziły na Litwie w okresie 1759—1865 wymienić należy: *Gazetę Wileńską* (1761—1794), *Dziennik Wileński* (1806—1830), *Tygodnik Wileński* (1816—1822), *Wiadomości brukowe*, *Atheneum* (1841—1851) i *Teke Wileńską* (1857—1858).

*

*

*

W ostatnich dniach czerwca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. Napoleon Milicer, wybitny chemik i wyjątkowo uzdolniony popularyzator tej nauki.

Urodzony w r. 1842, ś. p. Milicer w Warszawie uczęszczał do szkół średnich, a po ukończeniu tak świetną wówczas cieszącego się opinią gimnazjum realnego, wyjechał na dalsze studia do Heidelberga, gdzie pod kierunkiem Bunsena i Kirchhofa rozpoczął pracę naukową.

Pracę tę przerwał mu powrót do kraju w r. 1863, poczem w r. 1864 widzimy go już, jako słuchacza Warszawskiej Szkoły Głównej, którą w niespełna trzy lata opuścił ze stopniem magistra.

Powołany przez prof. Jakóba Natansona na stanowisko asystenta przy katedrze chemii, zajmował je Milicer do zamknięcia Szkoły Głównej i przemianowania jej na uniwersytet Cesarski.

W następstwie przez czas krótki zajmował się przemysłem, ale upodobania pedagogiczne zwyciężyły i w kilka lat potem Milicer rozpoczął działalność nauczycielską, która zjednała mu wdzięczność i umiłowanie licznych uczniów w szkołach Łopuskiego, Pankiewicza, Babińskiego, tudzież w warsz. szkole handlowej im. Kronenberga.

Z chwilą założenia Muzeum przemysłu i rolnictwa, Milicer stanął na czele utworzonej tam pracowni chemicznej i na stanowisku tem wytrwał do końca, pracując gorliwie i z pożytkiem.

Szersza publiczność знаła go z licznych odczytów na cele dobra ogólnego, a niepospolity dar słowa, jaki posiadał Milicer, gromadził na tych odczytach liczne zastępy słuchaczy i nadawał suchym napozór prelekcjom naukowym charakter prawdziwych biesiad.

Po za tem, jako człowiek wybitny, obdarzony niezwykle zajmującym umysłem i sercem szlachetnem, miał zmarły szerokie koło przyjaciół. Śmierć jego uczyniła w tem kole wyłom, o którym nieprędko będzie można zapomnieć.

*

*

*

Kościół poniósł bolesną i niespodziewaną stratę przez śmierć J. E. arcybiskupa metropolity mohylowskiego, ks. Jerzego hr. Szembeka.

Dnia 7 sierpnia r. b. w Alwerni, pod Krakowem, gdzie zatrzymał się, jadąc z Petersburga do Rzymu, zmarł przedwczesnie wskutek ciężkiego tyfusu, jakiego nabawił się wizytując parafie na Litwie, najwyższy dostojnik kościoła katolickiego w państwie rosyjskiem. Śmierć jego okrywa żałobą najobszerniejszą dyecezyę i szerokim echem rozchodzi się od krańców wschodu aż do stóp tronu papieskiego, wszędzie budząc szczery i głęboki żal.

Ś. p. arcybiskup metropolita ks. Jerzy hr. Szembek należał do znanej w kraju naszym rodziny. Urodzony dn. 14 czerwca r. 1851 w Ujściu na Podolu z ojca Józefa i matki Józefy z hr. Moszyńskich, kształcił się w Krakowie, gdzie po ukończeniu gimnazyum Ś-tej Anny studyował filozofię na uniwersytecie Jagiellońskim. Studya te zakończył ze stopniem naukowym doktora. Następnie udał się w podróż po Europie, a powróciwszy do rodzinnego Ujścia osiadł tam, obejmując osobiście zarząd wielkich majątków rodzinnych na Podolu i na Polesiu wołyńskiem. W czterdziestym dopiero roku życia, a więc już jako dojrzały mężczyzna, powziął postanowienie poświęcenia się stanowi kapłańskiemu.

Jakoż w r. 1890 wyjechał do Saratowa i wstąpił w poczet alumnów tamtejszego seminaryum. Wyświęcony w dn. 19 marca 1892, a więc zaledwie po dwuletnim pobycie w seminaryum, przez czas pewien był ks. Szembek profesorem w tymże seminaryum, a następnie proboszczem i dziekanem w Saratowie. Na stanowisku tem pozostawał przez lat sześć. W lipcu 1901 roku widzimy już hr. Szembeka na stolicy biskupiej w Płocku, gdzie zasiadł jako 84 z kolei pasterz tej dyecezyi, a trzeci tego samego nazwiska.

Na tem stanowisku rozwinął zmarły ożywioną i płodną działalność, która nazewnątrż wypowiedziała się gruntownem odnowieniem pomnikowej katedry płockiej i przywróceniem jej dawnych form stylowych.

Szybko jednak nowe obowiązki odwołały ks. Szembeka z Płocka. W listopadzie r. 1903 konsystorz papieski mianował go arcybiskupem metropolitą mohylowskim. Na tem nowem stanowisku sprężysty, energiczny i młody, bo zaledwie 52 lata liczący dostojnik, gorliwie pracował dla dobra kościoła. W chwili jednak, kiedy pracę tę znacznie ułatwił pamiętny ukaz o tolerancyi religijnej — śmierć przecięła pasmo dni kapłana, który mógł wiele jeszcze zdziałać i sędziwych doczekać lat na stolicy arcybiskupiej.

*

*

*

Dnia 22 sierpnia r. b. zmarła w Paryżu w sędziwym wieku ś. p. Seweryna z Żochowskich 1-o voto Pruszkowa 2-o v. Duchńska, jedna z wybitniejszych literatek polskich.

Urodzona w r. 1815 w Koszajcu pod Sochaczewem, ś. p. Seweryna była małżonką zmarłego w r. 1893 Franciszka Duchńskiego, znanego historyka i etnografa. Mieszkając przez długie lata na obczyźnie, nie utraciła jednak nigdy związku z krajem, a gorąco do niego przywiązana, służyła, jak mogła i umiała, wszystkim jego sprawom.

Działalność jej literacka była rozległa. Rozpocząwszy ją w r. 1845 na łamach *Biblioteki Warszawskiej* i *Albumu literackiego*, wydawanego przez K. Wł. Wóycickiego od skromnych prób poetyckich, przerzuciła się następnie utalentowana pisarka do rodzaju powieściowego. W tej epoce z pod pióra jej wyszły: „Powieści naszych czasów“ (4 tomy), „Gawędy i opowieści“ (2 tomy), „Powieści poetyczne“ (4 tomy), „Elżbieta Drużbacka“ (poemat), „Obraz literatury ludów średniowiecznych, a mianowicie Słowian i Niemców“ według Eichhafa (2 tomy), przekład „Dziejów Węgier“ Boldiego, poematy: „Sebastyan Klonowicz“ i „Dwie gwiazdy.“

Najpopularniejszem jednak imię jej uczyniło wydawnictwo „Rozrywek dla wieku młodocianego.“ „Rozrywek“ tych wyszło 15 tomów i w swoim czasie stanowiły one wysoko cenioną lekturę dla młodzieży płci obojga. W każdym prawie domu polskim

w bibliotekach dla dzieci znajdowały się te książki, pisane dobrą polszczyzną, a przepojone szlachetną, czystą tendencją i wielkiem umiłowaniem przeszłości.

Będąc przez długie lata stałą współpracowniczką *Bibl. Warszawskiej* ś. p. Seweryna Duchyńska pisywała na jej łamach niesternem piórem swoim *Kroniki Paryskie*, które czytelnicy nasi dobrze pamiętają. Poruszały one wiele żywotnych i aktualnych zagadnień.

Obok tego nie bez wartości są jej studia literackie o Kazimierzu Brodzińskim, o Bohdanie Zaleskim, o księżnie Maryi z Czartoryskich Wirtemberskiej i t. d. Nadto przełożyła Duchyńska na język polski kilka dramatów obcych i wiele poezyj drobniejszych.

Nie wzbijając się na wyżyny twórczości, umiała jednak ona zawsze i wszędzie stać na wysokim poziomie literackim, piśmiennictwo polskie straciło też w niej wzorową pracowniczkę, a społeczeństwo kobietę rozumną i zacną.

Cześć jej pamięci!

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH POLSKICH.

TOWARZYSTWO DLA POPIERANIA NAUKI POLSKIEJ WE LWOWIE wydało przed niedawnym czasem sprawozdanie swoich czynności za rok 1904, (od 1 stycznia po 31 grudnia 1904. Lwów, 1905. 8-o, str. 35 + 3).

Ze sprawozdania niniejszego dowiadujemy się o czynnościach Towarzystwa nie tylko za rok ostatni, ale i o jego rozwoju i pracach w poprzednich trzech latach, a to dla tego, że w roku bieżącym upłynął termin organizacji Towarzystwa, obliczonej przy jego założeniu na lat cztery.

Z tego przedstawienia okazuje się, że Towarzystwo przez trzy lata pozyskując coraz to większą ilość członków (tylko w roku 1904 nastąpiło pewne ich zmniejszenie) doszło do tego szczęśliwego stanowiska materialnego, że jest dzisiaj w mniejszej zależności od dochodów niestałych, a opiera się głównie na kapitale zakładowym, stanowiącym główną podporę Towarzystwa. Taki obrót sprawy daje Towarzystwu pewność stałej egzystencji i owocnej pracy nadal na gruncie popierania naszej nauki. Towarzystwo w przeciągu czterech lat zebrało na cele naukowe poważną sumę 55,860 koron, z których 36,461 kor. stanowi kapitał zakładowy Towarzystwa, a przeszło 20,000 kor. zostało wydanych na publikację dzieł naukowych. Towarzystwo popierania nauki polskiej, obracając tak znacznymi sumami, staje narówni z dwoma podobnymi instytucjami naszymi: poprzednio powstałą kasą im. Mianowskiego i później już po założeniu Towarzystwa powstałym Towarzystwem popierania wydawnictw Akademii Umiejętności. Instytucje te, pracując w tym samym celu materialnego poparcia naszej nauki, nie stają wobec siebie, jako rywalizujące jednostki, lecz przeciwnie, dążąc do jednego celu, popierają się wzajemnie. Stąd też dla każdego, komu rozwój naszej nauki jest drogim, każda z tych instytucyj powinna być zarówno sympatyczną i wedle możliwości każdego popieraną.

Jak zaznaczyliśmy uprzednio, w r. 1904, ilość członków Towarzystwa Popierania Nauki Polskiej nieco spadła. Według wyliczenia okazuje się, że ubyło w tym roku 2,3% (26 członków), pozostaje w chwili obecnej 1124. Tłómacząc ten spadek w znacznej mierze przesileniem ekonomicznem w Królestwie Polskiem i innych ziemiach sąsiednich, sprawozdawca wyraża obawę, czy suma 11—12 setek członków nie jest przypadkiem miarą cyfrową najwyższego natężenia, do jakiego zdolne jest społeczeństwo nasze, kiedy chodzi o danie materialnego poparcia Towarzystwu o celach naukowych, Towarzystwu, mającemu za zadanie popierać nie jedną, ale wszystkie dziedziny wiedzy ludzkiej. Obawa ta, przelotnie wyrażona w sprawozdaniu, wydaje się nam bardzo prawdopodobną. Może czas jednak zmieni stosunki w tej mierze na lepsze, może usiłowania Towarzystw naukowych i jednostek obdarzonych zamilowaniem do nauki, wywołają u ogółu większe zainteresowanie się nauką.

Pod tym względem wielkie pokładamy nadzieje na akcyę, zapoczątkowaną przez niniejsze Towarzystwo. Chcąc zaprzęgnąć do pracy popierania nauki liczniejsze grono osób, Towarzystwo, rozciągając sieć swojej organizacyi aż do najdalszych krańców, dokąd element polski sięga (Władystok—Fryburg), postanowiło od roku 1905 ustanowić, gdzie się to okaże rzeczą możliwą, osobnych delegatów Towarzystwa dla jednania mu członków. Przedrukowana w dodatkach do sprawozdania instrukcyja, określa szczegółowo prawa i funkcyje delegatów. Życzyć należy, aby jaknajliczniejszy zastęp osób, pracy tej się podjął, posuwając w ten sposób naprzód trudną pracę zebrania potrzebnych zasobów materialnych dla rozwoju nauki polskiej.

Zaznaczony w r. 1904 ubytek 26 członków nie spowodował jednak zmniejszenia obrotu kasy Towarzystwa, które wydało w r. 1904 na cele ściśle naukowe (nie licząc kosztów administracyi i 10% przeznaczonych do funduszu zakładowego) pokaźną sumę 6269 k. 42 h. Ten pomyślny stan finansowy instytucyi przypisać należy ofiarności członków, umiejętnej gospodarce zarządu i wreszcie subwencyom ministryum oświecenia i sejmju.

W roku 1904 Towarzystwo wydało następujące dzieła, o których w swoim czasie podane były i dziś podajemy w dziale „nowe książki“ dokładne streszczenia. Są to następujące dzieła:

1) *Dr. Józefa Bureka*: Studya z zakresu administracyi wychowania publicznego. I. Szkolnictwo ludowe. Praca poruszająca najważniejsze sprawy naszego szkolnictwa, sprawy wymagające najszybszego rozwiązania. 2) *Dr. Przemysława Dąbkowskiego*: Rękojemstwo w prawie polskiem średniowiecznem. Praca ważna, przyjęta na zasadzie referatu prof. O Balzera. 3) *Dr. Bronisława Dębińskiego*: Stanisław August i książe Józef Poniatowski w świetle własnej korespondencyi. Zebrane tu materiały wyjaśniają wiele zawyłych kwestyj z ostatniej epoki Rzeczypospolitej przeważnie od 1792—1794, przyczem charakteryzują należycie postać księcia Józefa i Stanisława Augusta. 4) *Dr. Władysława Witwickiego*: Analiza psychologiczna objawów woli. Praca mająca na celu uzasadnienie allogenetycznej teoryi pragnień i postanowień. Ponadto Towarzystwo własnym kosztem sporządziło odpis rękopisu p. t. „Ogród Fraszek“ Wacława Potockiego. Nieznane to dzieło znakomitego poety w. XVII, wydanem będzie przez prof. Aleks. Brücknera.

Oprócz popierania nauki polskiej za pomocą wydawania dzieł specjalnych kosztem Towarzystwa, zarząd jeszcze w r. 1903 postanowił zająć się ważną sprawą zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincjonalnych. Rozesłano zaproszenia do nadsyłania w tym celu czasopism, książek i wogóle przedmiotów bibliotecznych. Społeczeństwo odniosło się bardzo życzliwie do tak pięknej myśli i zewsząd poczęto nadsyłać pod adresem Towarzystwa (Lwów, Archiwum Bernardyńskie) liczne dary. W końcu roku sprawozdawczego Towarzystwo posiadało już około 12000 tomów zebranych. Rezultat więc okazał się bardzo pomyslnym i możnaby dzisiaj przystąpić do założenia jednej wcale okazałej biblioteki prowincjonalnej, gdyby nie brak fundusów. Pod tym względem sprawa gorzej się przedstawia. Na założenie jednej biblioteki trzeba około 60000 kor., a na utrzymanie jej rocznie 5—6 tysięcy kor.

Powinnyby się zająć tą sprawą magistraty miast, ale jak się dowiadujemy ze sprawozdania, tylko dwie rady miejskie wpisały się w poczet członków Towarzystwa, dając życzliwe poparcie ogólnym jego celom, ale w sprawie założenia biblioteki żadna nie wystąpiła z jakąkolwiek ofertą od siebie. W zakres więc przyszłych prac Towarzystwa wchodzi obecnie urzeczywistnienie, rzuconej przez niego myśli, którą społeczeństwo przez nadsyłanie przedmiotów bibliotecznych poparło. Jak dotąd, poczynając od r. 1905 Towarzystwo przeznaczają corocznie kwotę conajmniej 1000 kor. na fundusz zakładania bibliotek prowincjonalnych.

W dalszym ciągu sprawozdania znajdujemy szczegółowe wyliczenia kasowe za r. 1904, listę zarządu oraz spisy członków. Członkowie są czterech rodzajów: 1) Członkowie czynni założyciele (152, każdy wnosi 200 k. rocznie). 2) Członkowie czynni zwyczajni (420, każdy z wkładką 8 k. rocznie). 3) Czł. wspierający dożywotni (68 z jednorazową wkładką 50 k.). 4) Czł. wspierający zwyczajni (484 z wkładką 1 k.).

Dowiadujemy się, że obecnie Towarzystwo popierania nauki polskiej wydało pod datą r. 1905 dwa dzieła: *Dr. Przemysława Dąbkowskiego*: „Zaloga w polskim prawie średniowiecznym“ i *Dr. Hahna Wiktora*: „J. Słowackiego Samuel Zborowski.“

— ELEKTORZY wydziałów Uniwersytetu Jagiellońskiego na rok 1905/1906 wybrali jako rektora ks. dra Stefana Pawlickiego, członka Akademii krakowskiej oraz członka rzymskiej Arkadyi i trzech rzymskich Akademij.

— POLSKIE TOWARZYSTWO PEDAGOGICZNE na Szląsku, urządziło w roku zeszłym w Cieszynie dwutygodniowy wakacyjny kurs uniwersytecki dla nauczycieli szkół ludowych i wydziałowych. Próba powiodła się; w kursie wzięło udział 142 osób. Zachęcone powodzeniem zeszłorocznym i ulegając życzeniu wielu kolegów nauczycieli ze Szląska, „Polskie Towarzystwo Pedagogiczne“ postanowiło i w tym roku urządzić wakacyjny kurs uniwersytecki, który się odbył w czasie od dn. 13 do 29 sierpnia, a złożyły się nań następujące wykłady: 1) *Dr. Ernest Bandrowski*, profesor uniwersytetu z Krakowa: „Nowe ciała

promieniotwórcze“;—2) *Dr. Stanisław Droba*, docent uniwersytetu z Krakowa: „Życie ludzkie i jego wrogi“;—3) *Dr. Ernest Farnik*, profesor gimnazjum polskiego z Cieszyna: „O twórczości Fryderyka Schillera“;—4) *Dr. Ludomił Germi*, radca i inspektor szkolny krajowy ze Lwowa: „Prądy we współczesnej literaturze polskiej po r. 1890“;—5) *Józef Góral*, profesor gimnazjum polskiego z Cieszyna: 1) „Metodyka nauk przyrodniczych,“ 2) „Metodyka arytmetyki i geometrii“;—6) *Dr. Franciszek Majchrowicz*, radca i inspektor szkolny krajowy ze Lwowa: „O najnowszych kierunkach w nauce wychowania i nauczania“ — „Reformatory wychowania i nauczania w w. XVIII i XIX ze szczególnem uwzględnieniem dziejów wychowania w Polsce“;—7) *Dr. Zbigniew Pazdro* ze Lwowa: „Najważniejsze wiadomości ze statystyki ludnościowej ziem polskich“;—8) *Dr. Lucyan Rydel* z Krakowa: „Odrodzenie w Polsce“ (czasy Zygmunów i Batorego pod względem kulturalno-cywilizacyjnym, społeczno-politycznym, religijnym, filozoficznym);—9) *Dr. Michał Siedlecki*, profesor uniwersytetu z Krakowa: „Rozwój wrażliwości w przyrodzie“; 10) *Dr. Wacław Tokarz* z Krakowa: „Historja porozbiorowa narodu polskiego w głównych swoich momentach:“ 1) Polityka rządów zaborezych 1795—1806, 2) Księstwo Warszawskie, 3) Królestwo Kongresowe, 4) Powstanie listopadowe, 5) Emigracya i spiski r. 1846 i 1848, 6) Galicya i Poznańskie, 7) Królestwo Polskie. Równocześnie będzie urządzony kurs rysunkowy pod kierunkiem artysty-malarza p. *Jana Raszki*.

Oprócz tego zarząd organizował szereg wycieczek w okolice Cieszyna.

N O W E K S I A Ź K I.

H. M(ERCZYNG): Zbory i senatorowie protestancy w dawnej Rzeczypospolitej. Z mapą dawnej Polski, pod względem kościelnym, ewangelickim. Warszawa, 1905. 8-o, str. 139 i mapa.

Autor daje swojej pracy skromny tytuł: Przyczynki do dziejów terytorjalnego i chronologicznego rozwoju i upadku reformacyi w Rzeczypospolitej. Stara się on zebrać wszelki materiał statystyczny mogący należycie wyświecić kierunki rozwoju reformacyi w Polsce, tego tak ważnego objawu życia społecznego kraju naszego w wieku XVI i XVII. Tak ważna sprawa dotąd nie została opracowaną należycie. Liczne wydawnictwa w tym kierunku nie wyczerpują bynajmniej zawiłych kwestyj nasuwających się badaczom reformacyi. I autor w pracy niniejszej ani sili się o to. Stara się on tylko zebrać surowy materiał, wykazujący terytorjalne rozłożenie zborów protestanckich w dawnej Polsce, oraz wykazać czas, kiedy te powstawały, dochodziły do największego rozwoju, i kiedy poczęły się chylić ku upadkowi. Wiadomości te są bardzo ważne. Gdyby się udało poznać dokładnie datę założenia i upadku wszystkich zborów protestanckich na przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej i ich rozmieszczenie terytorjalne, to, znając jednocześnie ilość parafij katolickich, moglibyśmy utworzyć sobie dość jasny obraz siły ruchu reformacyjnego w różnych częściach terytorjum Polski i w różnych epokach. Wychodząc z tego założenia autor, na podstawie badań archiwalnych i ścisłego przestudyowania

całej literatury danego przedmiotu, podaje wiadome mu szczegóły o każdym znanym mu zborze katolickim. Zebrany materiał dzieli on na cztery części.

W pierwszych dwóch są alfabetycznie ułożone wszystkie zbory ewangelicko-reformowane (helweckie) i ewangelicko-augsburskie znajdujące się w Wielkopolsce, Małopolsce i na Litwie. (Zbory w Prusach Królewskich autor rozmyślnie pominął, jako czysto niemieckie, nie odnoszące się do reformacji polskiej). Wszystkie miejscowości ze zborami zostały oznaczone na dołączonej do wydawnictwa mapie, na której w ten sposób synoptycznie przedstawionem zostało geograficzne rozszerzanie się reformacji w dawnej Polsce.

Trzecia część wydawnictwa obejmuje spisy zborów aryańskich. Tutaj autorowi wypadło wstąpić na teren zupełnie dotąd nie badany.

Po spisach zborów następuje lista senatorów polskich „zmarłych ewangelikami.“ Tak tytułuje autor tę część wydawnictwa. Spis senatorów redukuje tylko do tych, którzy do końca życia wytrwali w swoich akatolickich wierzeniach, pomija tych, którzy przed śmiercią powrócili na łono kościoła katolickiego. Tego rodzaju ukrócenie spisów senatorów protestanckich autor tłumaczy trudnościami technicznymi, jakieby powodowało włączenie ich do katalogu. Przyznając te trudności, jako bardzo znaczne, żałować należy, że autor nie podał w osobnym spisie, chociaż tych senatorów nawróconych na katolicyzm, o których wzmianki w swoich studyach napotkał. Do ciekawej charakterystyki, jaką zarysowuje jego praca, dołączyłoby się jeszcze kilka rysów znamienych a charakterystycznych.

O ile dział pierwszy wydawnictwa, obejmujący dane geograficzno-statystyczne, przedstawia obraz terytoryalnego rozwoju protestantyzmu w dawnej Polsce, o tyle dział drugi (spisy senatorów) ważny jest dla oceny państwowego znaczenia danego ruchu. I mamy w ten sposób w niewielkim tomiku zebrany bardzo cenny źródłowy materiał, z którego daje się wiele wyprowadzić wniosków.

Dowiadujemy się, że na przestrzeni całej Rzeczypospolitej znajdowało się zborów protestanckich i aryańskich 830, przyczem nabożeństwo odbywało się po polsku w 720 miejscowościach, a w 110 po niemiecku. To już daje pojęcie o sile rozwoju polskiego ruchu protestanckiego, ale nie określa jeszcze czasu kiedy ruch ten był najsilniejszym. Pod tym względem wyprowadzenie wniosków jest trudniejszym. Częstokroć bowiem śmierć magnata protestanta powodowała osłabienie ruchu protestanckiego w całych prowincjach, przejście na katolicyzm jednego protektora protestantyzmu obalało rozwój całego szeregu zborów. Autor jednak na podstawie szerokich studyj o zaznajamiania czytelnika z chronologicznym rozwojem protestantyzmu i wskazuje na ośrodki, z których nauki akatolickie promieniowały w głąb kraju.

W końcu swojej przedmowy podaje on obraz ogólny obszaru geograficznego i siły liczebnej ruchu reformacyjnego w dawnej Polsce. Ciekawe wyliczenia statystyczne doprowadzają go do wniosków, że w końcu XVI w. szlachta protestancka w Rzeczypospolitej stanowiła szóstą część szlachty katolickiej.

Dla wszystkich osób, pracujących nad reformacją w Polsce, praca p. H. M. posłuży za ważne źródło.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— LUD. T. XI, zesz. II. *Zajęczkowska Helena*: Wieśniak z Podegrodzia pod Starym Sączem; — *Dobrzycki Stan.*: Humor i dowcip w Polsce XVI wieku (dok.); — *Czaja Stan.*: Szopka krakowska (dok.); — *Taroni Feliks*: Kapliczki i krzyże przydrożne na Spiżu; — *Ks. Sadowski Jan*: Młocka w powiecie wadowickim; — *Bujak Franciszek i B. J. K.* z Gniezna: Materyały historyczne; — *Kruczkowska Stanisława*: Gromnice w Opatkowicach; — *Pyrek Jan*: O księdzu i parobku (Wojnicz); — *Dr. Władysław Kosiński*: Legenda o Matce Boskiej; — *S. Justyna*: Pisanki we wsi Mołodycz w powiecie jarosławskim w Galicyi; — *C. Stefan*: Nazwy typograficzne; — *Udziela Seweryn*: Czarownica z Sieprawia w powiecie wielickim; — *Gonet Szymon*: Wierzenia ludu w okolicy Audrychowa; — Strój świąteczny wieśniaka w Podegrodziu; — *Potkański Karol*: Wiatr; — *Ks. Augustyn Błahut*: Zwyczaje dawniejsze w Kamieniu; — *W. Józef*: Garncarstwo w Kolaczcach w Galicyi; — *Stan. Czaja*: Poszukiwania.

— MIESIĘCZNIK PEDAGOGICZNY. Maj. Mowa ojczysta; — Fryderyk Schiller (w 100-ą rocznicę jego zgonu); — Wychowanie młodzieży w Polsce od XIV w. aż do pierwszej połowy XVII wieku w świetle opisu W. A. Maciejewskiego, wstępem i objaśnieniami opatrzył X. X. X. (c. d.); — *Jan Kotas*: Z polskiego Towarzystwa pedagogicznego; — *Klemens Latusiak*: Koło pedagogiczne w Cieszynie; — *E. G.*: Słowniczek łacińsko-polski pospolitych roślin naczyniowych.

— PRZEGLĄD POLSKI. Czerwiec. *Stanisław Tarnowski*: Zofia z Fredrów hr. Szeptycka. Przedmowa do jej pism; — Z pism *Zofii z Fredrów Szeptyckiej*: I. Pobijacz dachów; — *Maryan Raciborski*: Życie pod równikiem; — *Antoni E. Balicki*: Zaraza w Atenach, tłumaczenie z ks. VI poematu Lukrecjusza De rerum natura; — Moje przeprawy; — Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego o czasach powstania listopadowego (1830—1831) z autografu wydał Alkar (c. d.); — Sprawy krajowe XIX; — *Dr. Stanisław Skarżyński*: Galicya w budżecie ministerium rolnictwa na rok 1905; — Kronika literacka przez *Dr. Augusta Sokółowskiego* (Sz. Aszkenazy, Wczasy historyczne); — *B. M. L.*: St. Koźmian, podróże i polityka; — *Dr. J. Flacha i A. E. Balickiego*; — *Stanisław Tarnowski*: Teatr krakowski; — *Witold Noskowski*: Muzyka w Krakowie * * *

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

ALBUM KOŚCIOŁA OO. Jezuitów we Lwowie, wydany z okazji koronacji obrazu Matki Boskiej pocieszenia. Kraków, 1905. 8-o, str. 44 + 1 nl. 19 ryc.

BĄCZKOWSKI DR. KS.: Kilka uwag o religijno-moralnem wychowaniu katolickiej młodzieży. Z powodu debatów o szkolnej reformie. Skreślił... Kijów, 1905. 8-o, str. 40.

BOBRZYŃSKI KAROL: Pogląd na filozofię perypatetyczno-scholastyczną. Odb. ze sprawozdania gimn. podgórskiego. Kraków, 1905. 8-o, str. 32.

FRIDRICH ALOJZY KS. T. J.: Historia cudownych obrazów Najświętszej Panny Maryi w Polsce. T. II. Nakład. wydaw. Tow. Jez. 8-o, str. 504 i III.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA MARYAŃSKA ku czci pięćdziesięciolecia ogłoszenia dogmatu o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Maryi Panny. T. II. część 1 i 2. Wydana staraniem Sodalicyi Maryańskiej. Lwów, 1905. Księg. polska B. Połonieckiego. Warszawa, Gebeth. i Wolff. 8-o, str. XVI + 314 + 401 z ryc.

NIETZSCHE FRYDERYK: Dzieła. Przełożyli W. Berent, K. Drzewiecki, L. Staff, St. Wyrzykowski. Zeszyt 1. Kraków, 1905. Nakład. J. Mortkowi-
cza, Centnerszwer i Sp. w Warszawie. 8-o, str. nl. 4.

H I S T O R Y A.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne IV. Sprzysiężenia studenckie, kartki z dziejów Królestwa Kongresowego 1820—1827. Lwów, 1905. Nakład. autora. 8-o, str. 44.

KUTRZEBA STANISŁAW DR.: Historia ustroju Polski w zarysie. Lwów, 1905. Nakład. księg. polskiej B. Połonieckiego, Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, k. nl. 2, str. 262.

LEWICKI ANATOL DR.: Zarys historii Polski i krajów ruskich z nią połączonych. Wyd. 4 skrócone. Kraków, 1905. Nakład. autora, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 203.

SOBIESKI WACŁAW: Trybun ludu szlacheckiego. Studium historyczne. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 205.

SCHMIDT WŁADYSŁAW: Historia miasta Środy. Odbitka z „Dziennika Poznańskiego.“ Poznań, 1904. 8-o, str. 20.

WITTYG WIKTOR: Pieczęcie miast dawnej Polski. Kraków, 1905. Wyd. Muzeum Narod. 4-o, str. 48 z ryc.

N A U K I Ś C I S Ł E.

DOIL K. DR.: O chorobach zakaźnych. O pielęgnowaniu w domu chorych zakaźnych ze szczególnem uwzględnieniem chorób zaraźliwych wieku dziecięcego. Przełożył dr. Zygmunt Szymanowski. Warszawa, 1904. G. Centnerszwer i Sp. 8-o, str. 68.

HANDELSMAN BRONISŁAW DR.: Przepisy higieniczne dla uczniów i uczennic. Podług dr. L. Burgersteina. Opracował... Łódź, 1905. Nakł. księgarni Alfreda Zonera. 8-o, str. 19.

HETPER J. i MARCHLEWSKI L.: Studya nad barwnikiem krwi. Odb. z t. XLIV ser. A. Rozpr. wyd. matem.-przyr. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. 8-o, str. 8 z 2 tabl.

NITSCH R.: Doświadczenia z jadem laboratoryjnym (Virus fixe) wściekliczyny. Część II. Odb. z t. XLIV, ser. B. Rozpr. wyd. mat. przyr. Akad. Umiej. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Spółka wyd. pols. 8-o, str. 44.

ORŁOWSKI ZENON DR.: O wzajemnym stosunku braku soku żołądkowego (achylia gastrica) i tak zw. protozoa-colitis. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 11.

ROSENTHAL EDWARD, inżynier technolog. Wykład praktyczny kreślenia (Kurs dla samouków). Łódź, 1904. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 44 i 12 tablic.

SKAŁSKI ST. DR.: Błonica (dyfteryt) i jak się przy niej zachować. Łódź, 1904. 16-o, str. 6.

TENŻE: O porodzie i połogu. Łódź, 1904. 16-o, str. 8.

TENŻE: Świerzba. Łódź, 1904. 16-o, str. 4.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

BUDZISZEWSKA ZOFIA (WŁADYSŁAW KRUK): Dzisiejsi. Powieść, odznaczona na konkursie „Kurj. Codz.“ Napisał... Warszawa, 1905. Nakł. M. Areta. 8-o, str. 25.

BUGSKI ALEKSANDER: Cienie. Poemat. Warszawa, 1905. Nakł. autora. Skł. gł. w księg. K. Idzikowskiego. 4-o, str. 16.

DOBROWOLSKI ADAM RACŁAW: Nastroje. Lwów, 1905. Księgar. Polska B. Połonieckiego. 8-o, str. 47 i 2 nl.

GAŚSIOROWSKI WACŁAW: Pigularz. Powieść. Wyd. drugie. Warszawa, 1905. Nakł. A. G. Dubowskiego. 8-o, str. 446.

GLIŃSKI KAZIMIERZ: Szlachcic na zagrodzie. Powieść obyczajowa z XVII wieku. Warszawa-Kraków, 1905. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 323.

GORKIJ MAKSYM: W więzieniu, tłum. Miranola. Kraków, 1905. Nakł. red. „Naprzodu.“ 8-o, str. 71.

GORKIJ MAKSYM i ANDREJEW LEONIDAS: 1) W więzieniu. Opowiadanie pana Filipa. 2) Złodziej. Spolszczył Z. Szczawiński. Warszawa, 1905. Wydanie Księg. Popularnej, Księg. Narodowa we Lwowie. 8-o, str. 114.



SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM
z roku 1905.

F I L O Z O F I A.

	Str.
WSPÓŁCZESNY PRZEDSTAWICIEL IDEALIZMU W NIEMCZECH, — przez <i>Adama Żółtowskiego</i>	266 i 571

H I S T O R Y A.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W LUBLINIE, — przez <i>Stefana Gorskiego</i>	93
PUŁASKI W AMERYCIE (dok.), — przez <i>Władysława M. Kozłowskiego</i>	167
POLSKA MYŚL HISTORYCZNA OD NARUSZEWICZA DO LELEWE- LA, — przez <i>Michała Sokolnickiego</i>	213

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE I EKONOMICZNE.

BEZROBOCIE SZKOLNE, — przez prof. <i>Szymona Askenazego</i>	1
W PARAFII FEODALNEJ, — przez <i>Franciszka Morawskiego</i>	308
PODSTAWY DEMOKRACJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ, — przez <i>Z. Grotowskiego</i>	350
ZASADNICZE PODSTAWY SAMORZĄDU, — przez <i>Kazimierza Weydlicha</i>	455

L I T E R A T U R A.

PRZEMIANY. Powieść współczesna (dalszy ciąg i dokończenie), — przez <i>Kazimierza Żdziechowskiego</i>	56 i 232
--	----------

DEKADENCI, — przez <i>W. Dziuduszyckiego</i>	Str. 421
KWIAT PAPROCI, — przez <i>Kazimierza Rakowskiego</i>	507

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SŁOWACKI A CALDERON (studium porównawcze), — przez <i>Maryana Szyjkowskiego</i>	14
RUCH LITERACKI W NIEMCZECH, — przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	125
LITERATURA CZY AKTORSTWO? — przez <i>W. Bogusławskiego</i>	144
RUCH UMYSŁOWO-LITERACKI WE FRANCYI, — przez <i>H. Reinholda</i>	474
WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE I TWÓRCZOŚĆ ARTYSTYCZNA, — przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	496

K R Y T Y K A.

DR. FRANCISZEK BUJAK: Wieś zachodnio-galicyska u schyłku XIX wieku, przez <i>A. Rembowskiego</i>	182
HELENA WITKOWSKA: Komisya edukacyi narodowej, — przez <i>Stefanię Wertensteinową</i>	387
EDWARD PORĘBOWICZ: Studya do dziejów literatury średniowiecznej, — przez <i>Henryka Reinholda</i>	393
ADOLF SULIGOWSKI: Miasto analfabetów (drugie wydanie), — przez <i>A. Rembowskiego</i>	599

KRONIKA MIESIĘCZNA.

LIPIEC:

Reformy. — IV Zjazd prawników i ekonomistów polskich. — Uczczenie pamięci Reya. — Dzieje biblioteki Zlelińskich w Płocku. — Kursy wakacyjne w Krakowie i w Cieszynie. — Projekt założenia Akademii handlowej w Warszawie	189
--	-----

SIERPIEŃ:

Krwawe dni w Łodzi. — Protesty przeciw bezrobociu. — Samowola lokatorów. — Walka z analfabetyzmem. — „Książki dla wszystkich.” — Wspomnienia pozgonne: ś. p. profesor Jan Mikulicz-Radecki; — ś. p. Kazimierz Keller-Krauz	398
--	-----

WRZESIEŃ:

Ukaz o „Dumie narodowej.” — Restauracya Wawelu. — Ze statystyki miejskiej Warszawy. — Prywatne szkoły wiejskie. — „Praca polska.” — „Kuryer Litewski.” — Wspomnienia pozgonne: ś. p. Napoleon Milicer; — ś. p. Ks. Jerzy hr. Szembek; ś. p. Seweryna Duchńska	605
---	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

	<i>Str.</i>
LIPIEC	205
SIERPIEŃ	409
WRZESIEŃ	621

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE LIPCOWYM (№ 3): Stan i potrzeby szpitali Królestwa Polskiego, — przez <i>D-ra W. Męczkowskiego</i> . . .	1
PRZY ZESZYCIE SIERPNIOWYM (№ 4): Gospodarka finansowa rządów miejskich w Królestwie Polskiem, — przez <i>B. Bouffała</i>	1
PRZY ZESZYCIE WRZEŚNIOWYM (№ 5): Nasze drogi,—przez <i>Gabryela Godlewskiego</i>	1

NASZE DROGI